

Prof. Ola Hnatiuk
Hejt
na Ukraińców?
Wskazówka
nadeszła
z Moskwy ▶10



Łukasz Żal
Filmów
nie robimy
dla Oscarów
i czerwonych
dywanów ▶24



WYSOKIE OBCASY
**Kiedy
pisałam
„Pucia”,
nie myślałam
o pieniądzach**

FOT. DAWID ZUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL (2)

MAGAZYN
wyborcza
wyborcza.pl
NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

Wakacje z apkami

Pociąg napakowany
wczasowiczami
już nam odjechał

▶ 30



FOT. GETTY IMAGES

**Młodzieżówka KO
od kulis**
Kolesiostwo?
My mówimy
networking ▶4

**Przemoc
wobec dzieci**
Władza rodzicielska
to w Polsce
świętość ▶16

**Zniósł
„Kosmiczne
jaja”**
Mel Brooks
kończy sto lat ▶34



**Kod dostępu
do Wyborcza.pl
na weekend**

FOT. ALAMY STOCK PHOTO/BE&W

Wydawnictwo Wyborcza Sp. z o.o.
nr indeksu 348398



Sobota – czwartek, 27 czerwca – 2 lipca 2026 | Redaktor prowadzący **Andrzej Kulasek** | Cena gazety **12,99 zł** (w tym 8% VAT) | nr 148.11247,1

Nakład 69 tys. + **322 tys. prenumerat cyfrowych**

Agnieszka
Kublik



A czy to są dobrzy lekarze?

Od tygodni żyjemy opowieściami o tym, jakie majątki zbijają lekarze. 1,7 mln zł rocznie, ponad 4 mln zł rocznie! Jak tu ogarnąć takie sumy? Przeliczamy, po ile biorą dyżurów, ile za dyżur, w ilu placówkach mają kontrakty. Ale nie zastanawiamy się wcale, jak oni w ogóle leczą? Czy to są dobrzy lekarze? Jak to możliwe, że pytania o jakość ich pracy wyparły pytania o ilość złotych?

Na początku tego stulecia prof. Zbigniew Szawarski, wybitny bietyk, dostrzegł zjawisko, które dziś jest w centrum naszej uwagi. „Większe pensje nie oznaczają wyższej wrażliwości czy bardziej rozwiniętego poczucia odpowiedzialności moralnej. Duże pieniądze nie zawsze idą w parze z uczciwością. Często towarzyszy im rosnąca pazerność” – pisał w 2003 r. Dorzucę jeszcze parę wad. Od dawna zbieram opowieści o lekarzach, pielęgniarkach, a nawet salowych. Znają mi o tym wiedzą i mi je przekazują.

Fascynuje mnie relacja między słabszymi a silniejszymi, potrzebującymi pomocy i tymi, którzy mają jej udzielać. Zwykle w sytuacjach granicznych.

Ja nie jest od dawania rad” – okulista do pacjenta, u którego wykryła zaćmę i który zapytał, czy już czas na operację

Niektóre z tych opowieści nie dają się wyrzucić z pamięci. To przykłady okrucieństwa, chamstwa, czasami zwykłej głupoty, ale rzecz jasna chowam i takie, kiedy lekarze zdumiewają dociekliwością, empatią czy serdecznością.

„Niech się położy na podłodze” – takiej rady lekarka udzieliła matce pacjenta z chorobą Cushinga, który miał zawroty głowy, ajechał na kolejne badania. Pielęgniarka nie dała mu wózka. Leżał na tej podłodze, pod gabinetem, a lekarze przechodzili obok przez pół godziny.

„Ja nie jest od dawania rad” – to okulista do pacjenta, u którego wykryła zaćmę i który zapytał, czy już czas na operację.

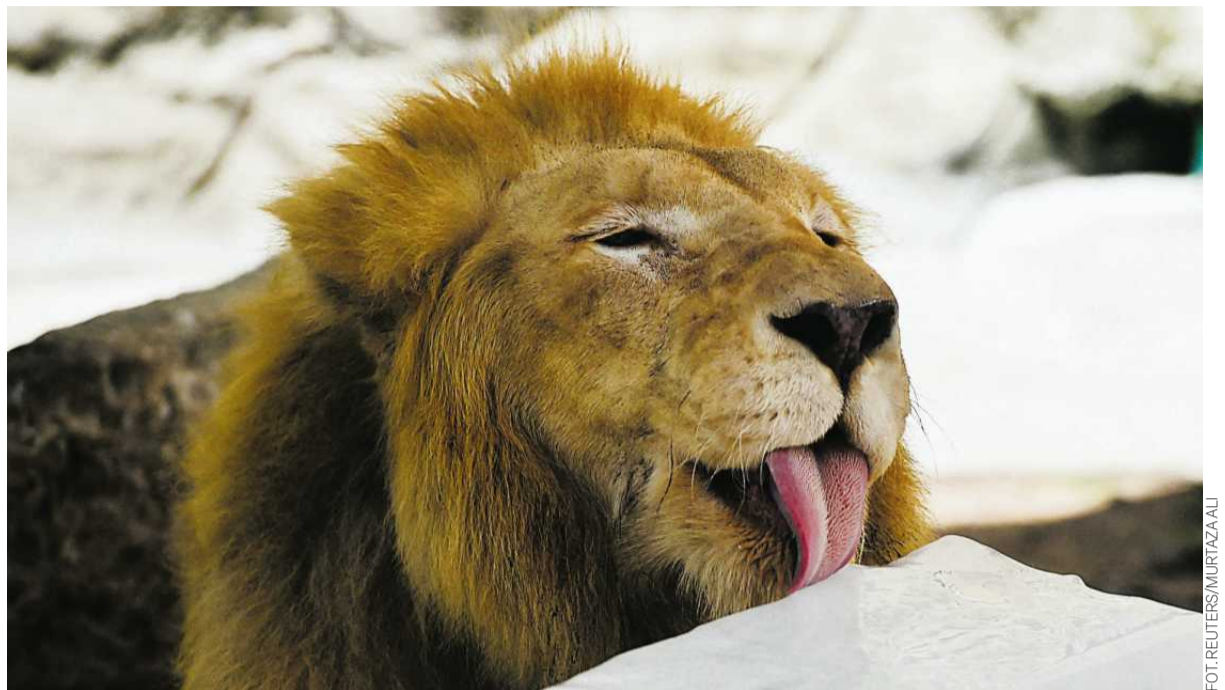
„Dwa lata i do piachu” – onkolog poinformował pacjenta o diagnozie. Pacjent przeżył 6 lat.

Tak właśnie się dzieje, gdy chory jest dla lekarza sposobem na zarobek. I przed tym przestrzegali prof. Szawarski: „Kryzys zaufania do lekarzy jest oczywisty, a jego objawy wręcz dramatyczne. Nie ma pewności, czy lekarz w konflikcie dobra pacjenta i własnego interesu wybierze zawsze dobro pacjenta. W wielu wypadkach interes lekarza bierze górę nad dobrem pacjenta. Co gorsza, lekarze nie czują, że z ich zawodem dzieje się coś złego”.

Ale słyszałam i o tych dobrych lekarzach, którzy dopilnowują, by pacjenci zostali jak najszybciej zapisani na konieczne badania, którzy pacjenta, który właśnie usłyszał straszliwą diagnozę, od razu zapewnijają: „zajmę się panią/panem”. I się zajmują. O takich, którzy pacjentowi od progu przekazują, że „wyniki ma pan świetne”.

I to jest właśnie ta wiadomość, która powinna paść na samym początku. Doświadczenie, empatia i po prostu zwykła sympatia. Jak mi tego brakuje. ●

Fala upałów Lody po królewsku



Lew w ZOO w Lahore w Pakistanie znalazł idealny sposób, by się ochłodzić. Dobra rada na weekend, szczególnie, że prognozy dla Polski zapowiadają temperatury grubo ponad 30 stopni.

Kod dostępu do Wyborcza.pl

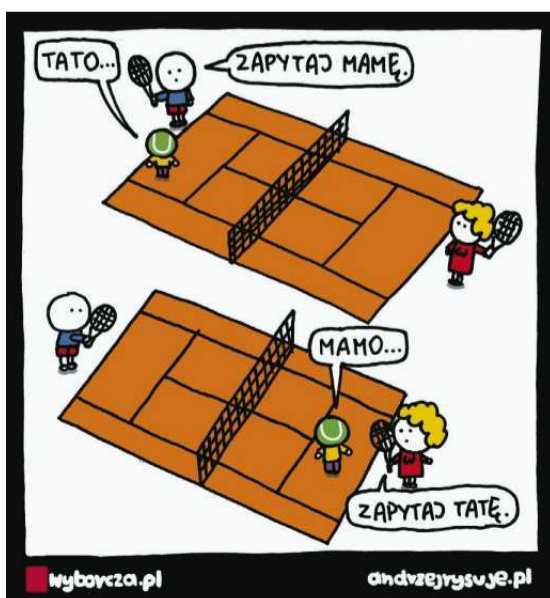


Po niespodziewanym finale Rolanda Garrosa, do którego doszła jako kwalifikantka, Maja przystąpi do Wimbledonu w zupełnie innej roli. Wszyscy już ją znają, wiedzą, jak gra i będą na nią znacznie lepiej przygotowani. Zobaczmy, jak ona sama sobie z tym poradzi

DAWID OLEJNICZAK

były tenisista, obecnie komentator i trener przed startem Mai Chwalińskiej w Wimbledonie (dla Polsat Sport)

Andrzej rysuje



Liczba tygodnia

100

RUBLI – za sztukę; poniżej tej sumy spadła cena akcji Gazpromu podczas wtorkowego notowania moskiewskiej giełdy, bariera przekroczona została po raz pierwszy od 2008 roku

W poniedziałek „Duży Format”

Jak poskromić dziki w mieście?

Królowa jest jedna – locha przewodniczka. Reszta to ciotki, kuzynki, znajome, no i warchlaki.

– Mają rozbudowaną strukturę socjalną – mówi dr hab. Tomasz Podgórski z Instytutu Biologii Ssaków PAN oraz Czeskiego Uniwersytetu Przyrodniczego w Pradze. – Na wzrost populacji dzików w miastach ma wpływ ich wcześniejsza niż kiedyś zdolność rozrodcza. Jeszcze niedawno locha zachodziła w ciążę w drugim, trzecim roku życia – dzisiaj w pierwszym.

Reportaż Marcina Wójcika





OpportunItaly
Driving business growth with Italian excellence.



Ministero degli Affari Esteri
e della Cooperazione Internazionale

ITA
ITALIAN TRADE AGENCY

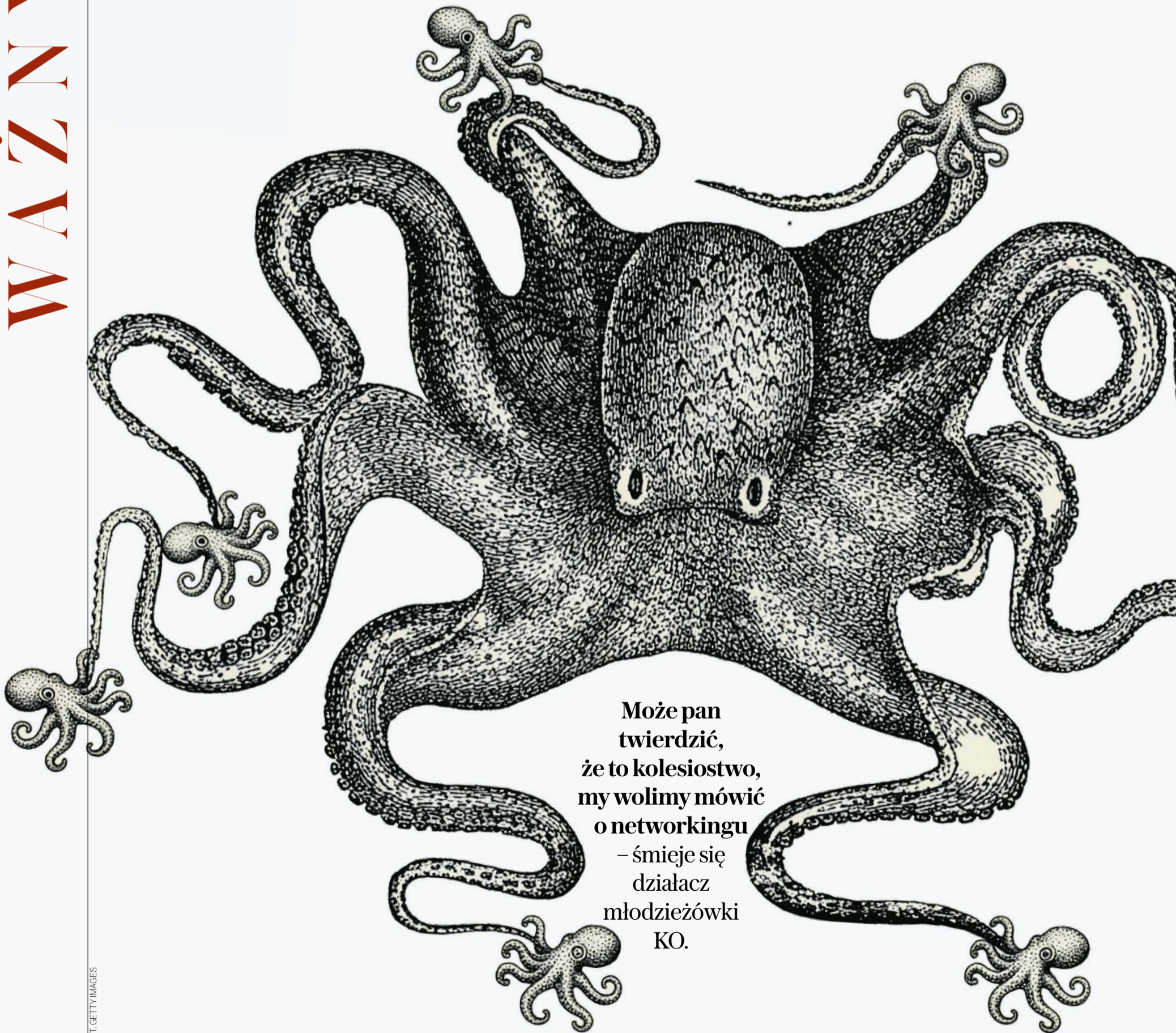
Kontynuuj
rozwój
swojej firmy.

Znajdź
doskonałość
pod znakiem
Made in Italy.

OpportunItaly to program **akceleracji biznesu** stworzony przez Włoską Agencję Handlu. Jego celem jest **łączenie** firm z know-how i wysokimi standardami spod znaku **Made in Italy**.

Znajdź partnera **business match** na stronie opportunitaly.gov.it

Nierozważni, kiedyś romantyczni



Może pan
twierdzić,
że to kolesiostwo,
my wolimy mówić
o networkingu
– śmieje się
działacz
młodzieżówki
KO.

Arkadiusz Gruszczyński

Młodzieżówka jest wstępem do bagna wielkiej polityki – mówi mi szczerze jeden z młodych działaczy politycznych.

Słyszę, że organizacja młodzieżowa Koalicji Obywatelskiej „powieli wszystkie patologie dużego ugrupowania”.

– Czyli robienie kariery dzięki znajomościom, wycinanie krytycznych głosów, kult wodza, bieg za stanowiskami oraz promowanie miernot – ciągnie młody polityk. – Przypadek Dawida Kacprzyka nie jest wypadkiem przy pracy: młodzieżówka i partia sprzyjają patologiom.

Zaczął się od oświadczenia majątkowego Dawida Kacprzyka, prominentnego, choć mało znanego działacza Koalicji Obywatelskiej, byłego przewodniczącego Nowej Generacji, a więc sankcjonowanej młodzieżówki KO, radnego dzielnicy Ursus i lekarza tuż po studiach. Polityk wypełnił obowiązek i wpisał do oświadczenia dochód za 2025 rok, czyli blisko 1,6 miliona złotych zarobionych w Szpitalu Południowym w Warszawie oraz 100 tysięcy z innych źródeł. A także mieszkanie o wartości 900 tysięcy złotych oraz Porsche Panamera 4, rocznik 2025, wartość pół miliona złotych.

Po kilku dniach okazało się, że młody lekarz nie pojawiał się na wielu dyżurach, a żeby wypracować w zeszłym roku podane przez szpital 3976 godzin, musiałby pracować 12 godzin dziennie, również w dni wolne, znajdując jeszcze czas na pracę w innych przychodniach, obowiązki radnego, regularne występy w mediach, udział w posiedzeniach sejmowej komisji zdrowia, a także kierowanie młodzieżówką.

Zwrócił więc do kasy szpitala pół miliona złotych. Ale mleko już się rozlało i rozlewa coraz dalej – Patryk Słowik z portalu Zero.pl przekonuje, że Kacprzyk wpuszczał do szpitala z pominięciem kolejki polityków KO,

którym od ręki wykonywano badania.

Rafał Trzaskowski, który nadzoruje szpital, zaprzecza tym doniesieniom, ale i tak sprawa Dawida Kacprzyka jest największą aferą KO od przejęcia władzy po wyborach z 2023 roku. Bulwersuje w niej dosłownie wszystko: młody lekarz bez specjalizacji wygrał konkurs na kierowanie Szpitalnym Oddziałem Ratunkowym, choć takie stanowisko nie istnieje nigdzie indziej. W innych szpitalach są ordynatorzy i oddziałowe, którzy kierują pracą lekarzy oraz pielęgniarek.

Szukają zarobki, a także upartyjnienie publicznego szpitala, którym kierują i który nadzorują politycy Koalicji Obywatelskiej.

Rzecz jasna skala afery niczym nie przypomina złodziejstwa z czasów rządów PiS: od zamawiania niesprawnych respiratorów czy ładowania pieniędzy w szpitala tymczasowe w trakcie pandemii, które stały puste i dyrektor szpitala osobiście przywożące kule Jarosławowi Kaczyńskiemu, przez setki tysięcy złotych dotacji dla różnych związanych z prawicą fundacji po dziesiątki milionów wpływających z Narodowego Centrum Badań i Rozwoju w grantach na „innovacyjne” a fikcyjne badania. I setki milionów wyprowadzonych na partyjne cele z Funduszu Sprawiedliwości.

Ale właśnie dlatego jest tak zabójcza dla obozu władzy.

Tam były niewyobrażalne, trudne do przełożenia na własne życie kwoty, skomplikowane mechanizmy złodziejstwa, duża liczba zaangażowanych w nie osób. Wszystko to jest oburzające, ale nie działa na wyobraźnię i szybko – zwłaszcza gdy afery goni afery – zaciera się w pamięci, na co nakłada się zrezygnowana ludzka mądrość, że na szczytach władzy „zawsze kradli, kradną i będą kraść, a PiS chociaż się dzielił kasą, bo dali ludziom 500+”. Tu jest konkretny człowiek z konkretnego politycznego i zawodowego środowiska i konkretne, proste do zrozumienia partyjno-klientystyczne mechanizmy potwierdzające społeczne przekonanie, że elity są uprzywilejowane, zakłamane i garną do siebie.

I dlatego afery lekarza milionera tak skutecznie podważa wartości, z jakimi szedł do władzy Donald Tusk.

W 2023 roku przyszedł premier na licznych spotkaniach z mieszkańcami całej Polski, w wywiadach, debatach politycznych i wieczach opowiadał o mechanizmie upartyjnienia całego państwa przez PiS.

We wszystkim miał rację. Zjednoczona Prawica wsadzała na każde wolne stanowisko w spółkach skarbu państwa, instytucjach publicznych, szpitalach i ministerstwach swoich ludzi. Skala była ogromna, nie liczyły się kompetencje, tylko znajomości.

Najgłośniejsze przypadki dotyczyły błyskawicznych karier czy „dużych” politycznych nazwisk – Daniela Obajtka, który z fotela wójta gminy Pcim przeskoczył na fotel prezesa Orleń, Małgorzaty Sadurskiej, która prosto z Pałacu Prezydenckiego Andrzeja Dudy poszła pracować do PZU oraz żony Zbigniewa Ziobry, która świetnie odnalazła się jako wysoka menedżerka w Link4. Ale „swoi” obsiadali wszelkie możliwe rady nadzorcze, publiczne fundacje, samorządowe przedsiębiorstwa – aż do szczebla, jak chyba za żadnych innych rządów, kierownika działu w gminnych wodociągach czy dyrektorki przedszkola.

Tusk zapewniał, że nowa rządy oddadzą Polskę w ręce obywateli, instytucje w ręce zawodowców, a wszystko to w drodze przejrzystych – czy, jak woła politycy – transparentnych – procesów. Po trzech latach okazało się, że KO niczym nie różni się od PiS: członkowie partii mogą liczyć na lukratywne etaty w publicznych instytucjach, a politycy korzystają z szybkiej ścieżki w miejskim szpitalu.

Słychać głosy, że tak ostra ocena Tuska jest krzywdząca, ponieważ – jak na razie – mówimy o jednej aferze, która co prawda działa na społeczną wyobraźnię, ale ma się nijak do działalności ludzi Jarosława Kaczyńskiego. Tyle że partia, która szła do wyborów z hasłami odnowy moralnej, nie może sobie pozwolić na podobne wpadki, ponieważ ludzie oceniają pars pro toto: całą jej działalność staje pod znakiem zapytania.

Mówiąc inaczej: Koalicji Obywatelskiej wolno mniej. A jeszcze inaczej: demokraci nie mogą wykorzystywać państwa do własnych – prywatnych i partyjnych – interesów.

Premier zareagował błyskawicznie i prędko: Kacprzyk nie jest już radnym, wyrzucono go ze szpitala i partii, a Tusk pełną odpowiedzialność przerzucił na Trzaskowskiego. Bo to prezydent Warszawy nadzoruje szpital, jego zastępcy zasiadali w radzie nadzorczej placówki.

Zresztą pierwsze sygnały o nieprawidłowościach na SOR Najwyższa Izba Kontroli i Trzaskowski dostali jeszcze w ubiegłym roku, co potwierdził sygnalista Patryka Słowika, były ordynator ze Szpitala Południowego, swoją drogą z niejasną przeszłością biznesową. Już rok temu zlecono kontrole, które niczego nie wykazały, choć dziś okazuje się, że Kacprzyk zwyczajnie nie przychodził do pracy. I dlatego musiał oddać pół miliona złotych.

REKLAMA

Kraj/34437835

Albatros travel

Włoski Sylwester w Sorrento

NOWOŚĆ

Przywitaj Nowy Rok wśród cytrusowych gajów, zachwycających krajobrazów Zatoki Neapolitańskiej i dziedzictwa kulturowego południowych Włoch.

Program wycieczki: Dz. 1 Przelot do Neapolu i przyjazd do Sorrento nad Zatoką Neapolitańską. Dz. 2 P Urok Sorrento i smaki południowych Włoch. Dz. 3 Możliwość wycieczki do Neapolu i Sylwester w Sorrento. Dz. 4 Nowy Rok w spokojnym rytmie i włoskiej atmosferze. Dz. 5 Powrót do domu.

5 dni i Wylot z Warszawy 29/12 2026 | od 5.298,-

3 kolacje w cenie

WŁOCHY
Neapol
Sorrento

Mongolia

od stepów po pustynię Gobi

NOWOŚĆ

Pełna przygód wyprawa przez mongolskie stepy i pustynię Gobi z noclegami w tradycyjnych jurtach oraz spotkanie ze wspaniałą naturą i kulturą nomadów.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy. Dz. 2 Przyjazd do Ułan Bator. Zwiedzanie miasta, w tym Narodowe Muzeum Historyczne i Plac Niepodległości. Dz. 3 Ułan Bator – Baga Gazriin Chuluu. W kierunku pustyni Gobi i formacji skalnych. Dz. 4 Baga Gazriin Chuluu – Tsagaan Suwarga. Biała Stupa i czas wolny. Dz. 5 Tsagaan Suwarga – Dolina Yol. W kierunku otwartych przestrzeni południowej części Gobi i fantastycznej natury doliny Yol. Dz. 6 Dolina Yol. Wycieczka do Bayanzag – Płonące Klify. Dz. 7 Dolina Yol – Khongoryn Els. Śpiewające Wydmy i wizyta u nomadów – hodowcy wielbłądów. Dz. 8 Khongoryn Els – Ongi. Centralna Gobi i klasztor Ongi. Dz. 9 Ongi – Karakorum. Centralna część kraju i stolica Czyngis-chana. Dz. 10 Karakorum. Klasztor Erdene Zuu, Skąły Żółwie i Muzeum Karakorum. Dz. 11 Karakorum – Chustai. W poszukiwaniu koni Przewalskiego. Dz. 12 Chustai – Ułan Bator. Czas wolny w stolicy i kolacja pożegnalna. Dz. 13 Ułan Bator – Warszawa.

13 dni | Wyloty z Warszawy 03/07, 28/08 2027 | od 17.998,-

albatros.pl | rezerwacja +48 22 128 48 81
Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8 p. Kod reklamy: GW24

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe.

Owszem, pytanie: dlaczego rada nadzorcza, w której zasiadała Aldona Machnowska-Góra, czyli najbliższa współpracowniczka Trzaskowskiego, oraz Robert Kępa, burmistrz dzielnicy Ursynów, nie wiedzieli, co dzieje się w Szpitalu Południowym, wciąż pozostaje w mocy.

Jednocześnie ruchy Tuska odbierają tlen opozycji: premier nie bagatelizuje sprawy ani nie zamiata pod dywan, przeciwnie, mówi o niej otwarcie. Odcina się od obciążonego polityka mazowiecki „baron” KO Marcin Kierwiński, który blisko współpracował z Kacprzykiem, bez mrugnięcia okiem wyrzuca go z partii, następnie premier publicznie pyta, dlaczego samorząd warszawski nie wykrył wcześniej nieprawidłowości. Na to reaguje Trzaskowski, który wyrzuca cały zarząd i radę nadzorczą szpitala, choć jego zastępcy i burmistrzowie, a także radni zasiadają nadal w radach nadzorczych innych spółek. Prezydent Warszawy nie rozwiązuje więc systemowego problemu, tylko pudruje trupa.

A na koniec Tusk zgrabnie przerzuca piłkę na inne boisko – gniewu społecznego na uprzywilejowane grupy zawodowe. Obiecuje zmianę systemu ochrony zdrowia i przegląd pensji lekarzy – tym samym pozbawiając PiS jego ulubionego, sprawdzonego od ćwierć wieku oręża, czyli obietnic wysprzątania państwa i „ukrócenia patologii” w elitarnych zawodach zaufania publicznego.

Lecz problemy tak łatwo nie znikną. System ochrony zdrowia sprzyja patologiom – lekarze mogą dużo zarabiać, bo jest mało specjalistów, których umiejętności Narodowy Fundusz Zdrowia drogo wycenia, a szpitale muszą na czymś zarabiać, ponieważ zdrowie jest w Polsce urynkowane. Jednocześnie zdesperowane placówki oferują lekarzom kontrakty – umowy wyjęte spod prawa pracy, więc medycy mogą pracować po 20 godzin dziennie i nawet Państwowa Inspekcja Pracy nie ma tu nic do gadania.

A przede wszystkim nie zniknie praprzyczyna patologii polityczno-biznesowo-klientystycznych, czyli organizacja partyjna, a konkretnie: młodzieżówki.

Zanim przejdziemy do opisu, jak dzisiaj działa Nowa Generacja – skupiając się na niej jako prominentnym i świeżym przykładzie, nie po to, by dolożyć KO, bo podobnie wyglądają młodzieżówki i ogólnie mechanizmy kadrowe we wszystkich (po wyjściu z ideowej fazy start-upu) partii – musimy poznać kilka faktów historycznych.

Organizacje młodzieżowe są naturalną częścią pejzażu politycznego. I w naturalny sposób przyciągają nie tylko ideowców, również oportunistów – co nie przekreśla ich znaczenia, bo z ludzi, których w początkach ich działalności nazwalibyśmy karierowiczami, nie rzadko wyrastali utalentowani, zasłużeni politycy. W czasach komunizmu działał Socjalistyczny Związek Studentów Polskich, który pełnił funkcję przedsiönka Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej dla młodych ludzi. A że związkowa legitymacja mogła wiele ułatwić, więcej niż dziś, do SZSP zapisywano się raczej konformistycznie niż z miłości do socjalizmu i wiele późniejszych karier miało miejsce właśnie tam. Włodzimierz Czarzasty czy Aleksander Kwaśniewski pierwsze polityczne szlify odbierali właśnie związku studentów.

Po transformacji ustrojowej 1989 roku nowe partie chciały zagospodarować ambitną, zaangażowaną obywatelsko i rozpolitykowaną młodzież, więc przy Unii Wolności – ówczesnym odpowiedniku PO – powstało Stowarzyszenie Młodzi Demokraci, przy lewicy – Sojuszu Młodej Lewicy, a także Młodzież Wszechpolska, słynąca ze słabości do nacjonalizmu.

W 1995 r. pisaliśmy w „Wyborczej” o drogach, jakie stoją przed młodymi i zdolnymi ludźmi, którzy chcą zaangażować się politycznie. „Najprostszą drogą do polityki jest tzw. działalność partyjna. Jeśli dasz się poznać w kole partyjnym jako człowiek z inicjatywą, dobry organizator – masz szansę zostać delegatem na zjazd regionalny czy krajowy partii.



• Poseł Michał Szczerba i Nowa Generacja przed Sejmem na konferencji prasowej poświęconej młodym kandydatom KO w wyborach. Dawid Kacprzyk czwarty z prawej (4.09.2023)

FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI/AGENCJA WYBORCZA.PL

Jeśli cię zauważy »góra« – jest szansa na karierę. Ale dziś nie wystarczy pokrzyknąć na partyjnym zlocie. – Ciężko pracujemy na sukces. Teraz droga awansu jest bardziej sprawiedliwa, ale wydłużyła się. Choć i tak wciąż najczęściej zależy od szczęścia – mówi Grzegorz Bielowiecki, przewodniczący Stowarzyszenia Młodzi Demokraci przy Unii Wolności, student zarządzania. Młodzi Demokraci to głównie studenci prawa, kierunków ekonomicznych, zarządzania. – Trzeba być fachowcem w jakiejś dziedzinie. Nie można stawiać na jedną kartę: politykę. Zwłaszcza w Polsce – mówi Bielowiecki”.

W tym samym tekście czytamy o oczekiwaniach młodych działaczy liczących, że przy okazji spotkań, konferencji, którzy z „wielkich” w partii ich dostrzeże i w „następnym rozdaniu” do parlamentu znajdą się na listach kandydatów.

Pięć lat później na spotkaniu z Bronisławem Geremekiem padło pytanie, czy jest zadowolony z działalności Młodych Demokratów. Minister spraw zagranicznych, jeden z liderów podziemia antykomunistycznego i słynny mediewista stwierdził: „Nie wierzę, że dla młodych polityka redukuje się do wąsko rozumianych karier, rozdziału stanowisk i przywilejów. Nie wierzę w przeświadczenie młodych, że wszystkie środki są dobre, gdy prowadzą do celu. Jestem przekonany, że młodzi z SMD mają poczucie służby publicznej”.

Szybko się okazało, że młodzieżówka kierowana przez Sławomira Nowaka – tego samego, który po latach wyleciał z hukkiem z Platformy Obywatelskiej, bo nie wpisał do oświadczenia majątkowego zegarka (jak widać, te niepozorne dokumenty mogą zakończyć każdą świetnie zapowiadającą się karierę), a dziś jest oskarżany o branie łapówek w Ukrainie – nie wybrała wartości, tylko karierę.

Zużyta latami rządzenia Unia Wolności rozpadła się, Tusk zakładał Platformę Obywatelską, a Nowak poszedł za nową siłą polityczną. I przetrwał partyjne szlaki, a jego droga zawodowa do dzisiaj budzi zazdrość oraz rozbudza marzenia: Nowak zaczynał w młodzieżówce, potem stał się bliskim współpracownikiem premiera, posłem, ministrem, szefem gabinetu politycznego Tuska.

Młodzi Demokraci byli wpisani do statusu PO, co zmieniło się na początku tej dekady, kiedy Tusk wrócił z gabinetu przewodniczącego Rady Europejskiej do polskiej polityki. Okazało się, że młodzieżówka tonie w długach, które zaciągnęła w Europejskiej Partii Ludowej – „czapie” gromadzącej w europarlamentie ugrupowania liberalne – a nowy-stary szef chciał posprzątać po poprzednikach. Oficjalnie, bo nieoficjalnie w partii mówiło się, że Młodzi Demokraci byli obsadzeni ludźmi Grzegorza Schetyny, a więc wewnętrznego przeciwnika i politycznego wroga Tuska, w jakiego podczas brukselskiego epizodu „Kierow-

Osoby z Nowej Generacji, z którymi spotkałem się po aferze z Kacprzykiem, mówią wprost: dziś partyjna młodzieżówka Koalicji Obywatelskiej ma być lojalna, dyspozycyjna i bezkrytyczna. – I właśnie dlatego wielu naszych z zazdrością patrzy na Zryw, czyli grupę młodych ludzi wokół Radka Sikorskiego. Albo na Akcję Uczniowską

nika” zdążył zmienić się jego dawny „żelazny minister”, zaufany doradca i kadrowy.

Doszło więc do rozłamu, pod koniec 2022 r. zawiązano Nową Generację, a jej pierwszym szefem został młodziutki student medycyny Dawid Kacprzyk. Operację nadzorował Marcin Kierwiński, sekretarz generalny partii.

Tyle historii, choć jej elementy pojawiają się jeszcze w mojej opowieści.

Nowa Generacja jest więc spadkobierczynią liberalnej młodzieżówki z lat 90. Która była całkiem rzutką i naprawdę zasłużoną kadrą – Młodzi Demokraci nie zajmowali się tylko noszeniem teczek i parzeniem kawy wpływowym posłom oraz knuciem i uświetnianiem gminnych uroczystości. Organizowali szkołę liderów, debaty polityczne w całym kraju, kampanie wyborcze Unii Wolności, a także rozwijali kontakty ze swoimi odpowiednikami na zachodzie Europy. Z Młodych Demokratów wywodzą się tacy politycy jak Michał Szczerba, czyli merytoryczny zajadły tropiciel pisowskich afer, twarz socjalnej przemiany KO Aleksandra Gajewska, posłanka Kinga Gajewska, w czasach rządów PiS-u niezwykle aktywna polityczka, wiceminister odpowiedzialny za żeglugę Arkadiusz Marchewka czy Borys Budka – wiceprzewodniczący i przewodniczący KO w najtrudniejszym dla partii czasie, czyli przez większość rządów PiS.

W szczytowym momencie w Młodych Demokratkach działało 7 tysięcy osób w 160 kołach w całej Polsce. Ich spadkobierczyni jest stosunkowo młodą organizacją – powstała w 2022 r. – liczy kilkuset członków i aż do teraz nie odgrywała znaczącej roli politycznej.

– Czy zaskoczyła nas afera z Dawidem? Tak, ponieważ nie znaleźliśmy go od tej strony. W naszych oczach był sprawnym szefem, wielokrotnie mówił nam, że polityka go interesuje

mniej niż medycyna, której chciał się poświęcić. Wiedzieliśmy, że jeździ Porsche, ale myślałem, że ma bogatych rodziców – przyznaje działacz Nowej Generacji.

Bo do młodzieżówek – słyszę w partiach – i do tych liberalnych, i lewicowych, do Konfederacji i Polskiego Stronnictwa Ludowego – garną się głównie dzieci z bogatych domów, bananowa młodzież, która dostaje co miesiąc duże przelewy od rodziców.

Inny działacz opowiada, że praca lekarza bez żadnej specjalizacji na istotnym stanowisku w miejskim szpitalu też nikogo nie zaskakiwała, nawet jeśli została załatwiona po znajomości, na co zresztą nie ma dowodów. – Może pan twierdzić, że to kolesiostwo, ale my wolimy mówić o networkingu – śmieje się.

– Ale mnie interesuje tak naprawdę coś innego: kogo przyciągają młodzieżówki? Czy zapisują się do niej wyłącznie karierowicze? A może jednak, wbrew obiegowej opinii i intuicji, wśród młodych polityków są eksperci, pasjonaci i idealści? Słyszę dwie odpowiedzi.

– Do Nowej Generacji przychodzą młodzi uczniowie liceów i studenci, którzy interesują się polityką, żyją nią, chcą więc zagospodarować swoją energię. Rzadko się zdarza, że ktoś w wieku 19 lat planuje polityczną karierę i wybiega w czasie aż do 40. roku życia – opowiada inny młody działacz. – W czasach opozycji, kiedy rządził PiS, tłumy nastolatków zapisywały się do młodzieżówki, ponieważ zależało im na odsunięciu Kaczyńskiego od władzy. Chodziliśmy na czarne protesty, demonstrowaliśmy pod Pałacem Prezydenckim przy okazji próby wprowadzenia lex Czarnek, czyli ograniczanie działalności organizacji pozarządowych na terenie szkół. Było co robić, praktycznie co tydzień coś się działo. I proszę uwierzyć: nikt z nas nie myślał o karierze.

Ale przyszły polityk dodaje od razu, że po kilkunastu miesiącach darmowej pracy wielu jego kolegów zaczęło nasiąkać partyjną atmosferą. Na dobre i na złe: rozbudzały ambicjonalność, nabierali przekonania, że mogą wnieść coś od siebie w sprawę publiczną, zaczęli rozumieć niuanse procesów ustrojowych, ale też zderzali z folwarcznym zarządzaniem, serwilizmem – i przyjmowali te reguły gry.

– Przychodzi do nas na przykład poseł Arkadiusz Marchewka. Opowiada o pracy w parlamencie, zaprasza nas do Sejmu, czujemy się docenieni. Widzimy, że każdy z nas może potworzyć tę samą drogę. I fajnie, ale jest coś jeszcze: posłowie wpisują nas na listy społecznych asystentów, rozdają legitymacje na lewo i prawo. A dzięki temu możemy o każdej porze dnia wejść do Sejmu. Czy pan wie, jakie wrażenie na młodym chłopaku, który ogląda rolki z ulubionymi posłami, robi przebywanie w jednym pokoju ze znanymi politykami? Przecież to jest kosmos, dotknięcie Boga! – emocjonuje się mój rozmówca.

Z entuzjazmem opowiada, że młodzi sporo uczą się od starszych posłów, którzy zabierają ich na posiedzenia komisji i pokazują, w jaki sposób tworzy się prawo. – To jest najfajniejsza szkoła polityczna, kiedy widzimy z bliska pisanie ustaw, dyskusje w trakcie sejmowych komisji, zakulisowe rozmowy pomiędzy klubami parlamentarnymi. A poza tym widzimy sprawczość naszych starszych kolegów.

Młodzi widzą więc, że ludzie o 15 lat starsi od nich zostali ministrami, dostali się do Parlamentu Europejskiego, weszli do Sejmu, są co drugi dzień w mediach. To działa na wyobraźnię. – Ci bardziej ambitni poświęcają się pracy partyjnej. Po jakimś czasie dostajemy miejsce na liście w wyborach samorządowych. Co z tego, że nie mamy najmniejszej szansy się dostać, choć rzecz jasna są przypadki dobrych kampanii i przekonujących kandydatów, którzy pracują teraz w radach dzielnic. Liczy się coś innego: ktoś nas zauważył, dał nam szansę, więc ciśniemy dalej – opowiada ten sam student.

Druga wersja jest bardziej zniuansowana. – Młodzieżówka jest wykorzystywana przez polityków, a my nie mamy żadnej pod-

IPN czy IPN?

Prezydent, któremu przeszłość zasłania to, co przed nami, każe Polsce iść przed siebie tyłem. Zwykle kończy się to uderzeniem w ścianę bądź bolesnym upadkiem.



Marcin Matczak

Karol Nawrocki mieszka w Belwederze, ale psychologicznie chyba nigdy nie wstał od poprzedniego biurka. Wciąż jest prezesem Instytutu Pamięci Narodowej – tyle że teraz jego instytutem jest cała Polska. To duży problem, bo dzisiaj Polska powinna być raczej Instytutem Przyszłości Narodowej. A prezydent powinien rano przy kawie skupiać się na tym, co możemy razem zrobić, a nie, co nam kiedyś zrobiono.

Nawrocki woli jednak przeszłość. Woli rozdrapywać rany, bo blizna, która się zagoiła, już nie boli, a przez to nie nadaje się na emocjonalne paliwo dla mas. On zaś paliwo potrzebuje, bo umie podgrzewać tylko jedną emocję – nienawiść – i na niej budować patriotyzm. W tym sensie jako prezes Instytutu Pamięci będzie miał zajęcie zawsze, bo krzywd w naszej historii nie zabraknie nigdy. Jako prezes Instytutu Przyszłości musiałby coś zaryzykować: zaufać, zaplanować, zbudować. A to nie jest tak emocjonalnie gorące.

Zatopieni w przeszłości

Najlepiej widać to myślenie w odebraniu Zelenkiemu Orderu Orła Białego. Dlaczego Nawrocki od razu wybrał taką reakcję? Bo jest ona jak zerwanie insygnii z munduru zdrajcy. To była pierwsza myśl człowieka, który świat dzieli na lojalnych i zdrajców, bo czyta ten świat wyłącznie kategoriami tego, co za nami, nie tego, co przed nami.

Zelenki, godząc się na nadanie jednostce imienia Bohaterów UPA, wykonał gest niewrażliwy na nasz ból i głęboko błędny, co polscy politycy wszystkich partii potępli jednym głosem. Ale błąd i zdrada to dwie różne rzeczy. Błąd można przeprocować, zdrada zamyka przyszłość. Tego zamknięcia dokładnie chciał Nawrocki i ten komunikat został zrozumiany w Moskwie lepiej niż gdziekolwiek indziej.

Nawrocki i jemu podobni są zatopieni w przeszłości, bo przyszłość wymaga rzeczy, które dziś uchodzą za słabe: przede wszystkim nadziei i współpracy. Gniew mobilizuje szybciej, nienawiść łączy ludzi mocniej niż jakikolwiek wspólny plan. Nadzieja każe czekać, planować, wierzyć w cudzą dobrą wolę, a to dzisiaj dla wielu wyborców pracicy dowód naiwności. Dlatego ich politycy nie umieją jednoczyć emocją pozytywną. Potrafią skleić ludzi już tylko jednym – ideą wielkiego wroga. Dlatego Nawrocki wybrał drogę najłatwiejszą, najefektywniejszą w mediach i dla Polski najgorszą.

A mógł inaczej. Mógł wygłosić wielką mowę, która zamieniłaby tę zniewagę w pokaz siły: że Polska jest na tyle pewna tego, kim jest, że nie niszczy wszystkiego, co nas łączy, przez jeden gest, który dzieli. Że pamiętamy o Wołyniu i nie zapomnimy nigdy i właśnie dlatego nie pozwolimy Moskwie zrobić z naszej żaloby swojej broni. Taka mowa byłaby dla Ukrainy jednoznaczna, dla Polski potwierdzająca jej pozycję, a Kremlo-

wi nie dalaby satysfakcji z pękniętego polsko-ukraińskiego sojuszu.

Godność osiłka w bramie

Polska już raz pokazała, jak można się zachować godnie, i to wobec krzywdy nieporównanie cięższej. W 1965 roku polscy biskupi napisali do niemieckich słyne: „Przebaczmy i prosimy o przebaczenie”, choć od Auschwitz dzieliło nas ledwie 20 lat. Komunistyczna władza odpowiedziała wtedy kampanią „Nie przebaczymy, nie zapominamy”, bo władzy, która karmi się wrogiem, pojednanie zawsze przeszkadza, choć nie jest zdradą pamięci, lecz jej najdojrzałą formą.

Niestety, za wyborem Nawrockiego stanął pewien gorszy rodzaj rozumienia godności. Nie takiej, która jest spokojną pewnością siebie, ale tej wynikającej z niskiej narodowej samooceny. Agnieszka Golec de Zavala, która od lat bada narcyzm zbiorowy, opisuje go jako wiarę w wielkość własnej grupy i przekonanie o wyjątkowości, które trzeba bez końca potwierdzać cudzym aplauzem, a w jego braku lub, nie daj Boże, w przypadku krytyki – natychmiastową karą. To nie zdrowa duma, ale coś znacznie bardziej kruchego, coś, co każe widzieć zniewagę właściwie wszędzie.

To jest godność osiłka w bramie, który pyta: „Masz jakiś problem?”, a któremu lepiej nie patrzeć w oczy, bo każde spojrzenie bierze za pogardliwe albo wyzywające. Naród narcystyczny zbiorowo zachowuje się jak ten osilek i takiego narodu nasz prezydent jest dziś najgorliwszym reprezentantem. Narcyzowi zależy bowiem nie na realnym dobru wspólnoty, lecz na jej obrazie w cudzych oczach. Dlatego Nawrocki woli bronić obrazu pamiętanej krzywdy niż realnej polskiej przyszłości.

Tyłem do przodu

A że na celowniku jest dziś Ukraina, a nie Rosja – tego nie wytłumaczy żadna racjonalność poza jedną. Nienawiści do Rosji powiększyć się już nie da, bo jest u szczytu. W repertuarze nienawistników musi więc pojawić się ktoś nowy, z potencjałem rozbudzenia właściwych emocji. Ukraińcy nadają się znakomicie, bo – jak kiedyś mniejszość żydowska – są „bliskim obcym”: trochę naszym, ale nie całkiem. Są pod ręką, łatwo o gest, po którym można zapytać: „Masz jakiś problem?”, a potem zaatakować, bo nie chroni ich przynależność do wspólnoty.

Nawrocki, skupiając się na naszej pamięci, podkopuje naszą przyszłość. Jego zwolennicy cieszą się tym, że dzięki odebraniu orderu świat znów usłyszał o Wołyniu. Problem w tym, że ten sam gest zwiększa ryzyko, że coś równie strasznego jak Wołyń kiedyś się powtórzy – na przykład ze strony Rosji. Do bezpieczeństwa potrzeba nam dziś bardziej niż pamięci o latach 40. XX wieku dobrej współpracy z Ukrainą przeciw Rosji – na lata 30. i 40. wieku XXI.

Oprócz pytania, co z Polakami zabitymi na Wołyniu, proponuję zadać więc drugie: co zrobić, żeby zabitych Polaków nigdy więcej nie było? Pierwsze zadaje prezes Instytutu Pamięci. Drugie zadałby prezes Instytutu Przyszłości, gdybyśmy go mieli. To, co zrobił Zelenki, wymagało interpretacji, by uznać to za krzywdzącą. Sam Nawrocki mówił kiedyś, że każdy naród ma swoich bohaterów – przeciwieństwo my także hołubiemy postaci, eufemistycznie mówiąc, niejednoznaczne, jak „żołnierze wyklęci”. Jednak tego, co zrobił Zelenkiemu Nawrocki, interpretować nie trzeba: to gest wprost wrogi – i to wrogi nie tylko Kijowowi, ale także naszej własnej przyszłości. A prezydent, któremu przeszłość zasłania to, co przed nami, każe Polsce iść przed siebie tyłem. Zwykle kończy się to uderzeniem w ścianę bądź bolesnym upadkiem. ●

Przyczynki Przydacza

Minister Przydacz potrafi zagmatwać zdanie – wydawałoby się – niezagmatwalne. Pytany cztery razy o obecność przy jakichś wydarzeniach nie odpowiadał po prostu: „Mnie tam nie było”, za każdym razem mówił „Ja tam nie byłam”.



Michał Rusinek

W czasie wizyty Karola Nawrockiego w Waszyngtonie odbył się tzw. briefing Marcina Przydacza, szefa Biura Polityki Międzynarodowej w Kancelarii Prezydenta RP. Analizę merytoryczną jego wypowiedzi zostawmy politologom. Przyjrzyjmy się jej językowi, bo jest on godny podziwu.

PO PIERWSZE, ulubionym słowem Przydacza okazuje się „przyczynek”. Pojawiło się już w pierwszym jego zdaniu: „Głównym przyczynkiem do tej wizyty było zaproszenie, jakie prezydent Stanów Zjednoczonych, pan Donald Trump, wystosił wobec prezydenta Karola Nawrockiego”. Przyczynek to załączek lub wydarzenie będące załączkiem lub zapowiedzią czegoś. Przydacz traktuje, jak widać, zaproszenie jako wydarzenie, żeby móc posłużyć się swoim ulubionym słowem. W dodatku uważa, że zaproszenie wystosowuje się wobec kogoś, choć prościej byłoby do kogoś. Ale Przydacz albo nie chce, albo nie umie prościej.

Ale nie zniechęcajmy się. Słuchajmy dalej: „Wczoraj [...] obserwowaliśmy państwo duże wydarzenia natury sportowej, ale śmiem twierdzić, że można mówić o wielkim »show« [...]. Show sportowe [jest] oczywiście ważnym elementem, skupiającym uwagę, świętującym 250. rocznicę funkcjonowania Stanów Zjednoczonych, ale to także przyczynkiem do ważnych dyskusji politycznych”. Owszem, gala MMA była wydarzeniem skupiającym uwagę, ale nie ona świętowała, tylko była, skądinąd dość kuriozalną, formą świętowania. Dla Przydacza była jednak przyczynkiem, już drugim, tym razem do dyskusji. Był też i trzeci przyczynkiem Przydacza, bo „pan prezydent [...] był obecny na samej recepcji wydawanej przez prezydenta Stanów Zjednoczonych [...]”. Tak to się po angielsku nazywa: »recepca«, ale tak naprawdę po polsku można to nazwać kolacją, bankietem [...]. Ten bankiet był także przyczynkiem, by rozmawiać długo i szeroko o tematach ważnych dla Polski i Polaków”. „Recepca” jest zupełnie niepotrzebną kalką z języka angielskiego, kojarzącą się z hotelarstwem – która w dodatku uruchamia niepożądane konteksty z biografii pana prezydenta. „Reception” to po polsku po prostu przyjęcie, które fonetycznie jakże pięknie by brzmiało obok przyczynku.

PO DRUGIE, minister Przydacz spolszczył angielski czasownik „to task someone”, ale nie jako „przydzielić komuś określone zadanie”. Powiedział: „Pan prezydent Karol Nawrocki po powrocie zaprosił [ministra Kosiniaka-Kamysza], tak, aby móc się podzielić tymi informacjami, które otrzymał w Waszyngtonie, a z drugiej strony zadaniować wzajemnie stroną rządową, aby móc wypełniać konkretne kroki, które nas przybliżą do zwiększonej obecności amerykańskiej”. Stajemy tu przed dylematem: czy starać się rozsuplać tę składniową płatanię, czy raczej podziwiać jej kunsztowny w swej nonszalancji supel. Nie przypuszczaliśmy, że kroki można wypełniać, choć wypełnialiśmy już kiedyś kamienie

milowe, więc powinniśmy się byli przyzwyczaić. W innym zdaniu Przydacz powiedział, że „trzeba wypełnić tę deklarację konkretnymi poddecyzjami o charakterze strategiczno-planistycznym”. Tutaj mamy do czynienia z figurą zeugmy: „wypełnić deklarację” oznacza spełnić zawarte w niej obietnice, ale Przydacz uważa, że deklaracje można wypełniać czymś. Nie wiemy co to są „poddecyzje” i jak się mają do decyzji, ale chyba wolimy tego nie wiedzieć.

Najważniejsze jest tu „zadaniowanie”, bo to odważna próba posłużenia się nowym czasownikiem (pojawiał się on już wcześniej, acz sporadycznie, w wypowiedziach osób związanych ze służbami specjalnymi: agenta można „zadaniować” lub „zalegendować”), który razem pokazuje, jak Przydacz wyobraża sobie współpracę między prezydentem a rządem. Takiej kompetencji nie ma zapisanej w konstytucji także dlatego, że w czasie, kiedy powstał tekst ustawy zasadniczej, nie było jeszcze czasownika „zadaniować”. Wydaje się natomiast, że minister Przydacz w trakcie konstruowania wypowiedzi przypomniał sobie o konstytucyjnym podziale kompetencji (w końcu jest prawnikiem), bo złagodził wypowiedź określając „zadaniowanie” jako „wzajemne”. I tym samym jeszcze bardziej ją zagmatwał.

PO TRZECIE, minister Przydacz potrafi zagmatwać zdanie – wydawałoby się – niezagmatwalne. Pytany cztery razy o swoją obecność przy jakichś wydarzeniach nie odpowiadał po prostu: „Mnie tam nie było”, a za każdym razem mówił „Ja tam nie byłam”.

Może to być znów kalka z angielskiego – która może się przytrafić komuś, kto jest akurat w anglojęzycznym kraju i musi mówić po angielsku – ale podobno skłonność do nieposkromionego posługiwania się zaimkiem „ja” charakteryzuje pewien typ osobowości.

PO CZWARTE, minister Przydacz okazał się orędwnikiem prawa do „autodefiniowania” samych siebie. Chodziło mu o Zbigniewa Ziobrę i jego nową rolę dziennikarza: „Jeśli chodzi o bycie dziennikarzami, to można się zastanowić, czy są dziennikarzami ci, którzy się [tak] autodefiniują. Kwestia autoidentyfikacji każdego człowieka jest jego indywidualną sprawą. To jest bardzo niebezpieczne – tu zwrócił się do dziennikarza – jeśli pan odmawia ludziom autoidentyfikacji. Nie jest moją rolą, żeby decydować o tym, kto kim jest: jaką ma pieć... Chyba że pan chce decydować o tym, jaką kto ma pieć?”. Zapamiętajmy sobie tę deklarację pana ministra, bo być może trzeba mu ją będzie kiedyś przypomnieć.

PO PIĄTE, posłuchajmy tego zdania: „Dzisiejsza koalicja rządząca [...] stara się zamykać oczy na realne problemy, a jednocześnie kreować wytworzone problemy”. Nie wiemy, jak można wykreować coś już wytworzonego (podobnie jak wytworzyć coś już wykreowanego). Zwróćmy za to uwagę, że aspekt imiesłowu zemścił się na Przydaczu: skoro problemy były już wytworzone, a nie są właśnie wytwarzane, to może wytworzyła je nie obecna koalicja rządząca, ale poprzednia? Wówczas nie trzeba ich kreować, bo już istnieją.

PO SZÓSTE, na koniec minister Przydacz zapytany o to, jak prezydent podchodzi do uszczupliwości ze strony szefa polskiej dyplomacji, odpowiedział: „To wyraz jakiejś frustracji po stronie pana ministra Sikorskiego. Rozumiem, że ma jakiś ból wewnętrzny w sobie. Już nie chcę tutaj wchodzić w szczegóły anatomiczne”.

Pewnie chodziło mu o frustrację ze strony, a nie po stronie i z pewnością chodziło mu o zadamowione już od dawna w polszczyźnie kolejne zapożyczenie z angielskiego: „but-thurt”. Niestety nie ma w angielszczyźnie równie zabawnego i subtelno określonego na ból uszu. A szkoda, bo słuchanie ministra Przydacza dostarcza go nam w nadmiarze. ●

Jestem Ukrainką i polską patriotką

Wszystko wskazuje, że to Moskwa nam
wybrała Wołyń jako symbol wspólnej
historii Polski i Ukrainy

Z PROF. OŁĄ HNATIUK
ROZMAWIA AGNIESZKA KUBLIK

FOT. SYLVIA PENC / AGENCJA WYBORCZA.PL

Jak się pani czuje w Warszawie latem 2026 roku ze swoją ukraińskością?

– Zawsze mniej więcej tak samo, to się nie zmienia – dobrze, choć łatwo nie jest.

Jestem obywatelką polską. Ukrainką – to mój wybór. Bo tożsamość jest wyborem. Moim pierwszym językiem był język polski. Ukraińskiego tak naprawdę nauczyłam się dużo, dużo później, już jako osoba dorosła. I tylko trochę zawdzięczałam to rodzicom.

Przyjęta w styczniu 2005 roku w ramach zmian w ustawodawstwie polskim niezbędnym dla członkostwa w Unii Europejskiej ustawa o mniejszościach narodowych gwarantuje mi taki wybór. Moja ukraińska tożsamość nie jest sprzeczna z byciem obywatelką RP. Moi rodzice byli obywatelami polskimi, moi dziadkowie z jednej strony poddani Imperium Rosyjskiego, z drugiej – Austro-Węgier. Podobnie jak znacznej części obywateli polskich.

Tato urodził się we wsi w powiecie hrubieszowskim w Masłomęczu, małej, mało znanej miejscowości, a dziś sławnej, przynajmniej wśród archeologów, bo znaleziono tam cmentarzysko Gotów z początków naszej ery. A tato mi opowiadał, że wykopywał z ziemi różne dziwne groty, kiedy pomagał ojcu w gospodarstwie, dosłownie może z 200 metrów od ich domu. Cieszył się jak dziecko, kiedy dokonano tego odkrycia w latach 1970. Tęsknił do swej rodzinnej miejscowości, z której go wygnano.

Rodzina ojca przeżyła trzy deportacje: w 1915, 1945 i 1947 roku. Pierwsza miała miejsce podczas od-

wrotu wojsk rosyjskich wycofujących się pod naporem Niemców. Nieruchomości i uprawy Rosjanie zniszczyli, stosując taktykę spalonej ziemi. Rewolucję rodzina taty przeżyła w głębi Rosji. Może jedna czwarta ocalała.

Wrócili do rodzinnego Masłomęcza, gospodarowali, tato założył sad. Zniszczenie ich cerkwi w 1938 roku, jednej wśród 15 prawosławnych świątyni w powiecie hrubieszowskim, było dla nich ciosem. Potem przyszły następne: wojna, Zagłada – ukrywali dziecko, które powierzyła ich opiece żydowska rodzina i zabrała, gdy Niemcy pędzili Żydów z hrubieszowskiego getta w nieznanym kierunku – terror ze strony polskiego podziemia, Ludowego Wojska Polskiego i Armii Czerwonej.

Kolejną deportację w 1945 roku przeprowadzono na mocy umowy między rządem Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej a ówczesnej komunistycznej Polski. Znaleźli się po drugiej stronie Bugu, który od tam był rzeką graniczną. Nie mieli na czym gospodarzyć. Uciekli stamtąd, by wrócić do swojej rodzinnej miejscowości. Trzecia deportacja to maj 1947 roku – akcja „Wisła”. Tej mój dziadek już nie przeżył. Zmarł w niecały rok.

Historia mojej mamy jest inna, ale nie mniej dramatyczna. Urodziła się we Lwowie 18 września 1939 roku – symboliczna data. Potem aresztowanie dziadka przez sowietów, ciężkie pobicie, nie wyszedł z tego. Pochowano go we Lwowie na Łyczakowie. Przed wojną był sekretarzem Sądu Apelacyjnego we Lwowie. Uważał się za Polaka. W księgach metrykalnych pod tym samym

nazwiskiem – Lewkowski – od XVII do końca XVIII wieku występują grekokatolicki księża, a więc, wedle ówczesnej nomenklatury – Rusini.

Natomiast moja babcia była prawosławną Ukrainką. W warunkach wojny przyjęła tożsamość polską. Po „wyzwoleniu” sowieckie władze zmusiły ją do opuszczenia domu we Lwowie. Potem, na mocy tejże umowy z 1945 znalazła się wśród „repatriantów” i trafiła na ziemię zachodnie. Aż do przejścia na emeryturę nie miała własnego kąta.

Podsumowując: tak, mam ukraińskie korzenie, wiele ludzi w Polsce ma różne korzenie.

Dziś to może być problemem. Zaczynają padać pytania o pochodzenie.

– To jest problemem, ale nie moim. Ja z tym nie mam problemu. To społeczeństwo polskie ma z tym problemem.

Jaki?

– To problem z tolerancją i z pamięcią o tym, że Rzeczpospolita była domem nie tylko Polaków, choć w okresie międzywojennym z „nie-Polaków” uczyniono obywateli drugiej kategorii.

„Piastowski mit” narzucony przez peerelowską propagandę miał za zadanie zrównać wszystkich, stworzyć iluzję społeczeństwa jednolitego. Na podobnej zasadzie jak w ZSRR tworzone „człowieka sowieckiego”. A to, że wykorzystano przy tym patriotyczne hasła, nie zmienia faktu – chodziło o to, by ludzie się bali inności.

my w rodzaju „Ogniomistrz Kaleń” oparty na „Łunach w Bieszczadach” Jana Gerharda też miały w tym swój udział. Nie mniejszy niż o pół wieku późniejszy „Wołyń” w oparciu o opowiadania Stanisława Srokowskiego pod znamennym tytułem „Nienawiść”.

Wróć jednak do chronologii: czasy Solidarności przyniosły zmianę klimatu, a to dzięki działalności i otwartości demokratycznej opozycji. Część Ukraińców w Polsce traktowała to z nieufnością, ale znakomita większość wierzyła, jak większość Polaków, że możliwa jest demokratyzacja systemu. To wtedy, jesienią 1981, powstało posłanie do narodów Europy Wschodniej. Historyczny dokument: „Solidarność” wzywała kraje bloku sowieckiego do wspólnej walki o demokrację. Wielka nadzieja na odzyskanie wolności, podmiotowości, godności skłaniała do myślenia o wspólnocie losów.

Później, podczas stanu wojennego zaczęła się straszliwa nagonka na Ukraińców. Nie mam wątpliwości, że wskazówka nadeszła z Moskwy. Chodziło o niedopuszczenie do polsko-ukraińskiego porozumienia, które stanowiło potencjalne zagrożenie dla imperium. Prym w tym wiodł „historyk” Edward Prus, autor antyukra-

Wisła nie nosiła znamion zbrodni. Podkreślam: mowa o czystce etnicznej na obywatelach polskich, wobec których zastosowano zasadę zbiorowej odpowiedzialności.

Po ogłoszeniu niepodległości przez Ukrainę w 1991 roku Polska była pierwszym krajem, która ją uznała. Od tamtej pory można mówić o stosunkach między dwoma suwerennymi podmiotami prawa międzynarodowego.

Oprócz relacji na poziomie państwowym zaczął się dialog na poziomie elit. W maju 1990 roku odbyło się pierwsze spotkanie polskich opozycjonistów z ukraińskimi. W 1994 roku zaczęły się cykliczne seminaria historyków polskich i ukraińskich, gdzie dyskutowano nie tylko o drugiej wojnie światowej.

Bo nasza historia to nie jest tylko Wołyń 1943. Niestety, dziś z całej tysiącletniej historii wybiera się Wołyń.

Kto wybiera?

– Kto? Wszystko wskazuje, że to Moskwa nam wybrała. Zrobili wszystko, by dziś dla większości polskiego społeczeństwa cała wspólna historia Polski i Ukrainy sprowadziła się do Wołynia. Obawiam się, że mało kto

Kompromis tylko w jednym przypadku nie jest możliwy: gdy nie ma takiej woli. Jak w starym, niekoniecznie idealnym małżeństwie. Pokłóciliśmy się o coś, co dzisiaj wydaje nam się arcyważne, ale czy to jest powód do rozwodu?

inńskich pamfletów. Emitowano programy telewizyjne, prasa tropiła „ukraińskich nacjonalistów”.

A tymczasem zarówno w kraju, nieoficjalnie, w podziemiu, w podziemiach kościołów, a także na emigracji trwały wysiłki na rzecz polsko-ukraińskiego porozumienia i pojednania.

W 1987 roku w Rzymie na zaproszenie Jana Pawła II odbyło się pierwsze spotkanie polskiego episkopatu z biskupami ukraińskiej cerkwi greckokatolickiej. To były działania wspólnoty religijnej, ale dotyczyły również laikatu.

Czuliśmy jedność i chęć wspólnej rozmowy. Po historycznym spotkaniu episkopatów, w 1988 roku rocznicę Tysiąclecia Chrztu Ukrainy obchodzono zarówno w Rzymie, jak i w Polsce. Nie gdzie indziej jak w Częstochowie, na Jasnej Górze.

A potem nadszedł rok 1989...

– ...tak, przełomowe wybory, komuniści oddają władzę, a w Sejmie znajduje się miejsce dla przedstawiciela mniejszości. To było niesłychanie ważne – przedstawiciel ukraińskiej mniejszości w polskim Sejmie!

Rok 1991: papież Jan Paweł II przyjeżdża do Polski, odwiedza Przemyśl – i nagle okazuje się, że mimo jego autorytetu katolicy odmawiają zwrotu katedry odebranej grekokatolikom w 1946 roku po likwidacji Kościoła Grekokatolickiego przez sowieckie władze. Niestety, nie tylko katedry nie zwrócono, ale doszło do wandalizmu – zniszczono charakterystyczne dla obrządku bizantyjskiego kopuły. Dokładnie tak, jak w PRL usiłowano zatrzeć ślady ukraińskości na ziemiach wschodnich, zmieniając ukraińsko brzmiące nazwy miejscowości na obszarze południowo-wschodniej Polski.

A przecież był to rok 1991, Polska od dwu lat wolna, papież wypowiada znamienne słowa: „świętujmy wyjście ukraińskiego Kościoła grekokatolickiego z katakumb”.

Takich zadr na początku lat 90. było sporo, ale to nie były rzeczy nie do przezwyciężenia. W 1990 roku Senat uznał akcję „Wisła” za zbrodnię komunistyczną. W uchwale senatorowie „potępił akcję »Wisła«, w której zastosowano – właściwą dla systemów totalitarnych – zasadę odpowiedzialności zbiorowej”. A na koniec padły te słowa: „Senat Rzeczypospolitej Polskiej dążyć będzie do tego, by naprawione zostały – na ile to możliwe – krzywdy powstałe w wyniku tej akcji”.

To dawało podstawę do poprawy naszych stosunków. Wreszcie można było oddychać swobodniej. Choć od razu dodam, że krzywd nie naprawiono, wiele ofiar nadal nie ma mogił, a prokurator IPN uznał, że akcja

w Polsce śledzi ten właśnie wątek rosyjskiej propagandy i wpływu.

Wracam jednak do chronologii: lata 90. oczywiście były trudne dla wszystkich, bo nasze społeczeństwa gwałtownie zubożały. Ale otworzyły się granice i coraz więcej Ukraińców przybywało do Polski. Dużo Polaków wędrowało po Ukrainie, nie tylko szlakami Sienkiewicza. Te osobiste spotkania mają ogromne znaczenie, przecinają się wspólne pola kulturowe, religijne, ekonomiczne. Stopniowo poprawiał się wizerunek Ukraińca – od drugiego miejsca od dołu powoli przesunął się w górę.

W czerwcu 2001 roku Jan Paweł II przybył z wizytą do Kijowa i Lwowa. Miała ona absolutnie przełomowe znaczenie dla sprawy pojednania, słowa papieża, które wtedy padły... Mogę przytoczyć.

Poproszę.

– „Niech dzięki oczyszczeniu pamięci historycznej wszyscy gotowi będą stawiać wyżej to, co jednoczy, niż to, co dzieli, żeby razem budować przyszłość opartą na wzajemnym szacunku, braterskiej współpracy i autentycznej solidarności”.

Zacytuję też wypowiedziane w trakcie wizyty papieskiej słowa metropolity Ukraińskiego Kościoła Grekokatolickiego Lubomira Huzara: „Historia naszego Kościoła w minionym stuleciu знаła także ciemne i tragiczne duchowo momenty. Polegały one na tym, że niektórzy synowie, podkreślam niektórzy synowie i córki ukraińskiego Kościoła grekokatolickiego, ku naszemu ogromnemu żalowi, świadomie i dobrowolnie wyrządzili krzywdę swoim bliźnim. Spośród swego narodu czy innych narodów. Za wszystkich nich, w Twojej obecności, Ojciec Święty, pragnę w imieniu ukraińskiego Kościoła grekokatolickiego prosić o przebaczenie Pana Stworzyciela i Ojca nas wszystkich, a także o przebaczenie tych, których w jakiś sposób skrzywdziliśmy my, synowie i córki naszego Kościoła, żeby już nie ciążyła na nas straszliwa przeszłość i nie utrudniała nasze życie. Chętnie przebaczymy tym, którzy w jakiś sposób skrzywdzili również nas”.

W lipcu 2003 roku Rada Najwyższa Ukrainy i Sejm RP wydały Oświadczenie w związku z 60. rocznicą tragedii wołyńskiej. Proszę zwrócić uwagę na brzmienie tytułu tego dokumentu. I porównać to sformułowanie z przyjętymi 20 lat później. Tamto oświadczenie było oczywiście kompromisem, wiadomo, z kompromisu nikt nie jest zadowolony, ale wydawało się, że to symboliczne zamknięcie trudnego rozdziału historycznego i oddanie hołdu pomordowanym.

Obywatelom z inną niż centralno-polska tożsamość pozostawało kultywowanie tradycji i pamięci w rodzinnym gronie albo wyjazd z Polski. Dlatego tak łatwo było o skandal wokół wystawy „Nasi chłopcy”, przypominającej o tragicznych losach tych, którzy zostali wcieleni do Wehrmachtu, nie mówiąc już o historii z „działkiem z Wehrmachtu”.

Stosunek Polaków do Ukraińców zmienia się. Pani ma doświadczenia jeszcze z PRL.

– Rzeczywiście, moja perspektywa obejmuje ponad pół wieku i mogę mówić zarówno o pozytywnych zmianach, jak i o negatywnych doświadczeniach. Najgorzej było chyba w połowie lat 1980, choć moja pamięć jako dziecka sięga przełomu lat 60. i 70.

Po 1956 roku władze zezwoliły na działalność towarzystw mniejszości narodowych. Ukraińskie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne co roku organizowało akademie czy też koncert poświęcony Tarasowi Szewczenko. Uroczystości odbywały się w różnych miejscach, między innymi w Teatrze Żydowskim, wówczas jeszcze przy placu Grzybowski. To jeden z przykładów współpracy między mniejszością żydowską a ukraińską.

Na co dzień jednak Ukraińcy ukrywali tożsamość, gdyż antyukraiński stereotyp powodował stygmatyzację. Propaganda wpływała nawet na dzieci – poprzez szkolne lektury, jak na przykład „Ślady rysich pazurów” pełne antyukraińskich treści. Literatura z popularnej historycznej serii „Tygrysa”, która miała trafiać jak najszerszej, Ukraińców przedstawiała jako bandytów. Fil-



Profesor Ola Hnatiuk

• Ukrainistka, tłumaczka, eseistka i pisarka, popularyzatorka kultury ukraińskiej. W latach 2006–10 była radcą polskiej ambasady w Kijowie. Pracowała w Instytucie Sławiistyki PAN i w Studium Europy Wschodniej Uniwersytetu Warszawskiego. Odznaczona orderem Polonia Restituta.

FOT. DAWID ZUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

Rok później Polska przystąpiła do Unii Europejskiej.

– A elementem polskiej strategii akcesji były dobre stosunki z sąsiadami, w szczególności z Ukrainą. Polska była adwokatem Ukrainy.

Tyle że po akcesji polsko-ukraińskie strategiczne partnerstwo stopniowo słabło. Kryzys się zaczął mniej więcej w 2008 roku. Zerwano seminaria polsko-ukraińskie, nie udało się doprowadzić do wspólnego projektu badawczego i kontynuowania dialogu już w ramach wspólnej pracy. Dla przeciętnego Ukraińca zaszła fundamentalna zmiana: wprowadzono wizy.

Mniej więcej wtedy zaczęło się zmieniać w Polsce myślenie polityczne, coraz częściej podważano koncepcję wschodniej polityki wypracowaną przez Jerzego Giedroycia [słynny emigracyjny wydawca, działacz i myśliciel, autor doktryny, że warto zapomnieć o rachunku krzywd, bo niepodległa Ukraina to gwarancja niepodległości Polski] i Ludwika Mieroszewskiego. Stopniowo myśl polityczną zaczęła wypierać polityka historyczna. Zabrakło wizji przyszłości.

Można by powiedzieć: co w tym dziwnego? Osiągnięto przecież strategiczny cel, jakim była integracja z zachodnim światem. Ukraina zaś, nie tylko z winy własnych elit politycznych, coraz wyraźniej stawiała się częścią „szarej strefy”, czy może spychana była do partnerstwa wschodniego, czyli w gruncie rzeczy strefy wpływów Rosji. W Stanach, a potem w Polsce ogłoszono „reset” w stosunkach z Rosją.

Paradoksalnie nastąpiło to po zwycięstwie „pomarańczowej rewolucji” w Kijowie i wielkim zrywie polskiego społeczeństwa obywatelskiego.

Dalej w chronologii błędów był rok 2010 i dekret ustępującego prezydenta Wiktora Juszczenki [jeden z liderów Pomarańczowej Rewolucji, która w 2004 roku wyrwała Ukrainę z postsowieckiej orbity, gdy w 2005 roku został prezydentem, obrał prozachodni kurs] przyznający tytuł bohatera Stepanowi Banderze za „niezlomny duch w służbie idei narodowej, bohaterstwo i poświęcenie w walce o niezależne państwo ukraińskie”.

I rozpętało się piekło. Polscy europosłowie nie zawahali się apelować w tej sprawie na forum międzynarodowym, w Parlamencie Europejskim. Ta uchwała wywarła bardzo złe wrażenie w Ukrainie. Zaufanie, mozolnie budowane przez polską emigrację, zwłaszcza Giedroycia i środowisko „Kultury”, przez ukraińską emigrację w Stanach Zjednoczonych i w Kanadzie, przez hierarchię kościelną, przez polityków niepodległych już krajów, zostało poważnie nadszarpięte.

Cóż, Bandera to dla Polaków postać negatywna. Terrorysta, który organizował zamachy na przedstawicieli władz pol-

skich, jest odpowiedzialny za zbrodnie popełnione przez OUN i UPA na Polakach w czasie wojny.

– Nie zamierzam wchodzić w rolę oskarżyciela ani obrońcy – to ślepy zaułek. Terroru nie wolno usprawiedliwiać. Wolno natomiast odróżniać mity od faktów.

Bandera był Ukraińcem, obywatelem polskim. Po zamachu na ministra Pierackiego, oskarżony o współudział w jego organizacji, spędził cztery lata w więzieniu. Na wolności znalazł się po tym, jak w obliczu upadku państwa otwarto więzienie w Brześciu we wrześniu 1939 roku. W lipcu 1941 roku Bandere aresztowali Niemcy; resztę wojny pozostawał w obozie Sachsenhausen. W 1959 roku został zamordowany przez Ukraińca, sowieckiego agenta. Można zatem mówić o politycznej czy moralnej odpowiedzialności za zbrodnie Bandery jako przywódcy tego odłamu OUN. Niczym więcej.

Sprawdzenie całego ukraińskiego ruchu narodowego w okresie międzywojennym do OUN to fałszowanie historii. Absolutna większość to nurt demokratyczny. Ukraińska społeczność w swej masie odrzucała terror jako metodę walki. Warto też umieć przyznać: państwo polskie bezwzględnie zwalczało ukraińskie aspiracje niepodległościowe.

Nolens volens, przedwojennymi obywatelami polskimi byli zarówno członkowie OUN, jak też Ukraińskiej Powstańczej Armii. A OUN w latach 1930 stosowała terror nie tylko wobec przedstawicieli władz polskich, ale również wobec ukraińskich działaczy. Mordowano też tych członków własnej organizacji, których uznano za konfidentów.

W latach 1940 i na początku 1950 UPA walczyła z Niemcami, sowieckimi partyzantami, z oddziałami NKWD. W latach 1943–45 oddziały UPA dopuściły się zbrodni na polskiej ludności cywilnej.

Dziś w Ukrainie pamięta się o UPA jako tej formacji, która najdłużej walczyła z sowiecką władzą. W Polsce kojarzy się ją wyłącznie ze zbrodniami. W obu przypadkach to czarno-biały obraz, bardzo daleki od rzeczywistości.

Nie można też tracić z pola widzenia tła, na jakim się to wszystko rozgrywało – geopolityczna rozgrywka o Europę Wschodnią w okresie międzywojennym i II wojna światowa. Mam wrażenie, że w Polsce w ogóle zapomniano o skali zbrodni podczas drugiej wojny światowej. To już w ogóle nie istnieje. Tylko Wołyń.

Istnieje, jest dla Polaków ważna i stale obecna w publicznych debatach. Antyniemieckie nastroje rozneciają chuligani, skrajni pravicowcy populisci. I z tej pamięci bierze się nieufność wobec Rosji, nasza silna odporność na putinowską propagandę.

– Nie powiedziałabym, że mamy silną odporność na putinowską propagandę. Nie wątpię

natomiast, że antyniemieckie nastroje również są wykorzystywane. Jednak nie w tym stopniu jak Wołyń.

Może w tym momencie tak, ale przecież Jarosław Kaczyński nazywa premiera polskiego rządu niemieckim zdrajcą – i to uruchamia emocje wyborców. Pamięta pani, że podczas kampanii prezydenckiej w 2005 roku Tusk przegrał z Lechem Kaczyńskim, bo za sprawą PiS pojawiły się nieprawdziwe informacje, że jego dziadek służył w Werhmachcie. Więc nie jest tak, że zafiksowaliśmy się tylko na traumach, krzywdach doznanych od Ukraińców.

– Pamiętam oczywiście „dziadka z Wehrmachtu”, zresztą wspominałam o przyczynach, dla których było to możliwe.

Tu warto wspomnieć o innym kontekście towarzyszącym kampanii prezydenckiej w Polsce w 2005 roku. W ukraińskiej kampanii wyborczej w 2004 roku rosyjska propaganda zrobiła z ojca Juszczenki kolaboranta. Ojciec Juszczenki był więźniem Auschwitz. Ale już sam fakt, że się znalazł w niemieckim obozie, posłużył jako metoda skompromitowania go w oczach Ukraińców pamiętających groźbę wojny, zniszczenia dokonane przez hitlerowców. Ta metoda została skopiowana w Polsce rok później.

Putin to nam podrzucił?

– To był ten sam wzorzec.

W maju prezydent Zelenski na wniosek żołnierzy elitarniej jednostki nadaje imię bohaterów UPA. Miał prawo, ale konsekwencje chyba były do przewidzenia, skoro raptem kilkanaście lat wcześniej Polacy – w spokojniejszych, mniej szarpających nerwy czasach – tak ostro zareagowali na Juszczenkę z Bandera.

– To był błąd.

To była świadoma decyzja prezydenta Ukrainy?

– Tak myślę. W przeciwnym razie trzeba by mówić o niekompetencji.

Zelenski mógł tej prośby weteranów nie spełnić?

– Nie.

Spodziewała się pani takiej hysterii w Polsce?

– Tak. Ale myślałam, że do odebrania Orderu Orła Białego nie dojdzie, bo to byłoby bardzo nieroztropne. Po obu stronach mamy do czynienia z emocjami. Tylko że jedna ma poważne usprawiedliwienie – w centrum uwagi pozostaje wojna, w której codziennie giną nie tylko żołnierze, ale i ludność cywilna.

Ten sam Karol Nawrocki, który dziś odbiera order, jako szef IPN w 2023 roku mówił: „Ukraińcy mają prawo wybierać swoich bohaterów, nawet jeśli jest to Stepan Bandera. Polacy nie będą wybierać patronów ukraińskich ulic”.

– Pozwoli pani, że nie skomentuję. Wrócę do szerszej perspektywy i powiem tak: w którymś momencie przedstawiono zwrotnicę.

Kto przestawił?

– Jeśli prześledzić, co równoległe działo się w Polsce, w Ukrainie i w Rosji, to widać zbieżność w czasie.

W 2010 roku, po dekrete prezydenta Juszczenki, niemalże równocześnie pojawiła się wspomniana uchwała Parlamentu Europejskiego, a pierwszy program rosyjskiej telewizji wyemitował „dokumentalny” film „Pomarańczowe dzieci Trzeciej Rzeszy”. Zmieszano w nim z błotem nie tylko Juszczenkę, ale i jego żonę, Amerykankę z pochodzenia, i jej przyjaciółkę Paulę Dobrianską. Chodziło o całkowitą dyskredytację zarówno ukraińskiej niepodległości, jak też działań powojennej ukraińskiej emigracji w Stanach Zjednoczonych na jej rzecz. Ukraińska emigracja została przedstawiona jako zgraja kolaborantów i zbrodniarzy wojennych. Podobny język słyszemy dziś w Polsce. Jakbyśmy wrócili do PRL, do lat 80.

Inna rzecz, że to szerokie zjawisko, dziś nie chodzi tylko o Ukraińców, trwa straszliwe szerzenie się nienawiści do wszystkich „innych”. Mamy podpalenia, pobicia, pseudopolicyjne patrole, które wypatrują na Dworcu Centralnym ludzi mówiących innym językiem, o innym kolorze skóry.

– To jest przerażające. Nie tylko to, że w społeczeństwie polskim jest na to przyzwolenie, ale przede wszystkim przeraża brak reakcji władz. Podszycanie się pod funkcjonariuszy policji czy straży granicznej nie tylko jest karalne, jest skrajnie niebezpieczne dla władzy państwowej.

Był możliwy kompromis w sprawie orderu Zelenskiego?

– Kompromis tylko w jednym przypadku nie jest możliwy: gdy nie ma takiej woli. Jak w starym, niekoniecznie idealnym małżeństwie. Pokłóciliśmy się o coś, co dzisiaj wydaje nam się arcyważne, ale czy to jest powód do rozwodu?

Pani się urodziła 11 listopada.

– To jakoś symboliczna dla mnie zbieżność dat. Kiedy to święto w PRL-u było zakazane, przekornie żartowałam: są ludzie szlachetnie urodzeni, a ja jestem patriotycznie urodzona.

I nikt mi nie wmówi, że, będąc Ukrainką, nie jestem polską patriotką. ●

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34414015



W sprzedaży!

TEMAT NUMERU:

ROZMOWY, KTÓRE RATUJĄ ZWIĄZKI

oraz:

- Pułapki terapii
- Czy można być szczęśliwym bez seksu
- Niewygodne pytania w związkach

żyć lepiej
psychologia codziennie

Więcej o psychologii
czytaj na
wysokieobcasy.pl/zyclepiej

SAMOCHWAŁA W KĄCIE STAŁA

„Wypychają nas”.
W co grają Brytyjczycy, Ukraińcy i Macron z Tuskiem?



• Premier Szwecji Ulf Kristersson i prezydent Ukrainy Wołodymyr Zełeński z wizytą w bazie flotylii lotniczej F16 w Uppsali (28.05.2026) FOT. CHRISTINE OLSSON/TT NEWS AGENCY/VIA REUTERS

Mateusz Mazzini

Przybywa sygnałów wskazujących, że tym razem rzeczywiście wojna może zostać zamrożona. I Rosjanie, i Ukraińcy mają powody, by akurat teraz usiąść do stołu negocjacyjnego.

I tu zaczynają się problemy, bo do owego stołu chciałyby dosiąść inne państwa – a to już nie każdemu się podoba.

Kijów intencję zatrzymania działań wojennych komunikuje dość otwarcie. Kyryło Budanow, były szef ukraińskiego wywiadu, dzisiaj szef kancelarii Wołodymyra Zełeńskiego, powiedział na początku czerwca, że taki scenariusz jest „jak najbardziej realistyczny”. Potwierdził też, że instrukcję doprowadzenia do zawiesze-

nia broni przed zimą przekazał mu sam prezydent.

Ukraińskie stanowisko akurat łatwo zrozumieć. Od kilkunastu tygodni sytuacja na froncie przechyla się lekko, lecz systematycznie, na ich korzyść. Ataki na rosyjskie rafinerie i inne elementy krytycznej infrastruktury energetycznej przynoszą skutek. Do tego stopnia, że Rosjanie nie zyskali dywidendy finansowej z powodu wzrostu cen ropy na światowych rynkach w wyniku blokady cieśniny Ormuz. Nie przypadkiem Zełeński unieszkodliwianie kolejnych rafinerii określa mianem „ukraińskich sankcji”.

Jak wynika z informacji ujawnionych przez niemieckie media po niedawnym szczycie G7 we francuskim Evian, nawet Donald Trump dał się przekonać, przynajmniej na chwilę, o korzystnej pozycji Ukrainy. Nikt nie próbuje mu oczywiście wmówić, że to Kijów na całkowitą przewagę na froncie, ale też nie

to jest celem takich rozmów. Chodzi o to, żeby zmienić całą optykę dyskusji o zwycięstwie i porażce w tym konflikcie. Czyli, krótko mówiąc, o pokazanie światu, że Rosja nie wygrywa, co dla Kremla jest formą porażki.

Wszystkie te tezy mają potwierdzenie w danych. „The Economist” podaje, bazując na wyliczeniach grupy eksperckiej Armed Conflict Location and Event Data project (ACLED), że tylko w 2025 roku ukraińskie wojska przeprowadziły 658 ataków na cele oddalone od granicy z Rosją o 100 lub więcej kilometrów. Jeśli Ukraińcy utrzymają tempo z pierwszej połowy tego roku, w grudniu liczba ta może przekroczyć 800. W maju uderzyli w rafinerię w Permie, położoną 1540 kilometrów w głąb terytorium Federacji Rosyjskiej. Radio Wolna Europa informuje z kolei, że aż w 14 rosyjskich regionach administracyjnych wprowadzono jakąś formę reglamentacji paliwa.

To jednak tylko fragment obrazu, który jest znacznie bardziej skomplikowany. Owszem, Ukraińcom świetnie idzie unieszkodliwianie rosyjskiej produkcji naftowej, ale sami też ponoszą olbrzymie straty, głównie w ludziach.

To demografia jest w tej chwili największym wyzwaniem dla strony ukraińskiej. Dane ukraińskiego ministerstwa sprawiedliwości pokazują, że na każde dziecko urodzone w Ukrainie przypadają trzy zgony. Na dłuższą metę taki bilans jest katastrofalny, bo Ukraińcy stracili też miliony ludzi, którzy wyjechali zaraz po pełnoskalowej inwazji w lutym 2022 roku. Spora część z nich nigdy do kraju nie wróci, z czego zresztą politycy zdają sobie sprawę. „Dramatyczna” – określił sytuację demograficzną były minister spraw zagranicznych Dmytro Kuleba w „The Financial Times”.

Dlatego nie ma przesady w stwierdzeniu, że trwający już dłużej niż pierwsza wojna światowa konflikt jest walką o przyszłość ukraińskiego narodu. To prawda w sensie nie tylko metaforycznym, ale i dosłownym. Chodzi o to, żeby po tej wojnie ktokolwiek w Ukrainie mieszkał.

Po drugie – nikt nie ludzi się, że Ukraińcy są w stanie całkowicie zagłodzić rosyjską maszynę wojenną. Owszem, Rosji spadają zyski z ropy, ale opowieści o jej rychłym bankructwie są mocno przesadzone. Alexandra Prokopenko, swego czasu pracująca w Rosyjskim Banku Centralnym analityczka Carnegie Europe, dzisiaj mieszkająca w Berlinie, dowodzi, że Rosjan stać będzie na działania wojenne o bieżącej intensywności jeszcze przez 12 do 24 miesięcy. Dopiero wtedy Władimir Putin musiałby zdywersyfikować źródła przychodu.

Wbrew sensacyjnym nagłówkom i myśleniu życzeniowemu nie ma też dowodów na wewnętrzne załamywanie się rosyjskiego reżimu albo na bunt elit. Analityczka jednego z wiodących europejskich think tanków wyraziła niedawno na zamkniętym panelu gorzką refleksją o naturze owych elit. „Bunt byłby możliwy tylko w przypadku wspólnego wroga, a tych ludzi nic nie łączy. Poza tym, skoro nie wykazali żadnych, nawet najmniejszych oznak podmiotowości przez ostatnie ćwierć wieku, na jakiej podstawie mielibyśmy zakładać, że zrobią to teraz?”.

Zelenski, Budanow i reszta ukraińskich przywódców zdają sobie z tego sprawę. W przeciwieństwie do części zachodniego establishmentu politycznego i wielu, również polskich, komentatorów, oni wiedzą, że zwycięstwem Ukrainy będzie przetrwanie w formie suwerennego państwa, przynajmniej na razie. Nie żyją fantazjami o triumfalnej defiladzie na Placu Czerwonym, całkowicie zniszczeniu rosyjskiego potencjału militarnego czy demokratyzacji reżimu Putina. Koncentrują się na tym, co realne – i co dopasowane do czasów, w których żyjemy.

Iwan Krastew, wiodący europejski politolog i historyk idei, apeluje, by zwrócić uwagę nie tylko na działania wojenne, ale i dyplomatyczne. „Wszyscy zgadzamy się, że zmieniła się natura wojny. Dłaczego więc zakładamy, że natura pokoju również nie ulegnie zmianie? – pytał, gdy rozmawialiśmy w ubiegłym tygodniu w Instytucie Nauk o Człowieku w Wiedniu.

Jego zdaniem Europa nadal tkwi w imaginariu powstałym w następstwie drugiej wojny światowej, która wyprodukowała pokój totalny, bo oparty na całkowitej kapitulacji jednej ze stron konfliktu. Z jakiegoś powodu jednak zapominamy, że upadek nazistowskich Niemiec nie byłby możliwy bez nalotów dywanowych na tamtejsze miasta, a Japonii – bez amerykańskiej broni jądrowej. A i tak, żeby w obu tych krajach zaprowadzić porządek demokratyczny i wcielić je w struktury Zachodu, potrzebna była wieloletnia okupacja. Oczywiście jest, że nic takiego w przypadku Rosji Putina nie zaistnieje. Logiczną konsekwencją tego stanu rzeczy jest więc zmiana oczekiwań co do pokoju.

Zresztą to prawidłowość widoczna nie tylko w Ukrainie. Na całym świecie otwarte konflikty międzypaństwowe przechodzą z fazy wysokiej do niskiej intensywności, ale nie znikają całkowicie. Trwały pokój przestał być elementem stosunków międzynarodowych. Widać to w Strefie Gazy i kądem prawdopodobne, że podobnie stanie się z porozumieniem Iranu i Stanów Zjednoczonych: na generalnym poziomie będzie trwałe, dające kompromis w kluczowej kwestii, jaką jest wolność żeglugi w Cieśninie Ormuz, ale w szczegółach nieprecyzyjne i generujące napięcia regularnie przechodzące w militarną agresję na niższym szczeblu.

Zelenski prowadzi więc kalkulację demograficzną – i energetyczną. Chce zatrzy-



• **Atak ukraińskich dronów na rafinerię rosyjskiego koncernu naftowego Gazprom Nieft, na południowo-wschodnich obrzeżach Moskwy. (18.06.2026)**

FOT. AFP/EAST NEWS

Coraz częściej w środowisku dyplomatów i ekspertów sugeruje się, że najlepsze, co możemy dla Kijowa zrobić, to kontynuować wsparcie finansowe i militarne, bez zaangażowania politycznego

mać wymianę ognia przed zimą, bo ostatni okres grzewczy był dla Ukrainy szczególnie ciężki. Kolejnego takiego może już nie wytrzymać, nie tylko z punktu widzenia dostaw energii – bo Ukraińcy błyskawicznie osiągnęli biegłość w naprawach i kreatywnym modyfikowaniu infrastruktury, do tego mogą liczyć na techniczne i finansowe wsparcie Unii – ale przede wszystkim społecznego nastawienia do wojny.

Rosjanie wciąż liczą na swojego najsilniejszego żołnierza – mróz. Przetrwanie po raz piąty kilku miesięcy w mieszkaniu, w którym temperatura nie przekracza 8 stopni Celsjusza w ciągu dnia, byłoby dla setek tysięcy Ukraińców naprawdę trudne. Prezydent chce im tego oszczędzić, bo morale to jedyna rzecz, której nie uzupełni dostawami od zagranicznych partnerów.

Znacznie ciekawsze są powody, dla których Rosji zależy na zamrożeniu konfliktu teraz.

Pierwszym jest stan działań wojennych. Rosjanie nie posuwają się do przodu, miejscami wręcz tracą zdobyte terytorium. Ukraina rozwija zdolności uderzeń dalekiego zasięgu, w przyszłym roku chce testowo wprowadzić do użytku własny zamiennik rakiet przechwytyjących Patriot, które Zelenski chce kupić w USA, ale Amerykanie zwyczajnie ich nie mają, bo wystrzelali się z zapasów w Zatoce Perskiej.

Nie znaczy to jednak, że Putin porzucił maksymalistyczne cele. One nie zmieniły się od wybuchu wojny. Różnica między późną zimą 2022 i latem 2026 roku polega na tym, że gdy sam prezydent nadal uważa konflikt za awanturę w rodzinie, w ramach której rodzic musi zdyscyplinować zbutowane dziecko, zdecydowana większość rosyjskiej populacji, elit i administracji już tego punktu widzenia nie podziela.

Sam Putin wciąż ma obsesję na punkcie Ukrainy. Już dawno temu różne źródła, od „The New York Timesa” po brytyjskie think tanki donosiły, że w grudniu 2021 roku, kilka tygodni przed rozpoczęciem inwazji, zamknął się na co najmniej pięć dni w archiwach państwowych, czytając dokumenty z IX wieku, mające rzekomo wskazywać na jedność etniczną i narodową Rosjan i Ukraińców.

To nie uległo zmianie. Zmieniło się zachowanie Putina, który upodabnia się do Trumpa. Wykonuje ruchy wyłącznie we własnym interesie, działa w oderwaniu od aparatu państwowego, nie słucha już nikogo. Szwedzki dyplomata wysokiego szczebla powiedział mi w ubiegłym tygodniu, że jego kraj jest w posiadaniu listy wszystkich osób, u których Putin zasięga opinii. Kiedy zapytałem o nazwiska, usłyszałem trzy: Katarzyna Wielka, Piotr Wielki i Iwan Groźny.

Ale nawet oni nie podpowiedzą Putinowi, jak oszukać polityczną i wojenną grawitację: Rosjanie mogą podtrzymywać konflikt, ale kończą się im narzędzia eskalacyjne wobec Ukrainy.

„Zdziwisz się, ale Rosja tak naprawdę nie umie eskalować” – mówi mi Krastew. Wskazuje, że na tym etapie mogłaby już tylko wykonać dwa ruchy, żeby wygrać.

Pierwszym byłby masowy pobór, mobilizacja kolejnych setek tysięcy żołnierzy. Szacunki think-tanku Institute for the Study of War wskazują, że Putin maksymalnie mógłby zapędzić w kamasze do trzech milionów nowych żołnierzy. Nawet jeśli sufit zawieszony jest znacznie niżej, bo realnie zdolnych do walki byłoby półtora czy dwa miliony, to pobór o takiej skali wywołałby niepokoje społeczne, które mogłyby się przerodzić w miejscowe bunt. Złazszcza że tym razem władze musiałyby już sięgnąć po klasę średnią.

O drugim elemencie eskalacyjnym mówi się ostatnio wiele, chętnie przypominają o nim sami Rosjanie. Ale użycie taktycznej broni nuklearnej byłoby radykalne nawet dla nich.

Dlatego Putin może szukać innego rozwiązania, które pozwoli na osiągnięcie głównego celu – zneutralizowanie ukraińskiej suwerenności – metodami niewojskowymi.

Jednym ze scenariuszy, które rozpatrują między innymi ministerstwa spraw zagranicznych Francji i Szwecji, jest zgodna zawieszenie broni przed końcem roku, pod warunkiem zgody Ukraińców na przeprowadzenie wyborów prezydenckich. Wśród europejskich dyplomatów krąży pogłoska, że do takiego rozwiązania – poświęcenie Donbasu w imię

wyeliminowania Zelenskiego – Putina przekonują rosyjskie służby, głównie FSB i SWR, Służba Wywiadu Zagranicznego.

Kalkulacja jest prosta. Wybory oznaczałyby coś więcej niż usunięcie człowieka, którego Putin nienawidzi i który gra mu ostatnio na nerwach, wytykając starczy wiek w bezpośredniej korespondencji.

W kampanii wyborczej Rosjanie uruchomią cały sprawdzony w Europie, od Polski przez Wielką Brytanię po Rumunię, arsenal dezinformacyjny i manipulatorski, ośmielią przyciągnąć sympatyków i klientów, by zainstalować w Kijowie kogoś na kształt Wiktor Janukowycza. Czyli marionetkowego przywódcę, który jawnie lub krok po kroku w codziennej praktyce rządzenia wypchnie Ukrainę z prozachodniego kursu. Modelem ma być tutaj Gruzja, gdzie taka operacja powiodła się w ubiegłym roku. Ale gwarancji powodzenia nie ma – co pokazały chociażby niedawne wybory w Moldawii i Armenii. Okazało się, że nawet przy sporej ingerencji i milionach dolarów wpompowanych w korupcję i machinę dezinformacyjną oba postsowieckie państwa wybrały władze bliższe Unii Europejskiej.

A gruziński model, na który powołują się promotorzy operacji z wyborami, ma tę usterkę, że tam o rosyjskie interesy już od lat dbał z tylnego siedzenia – przywódca dominującej partii – cyniczny miliarder populistą na przemian przekupujący i zastraszający społeczeństwo oraz elity, a zeszlaczoczne wybory tylko domknęły system. Wystarczyło je tylko sfalszować. Co w kraju, w którym koteria moskiewska została wyeliminowana z poważnej polityki i nie ma żadnych wpływów, a społeczeństwo i klasa polityczna, choć skłócone, jak wszędzie, mają wspólną podstawową emocję – ukraińską dumę – i cel – trzymać jak najdalej od Rosji – nie jest takie proste.

Tak więc pierwszy raz od dłuższego czasu otwiera się realna szansa na zawieszenie broni. Co w takiej sytuacji robi Europa?

Już teraz widać, że w tej sprawie nie ma kompromisu – i nic nie wskazuje, żeby to się zmieniło przed końcem roku. W bieżącym, chaotycznym otoczeniu międzynarodowym oczywiście niczego wykluczać nie należy, ale ponieważ kwestia wojny może określić losy całej Europy, wpłynąć na wyniki wyborów w krajach członkowskich Unii oraz okazać się definiującym wydarzeniem w osobistych biografiiach ludzi takich jak Emmanuel Macron czy Friedrich Merz, emocje są olbrzymie.

Już na początku roku Macron, tradycyjnie czujący się odpowiedzialnym za całą europej-

Według szacunków Fundacji Dajemy Dzieciom Siłę w wyniku przemocy domowej ginie w Polsce 35 dzieci rocznie.

GRZEGORZ WRONA: Tak naprawdę nie wiemy, ile jest takich przypadków. Ministerstwo Sprawiedliwości nie prowadzi pełnych statystyk. Nasz zespół otrzymuje informacje o zgłoszeniach od policji i prokuratury, stąd wiemy, że w ciągu dwóch lat było ich 70, a łącznie z tymi, w których udało się ostatecznie uratować życie dziecku – 130.

Na pewno nie są to wszystkie przypadki, ponieważ w prawie karnym trzeba udowodnić, że rodzic chciał zabić dziecko, wykazać, że to było jego zamiarem. Natomiast jeśli dochodzi do kwalifikacji na przykład niedopełnienia obowiązków, to oznacza, że sędzia uznał, iż rodzic nie miał złych intencji. Czyli na przykład: nie karmił dziecka nie dlatego, że chciał je zabić, tylko dlatego, że uważał, że to jest niezdrowe. No, tu się nigdy nie dogadamy! Dla nas liczy się fakt, że dziecko zmarło w wyniku zachowania rodziców.

Weźmy na przykład sprawę zabójstwa 14-letniego chłopca. Wiadomo było, że ojciec jest psychicznie chory, a matka nie żyje. Został więc sam z dwójką dzieci. Kiedy brał lekarstwa, wszystko było w porządku, ale raz ich nie zażył i zabił syna. Biegły uznał, że ojciec był niepoczytalny w chwili czynu i sprawa kar na została umorzona. Czyli jej w ogóle nie ma w statystykach.

JOLANTA ZMARZLIK: Do tego doliczyć trzeba dzieciobójstwo przy ukrywanej ciąży. W ogóle nie wiemy, ile mamy takich sytuacji; dowiadujemy się o nich tylko wtedy, kiedy matka trafia do szpitala. A co z przypadkami samobójstw, gdy dziecko zostawiło list, w którym napisało, że nie chce żyć z powodu przemocy ze strony matki lub ojca? A to częsty powód samobójstw wśród dzieci.

W 2023 roku została uchwalona, a rok później weszła w życie tzw. ustawa Kamilka, czyli standardy ochrony małoletnich, które obowiązują wszystkie placówki pracujące z dziećmi. Wydawało się, że dzieci będą lepiej chronione... W placówkach spełniających standardy nie pracują osoby mogące zagrażać ich bezpieczeństwu, pracownicy wiedzą, jak rozpoznawać symptomy krzywdzenia i podejmować interwencje, dzieci uczą się, jak unikać zagrożeń, a rodzice – jak wychowywać je bez przemocy.

G.W.: Efektem tej ustawy powinno być zwiększenie umiejętności identyfikowania przemocy w stosunku do dziecka i w konsekwencji szybsza reakcja na przemoc, co ma doprowadzić do zmniejszenia skali tych najbardziej drastycznych przypadków. Ale nie możemy stawić na krótkoterminowy efekt. Na przykład w ciągu ostatniego kwartału wpłynęło zdecydowanie mniej spraw, ale gdyby ktoś wyciągnął z tego wniosek, że to efekt ustawy Kamilka, byłby w błędzie, bo to jest po prostu przypadek. Ustawa jest nastawiona na długofalową zmianę.

J.Z.: Nie tak prosto wyeliminować zjawiska społeczne, które trwały, nie waham się powiedzieć, przez tysiące lat. Dzieci były ofiarami przemocy, odkąd istnieje ludzkość. Ginięły i nikt się tym nie przejmował. Były traktowane przedmiotowo; dopiero w XX wieku zwrócono uwagę na podmiotowość dziecka i zaczęto tworzyć przepisy, które je chronią.

No tak, Deklaracja Praw Dziecka przyjęta przez Ligę Narodów, czyli pierwszy dokument, który zwracał uwagę na prawa dziecka, to rok 1924...

J.Z.:...a my trzy lata temu wprowadziliśmy ustawę Kamilka i chcemy osiągnąć już Bóg wie jakie efekty. To niemożliwe. Odgórne działania są bardzo ważne, dobrze, że ustawa powstała, ale teraz ona musi zakorzenić się w systemie.

Co to znaczy?

J.Z.: Jestem superwizorką, moja rola polega na wspieraniu osób, które pracują z dziećmi i ich rodzinami: pracowników socjalnych, psycho-



APO CO?

„DZIECI RÓŻNE GŁUPSTWA GADAJĄ”

**Dzieci nie są siłą polityczną,
którą można by zagospodarować,
a w związku z tym ich interesy
zeszły na plan dalszy.**

Z **GRZEGORZEM WRONĄ***, ADWOKATEM
ORAZ **JOLANTĄ ZMARZLIK****, PEDAGOGKĄ,
ROZMAWIA **MONIKA REDZISZ**

logów, pedagogów, kuratorów sądowych, policjantów, sędziów. Mam do czynienia z ludźmi z całej Polski. W tym także z małych ośrodków, w których trudno o specjalistyczną pomoc, bo do najbliższego dużego miasta trzeba jechać kilka godzin. I widzę, jak bardzo jesteście nieprzygotowani do ochrony dzieci przed krzywdzeniem.

Każda zmiana społeczna wymaga czasu, ale wymaga także pieniędzy. A u nas lejtymotyem jest to, żeby wszystko odbywało się bezkosztowo. Myślimy, że w ten sposób załatwimy tak poważny, trudny, wymagający fachowej wiedzy problem społeczny. Na przykład oburzające jest, że zespół do spraw analizy śmiertelnych przypadków działa na zasadach wolontariatu. Fachowcy, ludzie z wysokimi kwalifikacjami, poświęcają multum czasu na analizowanie tysięcy stron dokumentacji i nie dostają za to wynagrodzenia. To jest po prostu kpina z bardzo poważnego problemu.

G.W.: Dostajemy wynagrodzenie, ale za analizę przypadku, a nie pracę w zespole. Taka analiza trwa około roku i ekspert dostaje za nią 4,8 tys. zł brutto. Do tej pory zrobiliśmy ich pięć.

Natomiast nasza codzienna praca dotyczy spraw, które nie są poddane analizie, i polega na uczestniczeniu w pracach komisji sejmowych, posiedzeniach zespołów, spotkaniach międzyresortowych czy opiniowaniu lub zgłaszaniu uwag do projektów aktów prawnych. Jesteśmy w tej chwili u progu bardzo istotnej zmiany, czyli przejścia na poziom analiz lokalnych, ale obawiam się, że trudno będzie we

wszystkich 16 województwach znaleźć ludzi, którzy będą chcieli je wykonywać.

Na czym dokładnie polega praca zespołu do spraw analizy śmiertelnych przypadków?

G.W.: Najpierw gromadzimy całą dokumentację dotyczącą historii rodziny. Sprawdzamy, czy była tam przemoc, interwencje, czy rodzina była w kręgu zainteresowania służb. Jeśli tak, to ściągamy akta karne, rodzinne, cywilne. Następnie analizujemy dokumenty, żeby ocenić, czego w danej sytuacji zabrakło i kto zawinił. Trudno się to czyta, bo wiadomo, jaki jest finał. Musimy ocenić to naprawdę wnikliwie i skrupulatnie, bo w grę wchodzi często niuans.

Ale najważniejszym elementem są tak zwane wysłuchania. Spotykamy się z ludźmi, którzy pracowali z tym dzieckiem albo z tą rodziną, i rozmawiamy na neutralnym, bezpiecznym dla nich gruncie. Rozmowa nie jest nagrywana, nie ma protokołu, mogą zupełnie swobodnie powiedzieć, co się wydarzyło i co myślą o tej sytuacji. To bardzo często rzuca zupełnie nowe światło na wydarzenia. Pojawiają się wątki, których nie było w dokumentacji.

Gotowy raport wysyłamy do tych, którzy powinni coś w swoim postępowaniu zmienić, czyli na przykład do ośrodka pomocy społecznej lub sądu. Instytucja ma miesiąc, żeby się do tego odnieść. Na koniec Ministerstwo Sprawiedliwości publikuje na swojej stronie raport.

Co zawiodło na przykład w sprawie tego 14-latka? Dlaczego doszło tam do zabójstwa?

G.W.: Teoretycznie dziecko było pod opieką babci, czyli rodziny zastępczej, ale to była fikcja. W Polsce można być w rodzinie zastępczej i dalej mieszkać z osobą stosującą przemoc. Formalnie zmienia się opiekun, więc w dokumentach wszystko jest w porządku, ale w praktyce wciąż wszyscy mieszkają razem. Z pewnością na przyszłość kwestia zdrowia psychicznego rodziców musi być uwzględniana w decyzjach sądu. Ta sprawa mówi wszystko o naszym systemie: człowiek chory psychicznie i sprawca przemocy miał pod swoją opieką dzieci, a rodzina zastępcza była fikcją.

Rozumiem, że ojciec się leczył. Czy był pod kontrolą? Skąd pewność, że bierze leki? Czy to w ogóle da się kontrolować?

J.Z.: To jest historia pod tytułem „poeksperymentujmy sobie na dzieciach”. Ojciec, sprawca przemocy, deklaruje, że się leczy. Kurator raz w miesiącu przychodzi sprawdzić, czy ten nie jest pod wpływem alkoholu albo innych substancji psychoaktywnych. Wizyta zwykle jest umówiona, bo jak kurator ma przyjść i pocałować kłamkę, to wiadomo, że woli się wcześniej umówić.

A leki? Ojciec ma swoją dokumentację medyczną, ale może powiedzieć kuratorowi: „To mogę pokazać, a reszty nie dam”. I ma do tego prawo. Pokazuje więc tylko to, co jest dla niego korzystne, to chyba logiczne, prawda?

A to, że był oskarżony o przemoc, nie ma znaczenia, bo człowiek oskarżony jest dalej człowiekiem niewinnym. Żona nie żyje, więc nie ma sprawy.

Niech sąsiad gra na perkusji, ale głośuje jak ja

Profesor James Tilley, badacz zachowań wyborców:
Nawet tu w Oksfordzie część osób głosowała za wyjściem z Unii

Z **PROF. JAMESEM TILLEYEM***
ROZMAWIA **MARIA KORCZ**

W Polsce do dziś część osób uważa, że wybory prezydenckie, które w 2025 roku wygrał Karol Nawrocki, przebiegły nieuczciwie. Pan w książce „Polityka plemion. Jak Brexit podzielił Wielką Brytanię” razem z Sarą B. Hobolt pisze, że w uczciwość referendum w 2016 roku nie wierzyli też głosujący za pozostaniem w Unii. Ale może ta utrata wiary w uczciwość wyborów to nie tylko prosty mechanizm emocjonalny, ale też racjonalna wątpliwość? Np. czy wobec braku kontroli nad platformami społecznościowymi ten proces jest jeszcze niezależną decyzją wyborców?

– To naturalne, że nikt nie chce czuć, że przegrał. Dlatego po porażce odruchowo kwestionuje się sprawiedliwość głosowania. Im bardziej kibicowałeś stronie, która przegrała albo im bardziej nienawidzisz drugiej strony, tym silniejsze będzie to przekonanie, tym bardziej będziesz szukał racjonalnego twoim zdaniem wyjaśnienia.

Musimy przy tym rozróżnić samą kampanię, która faktycznie może być dziś bardzo brutalna czy poddawana manipulacjom od samego procesu oddawania i zliczania głosów. Nie wiem, jak jest w Polsce, ale w Wielkiej Brytanii uczciwość wyborów w tym drugim, ścisłym rozumieniu, jest bardzo dobrze zabezpieczona. O ile w kampanii możemy mówić o różnych wpływach po obu stronach, o tyle sam akt głosowania jest decyzją wyborcy, który siada z kartą do głosowania i długopisem w ręce.

Mimo tego najprostszym sposobem racjonalizacji przegranej, z którą trudno się pogodzić, jest wska-

zanie winnego – czy to Big Techów, czy liberalnych elit. Brexit bardzo dobrze to pokazuje. Przed referendum, gdy większość osób sądziła, że Wielka Brytania nie opuści Unii, w badaniach opinii publicznej to rozłamowcy, zwolennicy wyjścia, częściej deklarowali, że referendum będzie niesprawiedliwe.

To samo pytanie zadano potem drugi raz, po ogłoszeniu wyników. I wtedy tendencja się odwróciła. Głosujący za wyjściem zapomnieli, że przecież głosowanie miało być nieuczciwe, za to zwolennicy pozostania w Unii zaczęli podważać jego przebieg. To pokazuje, w jak dużej mierze jest to proces psychologiczny.

Wasza teoria plemiennej polityki, czyli nowych, silnych tożsamości politycznych, które są bardzo antagonistyczne i odrzucają prosty podział na partie, zakłada, że klasa, religia czy region przestały mieć wpływ na to, jak głosują Brytyjczycy. Ale jednak w wynikach wyborów nadal widać wyraźny podział na małe i duże miasta, na bardziej laburzystowską północ i raczej konserwatywne południe.

– Oczywiście czynniki społeczno-ekonomiczne wciąż mają znaczenie. Ale są coraz słabszą podstawą do prognoz. Gdybym wybrał z populacji kilka przypadkowych osób i próbował zgadnąć, jak zagłosowały w referendum brexitowym na podstawie tego, kim są, ile zarabiają i tak dalej, jest spora szansa, że bym nie zgadł.

Poza tym, mówienie, że północ albo południe głośuje tak czy siak, to uproszczenie. Nawet tu w Oksfordzie jakaś część osób głosowała w 2016 roku za wyjściem z Unii. Kreśląc powyborcze mapy czy wykresy, skupiamy się na zwycięzcach w regionach i potem patrząc na nie, łatwo pominąć fakt, że strona przegra-



na nadal jest całkiem liczna. Na przykład w przypadku Brexitu, w bardzo wielu miejscach wynik był niemal remisowy.

Jakie znaczenie ma w takim razie poziom edukacji? Jest w Polsce taki polityk, Grzegorz Braun, który ma skrajnie prawicowe, ksenofobiczne, antysemityczne, antyunijne i reakcyjne obyczajowe poglądy. A jednak największą grupą jego wyborców są osoby bardzo dobrze wykształcone. Jak to rozumieć?

– A skąd pomyśl, że osoba z wyższym wykształceniem nie może mieć antysemitycznych poglądów? Przejście przez system edukacji niekoniecznie zmienia czyjeś postrzeganie judaizmu.

Gdy myślę o osobie dobrze wykształconej, to raczej o kimś otwartym, kto rozumie historię, mechanizmy społeczne i kulturowe, wie, jak rodzą się uprzedzenia, więc tak łatwo im nie ulega.



– Jeśli spojrzymy na Niemcy w latach trzydziestych XX wieku, to widzimy, że NSDAP cieszyło się tam wtedy dużym poparciem na uniwersytetach i w środowisku akademickim.

Owszem, to prawda, że co do zasady osoby z wyższym wykształceniem są bardziej otwarte na migrantów, bardziej pronijne. To ma związek z tym, że widzą i rozumieją, że obie te rzeczy przynoszą korzyści im samym. Ale w sprawach takich jak na przykład właśnie antysemityzm nie ma prostego rachunku zysków i strat, jest więc więcej przestrzeni do budowania wrogości i uprzedzeń.

Czyli nadzieje, że populizm można zwalczać edukacją i faktami, są płonne?

– Cóż, nadzieja umiera ostatnia. Ludzie zmieniają poglądy, zmieniają partie, na które głosują.

Przede wszystkim zacząłbym od tego, że większość ludzi nie zna się na polityce i się nią nie interesuje.

– Dlaczego by mieli, skoro mają mnóstwo swoich codziennych zmartwień, prawda? Większość ludzi, jeśli przedstawimy im jakieś stanowisko i dowody, fakty, które je popierają, pójdzie za dobrze uargumentowaną opinią. Częściowo właśnie dlatego, że o danej sprawie po prostu niewiele wie.

Inaczej jest, jeśli mamy już wyrobioną opinię. Wtedy jesteśmy dużo bardziej odporni na fakty, które tej sprawie dotyczą. Na tym między innymi polega plemiennność dzisiejszej polityki. Bardziej niż fakty liczą się emocje.

Inną sprawą jest to – i pewnie jako dziennikarka doskonale to rozumiesz – że nawet kiedy podajemy jakieś liczby i dane, to nadal przedstawiamy tylko jakiś wycinek rzeczywistości. W gazecie musisz zmieścić się w wyznaczonej liczbie znaków, więc nieuchronnie zrezygnujesz z części kontekstów. Nigdy nie jesteś w stanie przedstawić ludziom w stu procentach neutralnych informacji.

• **Protest na Trafalgar Square w Londynie przeciw wynikom referendum, które zdecydowało o wyjściu Wlk. Brytanii z UE. Na plakacie napis: „37 procent to nie większość” (28.06.2016)**

FOT. REUTERS / DYLAN MARTINEZ

To prawda i mam świadomość, że często czyni się z tego zarzut wobec mediów. Ale nie jestem przekonana, czy alternatywy w postaci kilkudziesięciosekundowych rolek są pod tym względem dużo lepsze. Zastanawiam się natomiast, jaka jest dziś w takim razie rola wyborów, skoro staliśmy się tak odporni na informacje, które nie są spójne ze światopoglądem naszego plemienia.

– To oczywiście zależy od systemu politycznego, ale faktycznie na przykład w Stanach Zjednoczonych, które funkcjonują w systemie dwupartyjnym, większość ludzi będzie cały czas głosować tak samo. Co nie znaczy, że nie dochodzi do rotacji między elektoratami.

Na poziomie indywidualnych decyzji większość ludzi jest bardzo konsekwentna w tym, na kogo oddaje głos. Ale jeśli spojrzysz na sumaryczne wyniki i analizy elektoratów, to widać, że jakaś część zmienia decyzje wyborcze. Jeśli głosowałeś na konserwatystów 10 razy z rzędu, dość trudno jest potem głosować przeciw, głosować inaczej. Ale jeśli już raz zagłosujesz inaczej, w następnych wyborach dużo łatwiej będzie ci znów przenieść poparcie gdzie indziej.

Nieco inny jest przypadek brytyjski. Mamy w tej chwili dość słabe tożsamości partyjne, ale bardzo silne tożsamości brexitowe. Jeśli chodzi o przemieszczanie się elektoratów między partiami, notujemy najwyższe od 100 lat wskaźniki zmiany tego, na kogo głosują wyborcy. W pewien sposób tożsamość wynikająca z tego, jak zagłosowałeś w referendum przed dekadą, jest silniejsza od przywiązania do jakiegokolwiek partii. Z naszych badań wynika, że przynajmniej 60 procent osób wciąż swoją polityczną tożsamość opiera na głosie z 2016 roku.

To przemieszczanie się elektoratów występuje jednak w obrębie dwóch bloków. Przepływy widzimy albo pomiędzy Zielonymi, Partią Pracy, w niewielkim stopniu Liberalną Demokracją albo między torysami i Reform UK. Przejścia z bloku do bloku to rzadkość.

Większość ludzi nie zna się na polityce i się nią nie interesuje.

Dlaczego by mieli, skoro mają mnóstwo codziennych zmartwień?

Jeśli przedstawimy im jakieś stanowisko, dowody i fakty,

które je popierają, pójdą za dobrze uargumentowaną opinią

Czy naprawdę po prawej i lewej stronie sceny politycznej poziom oderwania od faktów jest taki sam?

– Jeśli chodzi o przykład Wielkiej Brytanii, to obie strony – i ta głosująca za pozostaniem, i ta głosująca za wyjściem, wiedziały o Unii Europejskiej podobnie niewiele.

Kim są więc wyborcy z tej wąskiej grupy, która jest skłonna zmienić plemię?

– Nasza skłonność do rewizji tego, na kogo głosujemy, zależy od kilku czynników. Od tego, jak silna jest nasza tożsamość polityczna, jak bardzo skrajne są nasze poglądy. To oczywiste – im mniej skrajne, tym łatwiej nam je zmienić. Ale, co ciekawe, na naszą zdolność do zmieniania partii ma też wpływ osobowość. W naszych badaniach przyjęliśmy podział zależnie od poziomu neurotyczności. Czyli na osoby bardziej lękowe i takie, których cechy pasują do tego, co nazywamy dziś narcyzmem. Czyli takie, które mają przekonanie, że są trochę ważniejsze albo lepsze od innych.

Osoby bardziej neurotyczne mają większą potrzebę przynależności do grupy, bo to daje im poczucie bezpieczeństwa. Im trudniej będzie porzucić dotychczasowe tożsamości polityczne. Dla osób mniej neurotycznych, które są naturalnymi antagonistami, zmiana pozycji jest mniejszym problemem.

Oprócz osobowości i poziomu radykalności znaczenie ma też funkcjonowanie w bańkach. Czyli to, na ile nasza tożsamość polityczna jest wzmacniana przez otoczenie – przyjaciół, pracę, rodzinę.

Najlepiej wpływ otoczenia na nasze poglądy obrazuje fakt, że większość małżeństw w czasie zaczy-

nają głosować tak samo. Albo wspólniają swoje polityczne tożsamości, albo się rozstają (*śmiech*). Natomiast jeśli już mieszkasz z kimś, kto podziela twoją polityczną tożsamość, dużo trudniej będzie ją zmienić.

Jeszcze trudniej, jeśli podziela ją też twoi przyjaciele, współpracownicy. A tego trudno uniknąć, bo ludzie mają tendencję do łączenia się w grupy z osobami o podobnych poglądach.

To przypomina mi o jednej z teorii wyjaśniających trudności młodych kobiet i mężczyzn w tworzeniu relacji, która zakłada, że one i oni za bardzo różnią się w poglądach, by móc być razem.

– W większości społeczeństw przeciętnej mężczyzna i przeciętna kobieta są pod względem decyzji politycznych bardzo podobni, to znaczy mniej więcej tyle samo kobiet i mężczyzn głosuje na partię X, Y i Z. Nie mam na to badań, ale osobiście uważam, że wynika to właśnie z tego, że większość osób żyje jednak w parach. Statystycznie, w większości przypadków, żyjemy w gospodarstwach domowych, w których obok siebie żyją kobiety i mężczyźni. A że z czasem wspólniają poglądy, rozkład płciowy w elektoratach jest równy.

Ale idąc dalej tym tropem, stawiam tezę, że przepaść światopoglądowa między płciami wiąże się z tym, że przesunął się wiek zakładania rodziny.

To brzmi jak błędne koło. Nie wiążą się w pary, bo się za bardzo różnią. Różnią się, bo się nie wiążą.

Pytanie – co było pierwsze?

– Bardziej prawdopodobne jest to, że najpierw zmienił się model rodziny, to znaczy przesunął się wiek wchodzenia w małżeństwo, a w efekcie zaczęły pogłębiać się międzyplciowe różnice. Z drugiej jednak strony pojawiły się też nowe osie sporu. Na przykład sprawiedliwość społeczna, prawa osób transpłciowych i tak dalej. Co do tych spraw podział ze względu na płeć jest szczególnie widoczny. Być może dlatego, że dotyczą takich cech, co do których kobiety i mężczyźni statystycznie się różnią.

To znaczy?

– Na przykład kobiety mają przeciętnie większą otwartość na nowe doświadczenia, co sprawia, że mniej sceptycznie reagują na zjawiska, które dopiero pojawiają się w debacie publicznej.

Ale ważnym czynnikiem może być też to, że widzimy dziś bardzo mocne podziały płciowe na rynku pracy. Na przykład w administracji, w urzędach, pracują dziś głównie kobiety. To dodatkowo wzmacnia segregację płciową, separowanie damskiej i męskiej bańki. Do tego dochodzi praca zdalna, która jeszcze bardziej izoluje nas od ludzi o odmiennych poglądach.

Czy to, że izolujemy się w bańkach i odmawiamy przyjęcia do wiadomości czegokolwiek, co nie jest spójne z naszymi przekonaniami, nie oznacza też, że jesteśmy mniej krytyczni wobec ich liderów? Niekiedy uważają, że ostatnie zamieszki w Belfaście nie wydarzyłyby się, gdyby nie podgrzewanie nastrojów przez Nigela Farage'a czy Elona Muska.

– W przypadku brytyjskich plemion – zwolenników i przeciwników Wielkiej Brytanii w Unii Europejskiej – obserwujemy, że największe znaczenie dla kształtowania opinii wyborców ma ich najbliższe otoczenie.

Oczywiście, jeśli zjedziemy do poziomu partii, one mają liderów, którzy bardziej lub mniej skutecznie pociągają za sobą ludzi. Ale w przypadku dychotomii *leave i remain* nie ma wyraźnych przywódców tych dwóch plemion. Dużo większe znaczenie mają w tych grupach ich wewnętrzne normy. Na przykład wśród osób, które głosowały za pozostaniem w Unii, rozpowszechniły się postawy proeuropejskiej. Ta grupa jest dużo bardziej skłonna myśleć o sobie jako o Europejczykach.

W tym sensie te nowe tożsamości różnią się od starych, partyjnych tożsamości. Kie-

kalnych. Wolałbym nie dywagować nad tym, jak radykalne kroki musiałby podjąć rząd, by naprawdę zadowolić wyborców prawicy w sprawie migracji.

Z drugiej strony każde wzmoczone działania wymierzone w migrantów momentalnie rodzi pytania o humanitaryzm, prawa człowieka, prawo międzynarodowe. Mobilizuje w ten sposób elektorat lewicowy, który staje w obronie cudzoziemców. To kwestia bardzo silnie polaryzująca, co sprawia, że zarządzanie społecznymi emocjami dotyczącymi migracji jest bardzo, bardzo trudne.

W książce przestrzega pan, że silne emocje, które czujemy przeciwko drugiemu plemieniu, mogą prowadzić do dyskryminacji w pracy czy na uczelni. Co to znaczy?

– Uprzedzenie polega na tym, że ludzie my-

Gdy poprosiliśmy uczestników naszego badania, by opisali w kilku słowach drugą stronę sporu, drugie plemię, 25 proc. po prostu zaczęło kłąć i używać obraźliwych epitetów: „mają wyprane mózgi”, „to samolubne...”

dyś, gdy o jakiejś sprawie nie mieliśmy wiedzy, a więc nie mieliśmy też jasnej opinii, podążaliśmy za tym, co powiedział nam partyjny lider. Jest na przykład wiele dowodów na to, że gdy konserwatyści stali się bardziej eurosceptyczni, ich zwolennicy także zaczęli mniej popierać Unię. Ale jeśli to kwestia, na której nie zależy, to nie będę zwracał uwagi na to, co mówią elity i przywódcy. Bardziej prawdopodobne jest, że zmienię tożsamość, by znaleźć ludzi, którzy będą podzielać moje opinie, niż że pójdę za tym, co narzuca mi jakiś polityczny przywódca.

Myślę o kwestii migracji, która szczególnie często staje się sprawą polityczną. W Polsce chodzi o obywateli Ukrainy, wobec których Polacy stają się coraz bardziej wrodozy. Czy to by w czymś pomogło, gdyby prawicowi politycy spuścili z tonu?

– Migracja jest szczególnie trudnym tematem, bo tak naprawdę w tej rozmowie nie chodzi o to, jak migranci się integrują, czy są legalni, czy nie, ani ile państwo na nich wydaje. Prawda jest taka, że jej przeciwnicy po prostu chcą, by migranci z ich kraju zniknęli. Ograniczanie na przykład dostępu do świadczeń społecznych to tylko kamuflaż i półśrodek, bo de facto przeciwnicy migracji chcieliby działać dużo bardziej rady-

śla, że ludzie po drugiej stronie są w jakiś sposób gorsi. Żli, głupi, niedoinformowani i tak dalej. Gdy poprosiliśmy uczestników naszego badania, by opisali w kilku słowach drugą stronę sporu, drugie plemię, 25 procent z nich po prostu zaczęło kłąć i używać obraźliwych epitetów: „mają wyprane mózgi”, „to samolubne...”

Przy tak wysokim poziomie uprzedzeń możemy niestety spodziewać się także dyskryminacji. Trudno to wprost zmierzyć, bo żeby to zrobić, trzeba by ludzi ciągle obserwować, na przykład w pracy. Ale wymyśliłbym na to sposób. Zapytałibyśmy uczestników badania, w jakim stopniu są gotowi rozmawiać o polityce. Mniej niż połowa zadeklarowała, że byłaby gotowa o niej dyskutować z kimś z drugiej strony barykady.

Klasyczne pytanie, którego używa się w takich badaniach, to: jak bardzo byłbyś nieszcześliwy, gdyby twój syn lub córka poślubili kogoś, kto należy do przeciwnej opcji. I znów, najczęściej słyszeliśmy: „byłbym z tego bardzo niezadowolony/a”.

Na koniec testowaliśmy to na konkretnych przykładach, na przykład stawialiśmy badanych przed hipotetycznym wyborem: wynajmujesz pokój w swoim domu i wybierasz lokatora, który u ciebie zamieszka. Każdemu podaliśmy różne, losowo wybrane cechy tych lokatorów. Niektórzy byli mężczyznami, kobietami, niektórzy starsi, inni młodszy, niektórzy mieli pracę, inni studiowali i tak dalej. Wśród tych cech znalazły się poglądy polityczne.

I to one miały decydujące znaczenie. Ludzie woleli mieć sąsiada, który uczy się grać na perkusji, niż takiego, który w referendum zagłosował inaczej niż oni.

To oczywiste, że przeciwne plemiona się nie lubią. Ale dopiero gdy spoglądam na te dane o poziomie wzajemnej niechęci z lotu ptaka, zaczynam zdawać sobie

sprawę, jak głęboki stał się rozpad relacji społecznych.

– Co mnie zaskoczyło w wynikach, to że te antagonistyczne, postbrexitowskie tożsamości są tak trwałe. I tak silne dziesięć lat po referendum. Ale to nie potrwa wiecznie, bo w dorosłość wchodzi coraz więcej ludzi, którzy nie mogli wtedy głosować i w związku z tym nie wykształcili żadnej z postreferendalnych tożsamości. Z czasem więc ten podział będzie coraz bardziej wygasać.

W Polsce za wydarzenie, które rozpoczęło polityczny podział, uważa się katastrofę smoleńską. Podział pozostał, ale w międzyczasie zmieniły się sprawy, które ten spór rozgrzewają. Teraz to między innymi, podobnie jak w Wielkiej Brytanii, podjęcie do Unii Europejskiej.

– W większości starych demokracji tożsamości polityczne wynikają z podziału na frakcje partyjne. Nie jestem ekspertem, jeśli chodzi o polską politykę, ale wydaje mi się, że w naszym przypadku tożsamości partyjne długo nie były tak silne, choćby dlatego, że partii było całkiem sporo. Że osiami podziału były tożsamości społeczne, na przykład stosunek do Kościoła czy systemu gospodarczego. To się zmienia, gdy pojawiają się dominujące ugrupowania, ale te społeczne tożsamości i tak cały czas, nawet przy podziale partyjnym, ujawniają się niezależnie od niego. Osi sporu może być więc wiele.

Lekcja z Brexitu jest natomiast taka, że nawet w dojrzałych demokracjach tożsamości polityczne mogą oderwać się od prostego podziału na partię. To może z kolei wynosić na powierzchnię nowe twory polityczne. Albo takie, które wcześniej pozostawały na marginesie. Tak było w przypadku Szkockiej Partii Narodowej, która w 2015 roku wprowadziła do brytyjskiego parlamentu rekordową ilość posłów po tym, jak rok wcześniej Szkoci zagłosowali w referendum przeciw odłączeniu się od reszty Zjednoczonego Królestwa.

Co by się więc musiało wydarzyć, żeby któryś z brytyjskich rządów zdecydował o rozpisaniu referendum reakcesyjnego?

– Obecnie taki scenariusz wydaje mi się bardzo mało prawdopodobny. Musiałby urosnąć silny oddolny ruch proeuropejski. Ale nawet jeśli, to byłoby bardzo trudne, choćby dlatego, że nowa umowa Wielkiej Brytanii z Unią Europejską byłaby dla nas dużo mniej korzystna. Więc nawet jeśli odbyłoby się referendum, nie ma pewności, że ludzie chcieliby powrotu na warunkach, które teraz może nam zaoferować Bruksela. Myślę, że to by wywołało znów ogromne protesty.

To całkiem prawdopodobne, że za jakiś czas ten spór rozgorzeje na nowo. Ale żebyśmy wrócili do Unii, bardzo wiele musiałoby się wydarzyć. A może się wydarzy? W Brexit też kiedyś nie wierzyliśmy. ●



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

*Profesor James Tilley

• Badacz opinii publicznej i zachowań wyborców w Wielkiej Brytanii i Unii Europejskiej. Autor książki „The New Politics of Class: The political exclusion of the British working class” (z Geoffem Evansem), „Blaming Europe? Responsibility without accountability in the European Union” i najnowszej „Tribal Politics: How Brexit divided Britain” (obie z Sarah Hobolt). Wykłada socjologię polityczną na Oksfordzie.

wyborcza | MAGAZYN WYBORCZA

REDAKCJA: ul. Czerna 8/10, 00-732 Warszawa
E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania.
Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@wyborcza.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik
PIERWSZY ZASTĘPCA, REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Roman Imielski

ZASTĘPCY: Agata Żelazowska, Bartosz T. Wieliński;
MAGAZYN WYBORCZE: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wieczorek, Jan Cywiński, Andrzej Kulasek, Grażyna Żabińska
LICENCJE NA TREŚCI: licencje@wyborcza.pl
WYDAWCA:
Wyborcza sp. z o.o., ul. Czerna 8/10, 00-732 Warszawa; NIP: 521-403-30-11
DRUK: Polska Press
PREZES ZARZĄDU: Aleksandra Sobczak

Biurow reklam i ogłoszeń:
reklama@wyborcza.pl;
tel.: 22 555 55 55,
faks: 22 555 54 44
Rozpowszechnianie materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.



• **Protest pracowników niemieckiego sektora stalowego zorganizowany przez związek zawodowy IG Metall w Berlinie. Kryzys wywołały: wysokie ceny energii, mniejszy popyt w kraju i konkurencja tańszej stali z Azji (12.06.2026)**



NIEMIEC SIĘ NIE ZBUNTUJE

„W Polsce wyobrażenie o Niemczech jest podwójnie błędne. Prawa strona zakłada, że Niemcy mentalnie wciąż są tacy jak w 1945 roku. Lewa uważa, że niemiecki obywatel to wzór cnót. Oba wyobrażenia są fałszywe”.

Z **URSZULĄ PTAK** I **ŁUKASZEM SOŁTYSIAKIEM**, TWÓRCAMI PODCASTU „NIEMCY OD ŚRODKA”, ROZMAWIA **DOMINIKA TWOREK**

W swoim podcaście opowiadacie Polakom o rzeczywistości zza naszej zachodniej granicy z perspektywy dwóch dużych miast – Berlina i Hamburga. Co zmotywowało was do prowadzenia tego kanału?

URSZULA PTAK: wychodzę z założenia, że w Polsce wyobrażenie o Niemczech jest podwójnie błędne. Prawa strona zakłada, że Niemcy mentalnie wciąż są tacy jak w 1945 roku i w ogóle się od tamtego czasu nie zmienili. Z kolei lewa strona uważa, że niemiecki obywatel to wzór wszelkich cnót. Oba wyobrażenia są oczywiście fałszywe.

Brakowało mi opinii na temat różnych wewnętrznych konfliktów, ale takich z realnego życia w Niemczech. Bo zupełnie inaczej patrzy się na społeczeństwo, kiedy dzień w dzień sam szarpiesz się z tym systemem, płacisz tu od lat podatki, a inaczej, kiedy przyjeżdżasz na miesięczny projekt, masz opłacony wypasiony hotel ze śniadaniem i rozmawiasz tylko z ludźmi podobnymi do siebie.

ŁUKASZ SOŁTYSIAK: Niemcy bardzo często komentowane są przez prasę i różne ośrodki analityczne, ale przez pryzmat Polski, co mocno wiąże się też z perspektywą historyczną. My chcemy po prostu mówić jak jest, pokazując niemiecką codzienność właśnie od środka.

Niemcy – czwarta gospodarka świata – znajdują się obecnie w kryzysie. Przeciętny Polak, który przecież tego Niemca niezbyt lubi, pewnie chętni o tym posłucha.

Ł.S.: Wydaje mi się, że nie jest to zjawisko stricte polsko-niemieckie. Podobne reakcje widzimy w relacjach niemiecko-amerykańskich. Niemcy tak samo patrzą w stronę Ameryki, jak Polacy w stronę Niemiec. Bardzo chętnie ko-

mentują wszystko, co tam się dzieje. Np. chętnie krytykują Trumpa.

U.P.: To – jeden do jednego – przełożenie kompleksu. W Polsce problem polega na tym, że jesteśmy państwem, które w bardzo krótkim czasie diametralnie się rozwinęło, a część ludzi nie nadążała za przerebobieniem tej rzeczywistości. Z kolei Niemcy nie nadążają za tym, że właśnie spadają z piedestału.

To podkreśla historyczne reakcje: albo odrzucenia zmian, albo ich kompletnej afirmacji. W społecznych ocenach trudno dziś o spokój. Tylko ekstremalne opinie dobrze się sprzedają, wyśrodkowywanie przestało być atrakcyjne. Co – trzeba podkreślić – też jest niemiecką specyfiką, bo Niemcy to naród romantyków. Oni wierzą

w to, co chcieliby widzieć, w rzeczywistość z wyobraźni. Mają ekstremalne podejście do spraw, cały czas jadą na ścianę, a dopiero gdy się na niej znajdują, zaczynają myśleć racjonalnie.

Przyczyną radykalizacji społeczeństwa jest też narastający w obywatelach lęk?

Ł.S.: Ten lęk ma racjonalne podstawy. Cała klasa polityczna obecnie Niemców zawodzi.

U.P.: System nie jest stabilny. Czy to kasjerka w supermarkecie, czy profesor uniwersytetu – dziś wszyscy odczuwają jakieś drgania.

Te drgania mogą objawić się jakimś społecznym buntem, czy Niemcy po prostu duszą je w sobie?

U.P.: Niemcy i bunt przeciwko władzy – to słowa, które się wzajemnie wykluczają. To nie jest Francja, gdzie złote kamizelki wychodzą na ulice i rozwalają pół miasta. Tutaj jest raczej ciche knucie i pielęgnowanie nienawiści do wszystkich na górze. A jednocześnie mamy ogromną bierność i oczekiwanie, że ta „góra” się nami zajmie. Bo to ona jest odpowiedzialna za to, czy ja będę mieć na czynsz. Taki jest model psychologiczny. Co przypomina gotowanie pod pokrywką. W Niemczech, jeżeli już następuje zmiana, odbywa się na zasadzie wysadzenia tej pokrywki. Tylko wtedy nie ma już czego zbierać.

Ł.S.: Jakikolwiek bunt jest absolutnie niemożliwy. Niemcy są wychowani tak, że zawsze masz jakąś instytucję, zawsze masz kogoś nad sobą. I albo żyjesz z tym kimś dobrze, albo stwarzasz pozory, że jest dobrze. Ewentualnie knujesz; narzekasz i starasz się dochodzić swoich praw, ale nie przez bunt, tylko przez roszczeniowość. To jest coś bardzo charakterystycznego dla niemieckiego społeczeństwa.

Jak ta roszczeniowość się objawia?

Ł.S.: Warto podkreślić, że ona bywa uzasadniona. Np. chcesz więcej pieniędzy, to masz swój związek zawodowy i razem walczyacie o wyższe zarobki. Ale często ta roszczeniowość w ogóle nie ma podstaw. Wynika raczej z samej niemieckiej mentalności. Ludzie w większości nie zadają sobie trudu, żeby zastanowić się, dlaczego znajdują się w takim kołowrotku. Np. nad tym, że to oni sami wybrali tę władzę. Nie ma refleksji, że cokolwiek – choćby w małym stopniu – może zależeć ode mnie.

Ale w Niemczech – głównie w Berlinie – odbywają się przecież różne demonstracje.

Ł.S.: Najpopularniejsze są demonstracje przeciwko prawicy, przeciwko AfD. Ale kiedy zapytasz kogoś, po co właściwie idzie na taki protest, często pierwsza odpowiedź to: „Przecież będą tam wszyscy, nie można tam nie być”.

U.P.: Absolutnym fenomenem jest to, że mówimy o demonstracjach nie przeciwko



FOT. FOCUS FEATURES / UPI

Najpierw baw grę *na* marginesach

Dostałem bardzo mocnego kopa od życia. Ale przerodziło się to w coś pięknego. I dziś myślę, że czasem taki kop jest człowiekowi potrzebny.

Z ŁUKASZEM ŻALEM, AUTOREM ZDJĘĆ M.IN. DO FILMÓW „OJCZYŻNA” I „HAMNET”
ROZMAWIA PIOTR GUSZKOWSKI

Jako autor zdjęć jesteś jedną z pierwszych osób, które widzą, że padł ten jeden, wyjątkowy dubel, w którym zagrało wszystko. Jakie to uczucie?

– Piękne. Jak przy scenie otwierającej „Ojczyznę”. August Diehl w roli Klaus Manna siedzi nagi na podłodze, pali papierosa i rozmawia przez telefon z siostrą Erika, która jest z ojcem w Ameryce. To intymna scena, więc w pokoju nie ma nikogo poza mną i Pawłem Pawlikowskim. Siedzimy pochyleni, kręcimy dubel za dublem, aż tu nagle...

Uwielbiam te chwile: Paweł patrzy na mnie, ja patrzę na Pawła i wiemy, że to się właśnie wydarzyło. Bo nigdy nie mamy pewności. Przygotowujemy się, szukamy, ale towarzyszy temu niepewność. Czy dzisiaj znowu uda się tego dotknąć? Czy te wszystkie elementy znowu się zajądą? W spreparowanym na potrzeby filmu świecie próbujemy złapać kawałek prawdy. I kiedy to się udaje, to jest coś niezwykłego, rodzaj pewnej obecności.



FOT. AGATA GRZYBOWSKA



FOT. SOLOPAN



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Nagrodzona w Cannes „Ojczyzna” to wasz trzeci wspólny projekt. Jak to się właściwie zaczyna – Paweł Pawlikowski dzwoni do ciebie i mówi: „Łukasz, mam pomysł na film”?

– Mniej więcej tak to wygląda. Z tym że zwykle wiem wcześniej, nad czym Paweł pracuje, i rozmawiamy o różnych pomysłach. W pewnym momencie dostaję jednak pierwszą wersję scenariusza. Czytam ją kilka razy, robię notatki, bazgrzę po marginesach. Lubię zapisywać pierwsze skojarzenia, bardzo intuicyjne, czasem wręcz pojedyncze słowa czy obrazy.

Potem zaczyna się rozmowa. Spotykamy się, przechodzimy przez scenariusz scena po scenie, rozmawiamy o emocjach, bohaterach, o tym, czym jest dana scena. Równolegle pojawiają się moodboardy [kolaż zdjęć, kolorów czy tekstur, który pomaga zdefiniować styl i nastrój projektu], zdjęcia referencyjne, materiały od scenografów. Zaczynamy dokumentację. Jeździmy po miejscach, fotografujemy je, a wieczorami przy kolacji przeglądamy zdjęcia i zastanawiamy się, co w nich jest bliskie światu filmu. Ten proces trwa właściwie aż do pierwszego dnia zdjęciowego – a nawet wtedy pozostajemy otwarci na to, co może przyjść nieoczekiwanie.

Pamiętasz, co nabazgrałeś na marginesach scenariusza „Ojczyzny”?

– Od początku bardzo mocno działało na mnie poczucie, że Tomasz Mann żyje w jakiejś kapsule. Tą kapsułą stał się samochód, czarny Buick. Za kierownicą siedzi Erika, która staje się filtrem oddzielającym ojca od rzeczywistości.

Mann dla świata jest wielkim intelektualistą i moralnym autorytetem, ale jednocześnie w codzienności pozostaje zaskakująco nieporadny.

Gdziekolwiek się pojawia, wszystko wydaje się uporządkowane i piękne, podczas gdy wokół są zgłiszcza. Zastanawiałem się, jak pokazać ten kontrast w obrazie.

Interesowało mnie również to, co pozostaje poza kadrem. Tomasz wypiera pewne rzeczy ze świadomości, nie dopuszcza ich do siebie. Chciałem, żeby obraz działał podobnie – żeby pewne sprawy były stale obecne, ale na obrzeżach, ledwie zasugerowane. To, czego nie widzimy, miało być równie ważne, jak to, co znajduje się w centrum kadru.

Pół roku przed zdjęciami mój przyjaciel operator pokazał mi amatorskie slajdy kupione przypadkiem – animowane zdjęcia z Niemiec z lat 70. i 80. Widać było, że robi je jedna osoba, prawdopodobnie standardowym obiektywem 50 mm. To były codzienne sytuacje: ludzie na dworcach, na wakacjach, fragmenty samochodów, pranie na sznurach. Fotograf wycinał z rzeczywistości pojedyncze fragmenty, ale robił to konsekwentnie. Każda kompozycja była otwarta – człowiek zawsze był częścią większego pejzażu, a to, co działo się na brzegach obrazu, dopowiadało resztę. Zdjęcia miały w sobie coś dokumentalnego i przypadkowego, ale jednocześnie były spójne. Przypominały mozaikę fragmentów rzeczywistości. Zafascynowała mnie w nich prostota i szczerłość – mimo że amatorskie, miały w sobie jakiś porządek, jakąś kompozycję. Estetyka jednak nigdy nie była tam najważniejsza, liczył się sam zatrzymany moment. I chyba to uderzyło mnie najbardziej: były bardzo niefilmowe.

• „Hamet” (2025)
reż. Chloé Zhao. Oscar dla najlepszej aktorki i Złoty Glob za najlepszy film dramatyczny

• „Ojczyzna” (2026)
reż. Paweł Pawlikowski. Nagroda za reżyserię na tegorocznym festiwalu filmowym w Cannes

• „Ida” (2013)
reż. Paweł Pawlikowski. Oscar dla najlepszego filmu nieanglojęzycznego oraz BAFTA i Złote Lwy w Gdyni

• „Strefa interesów” (2023)
reż. Jonathan Glazer. Grand Prix w Cannes i dwa Oscary (film międzynarodowy i dźwięk)

FOT. DAVID ZUCHOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

W SPRZEDAŻY



Faworyci turnieju: Kylian Mbappe,
Lamine Yamal, Harry Kane, Leo Messi

Korespondencje z USA
„Za pięć dwunasta”

Rozmowy z Janem Urbanem
i Jackiem Laskowskim

Sylwetka Szymona Marciniaka

Program transmisji w TV

Kup w punkcie sprzedaży prasy (magazyn dostępny m.in: w salonach Empik, na stacjach benzynowych, w salonikach Media Relay, w Żabce, w Lidlu i w innych dobrych punktach sprzedaży prasy) lub zamów z bezpłatną dostawą na prenumerata24.pl

MONSUNY, PAWIE i GUJAWY

„Sama jestem wstrząśnięta tym,
że spędziłam ćwierć życia nad jedną książką”.

Z INDYJSKĄ PISARKĄ **KIRAN DESAI**
O JEJ NAJNOWSZEJ POWIEŚCI
„SAMOTNOŚĆ SONII I SUNNY'EGO”
ROZMAWIA **WOJCIECH SZOT**

W sieci można znaleźć wiele stand-upów obśmiewających stereotypy związane z indyjskimi matkami. W twojej powieści indyjskie ciotki i matki też przedstawiane są ironicznie.

– Matka i ciotka to niezwykle ważne figury w indyjskiej rodzinie. Stereotypowo postrzegane są jako osoby nadmiernie kontrolujące, przywiązane do tradycji i obawiające się wszelkich nowinek. W „Samotności Sonii i Sunny'ego” czytelnik odnajdzie takie postaci. Jest Babita, matka Sunny'ego, która w domu rządzi silną ręką, drży o syna i kocha „zachodni” styl życia. Jest też Mina Foi, ciotka Sonii, która po tym, jak się rozwiodła, została uznana przez rodzinę za osobę pechową, przegraną.

Twoja matka Anita Desai jest jedną z najważniejszych indyjskich pisarek XX wieku. Jej książki trzykrotnie znalazły się w finale Bookera. Jaką była matką?

– Nigdy nie była matką tradycyjną, która codziennie pilnuje, bym zabrała do szkoły śniadanie, i kontroluje wszystko, co robię.

Zadaję sobie pytanie: skąd miała ambicje, by zostać pisarką? Nikt nie oczekiwał od niej niczego poza pełnieniem tradycyjnej roli matki i żony. Przyszła na świat w zamożnej rodzinie, jej ojciec był bengalskim biznesmenem. Wyszła za mąż za mojego ojca, który również zajmował się biznesem.

Zacząła pisać już w dzieciństwie, ale nikt nie traktował tego poważnie. Gdy – po ślubie – opublikowała pierwszą książkę i okazało się,

że znalazła uznanie na świecie, rodzina była zaskoczona. Nagle do domu w Nowym Delhi zaczęli przyjeżdżać wydawcy, tłumacze. Pisarstwo otworzyło przed matką drzwi do wielkiego świata. Wtedy postanowiła odejść. Zabrała mnie i wyjechała do Europy.

Zawsze była wobec mnie czuła, ale w naszej relacji był pewien dystans. Gdy dojrzałam, zrozumiałam, skąd się wziął. Patrzyła na świat podwójnie: oczami matki i oczami pisarki, która wnikliwie i krytycznie opisuje życie uprzywilejowanej indyjskiej klasy średniej. Jej książki były zaskakujące, bo zamiast pokazywać „egzotyczne” piękno Indii, nawiązywać do tradycyjnych opowieści, tworzyła pogłębione portrety psychologiczne, bardzo nowoczesne.

W „Samotności...” wielokrotnie wspominasz o problemach z opisywaniem Indii. Z jednej strony czytelnik oczekuje tego orientalizującego piękna, z drugiej strony wiemy, że jest ono swego rodzaju stereotypem, a z jeszcze innej – Indie są pięknym, fascynującym światem.

– Za każdym razem, gdy chcemy opowiadać nasz świat, zadajemy sobie pytanie, kto i jak nas odczyta. To koszt kolonialnej historii naszego kraju.

Pierwszymi, którzy Zachodowi opowiadali Indie, byli pisarze pochodzący z kolonialnych mocarstw. Stworzyli podwaliny pod to, czego czytelnik spodziewa się po opowieści z Indii. W drugiej połowie XX wieku, po uzyskaniu przez Indie niepodległości, do głosu doszło pokolenie indyjskich pisarzy, którzy odebrali edukację w brytyjskich szkołach i zostali ukształtowani przez te zewnętrzne głosy.

Literatura wciąż była przyczółkiem kolonializmu?



– Salman Rushdie na początku lat 80. napisał, że „imperium wraca” właśnie w literaturze. Moja matka była jedną z takich pisarek – osób, które piszą tak, by trafić do czytelnika w Anglii czy USA. Rynek wydawniczy wciąż jest bardziej otwarty dla twórców, którzy podążają tymi śladami. Nasza rzeczywistość jest jednak bardziej skomplikowana. Są w niej wojny, korupcja, nacjonalistyczne rządy. Są skomplikowane zależności między biznesem, władzą i wojskiem. Są ludzie żyjący w bogactwie i ci skrajnie biedni. Ale są też monsuny, pawie i gujawy. Sama zadebiutowałam powieścią „Zadyma w sadzie gujaw” [po polsku ukazała się jako „Zadyma w dzikim sadzie”]. Czy jako indyjska pisarka, żeby uniknąć egzotyzyacji, powinnam umieścić akcję powieści w sadzie jabłek?

Ten problem nie dotyczy wyłącznie Indii. Pisarze z Karaibów ironizują, że w każdej karaibskiej książce, która zdobywa popularność na świecie, bohater musi jeść mango. To owoc, który dla europejskiego czy amerykańskiego czytelnika jest łącznikiem między światami.

– Może się komuś wydawać, że ten dylemat – co ma jeść bohater – jest błahy, ale gdy się bliżej przyjrzymy, dostrzeżemy, że niesie za sobą konotacje polityczne i tożsamościowe. Kilka lat po wydaniu mojej debiutanckiej powieści słuchałam rozmowy Marlona Jamesa z Rushdiem. James zapytał autora „Diabelskich werwetów” o radę dla młodych pisarzy. „Nie umieszczaj w tytułach nazw owoców. Żadnej gujawy”, padła odpowiedź. Przyznaję, zawstydziałam się.

„Zadyma...” ukazała się w 1998 r., 8 lat później wydałaś „Brzemień rzeczy utraconych”, za które dostałaś Bookera. „Samotność...” to twoja trzecia powieść. Po niemal dwóch dekadach. Skąd tak długa przerwa?

– Sama jestem wstrząśnięta tym, że spędziłam ćwierć życia nad jedną książką. W tym czasie narodziło się w mojej głowie wiele historii, które pewnie wykorzystam w kolejnych książkach. Ale jednocześnie muszę przyznać, że ani przez chwilę nie miałam poczucia, że chcę porzucić temat, nad którym pracuję, czyli tytułową samotność.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34439967

Kto wynosił nocnik Leckiej?
Kim była Anita Desai, służąca z „Lalki” i jak wyglądało jej życie w kolonialnym Indii? Alicja Urbanik-Kopec

W SPRZEDAŻY

Szalony po Bookerze: CIAŁO NAS ŁĄCZY, WSZYSCY STAJEMY BEZ WYJĄTKU
Kim wynosił nocnik Leckiej? Najbardziej pasjonująca powieść w całym literaturze

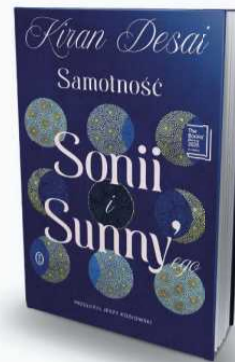
PAMIĘTACIE ANUSIĘ, MARYSIĘ I MIKOŁAJA Z „LALKI”?
Służba w „Lalce” przemija w tle powieści. Alicja Urbanik-Kopec pasjonująco opowiada o trzecioplanowych bohaterach polskiej powieści wszechczasów.

Zamów magazyn z darmową dostawą na: Prenumerata24.pl

Więcej na: Wyborcza.pl/ksiazki



„Samotność Sonii i Sunny’ego” liczy ponad 700 stron. To epicki romans przywodzący na myśl XIX-wieczne arcydzieła gatunku. Akcja dzieje się we współczesnych Indiach i w USA, gdzie studiują tytułowi bohaterowie.



• Kiran Desai,
„Samotność Sonii i Sunny’ego”,
przeł. Jerzy Kozłowski,
Wydawnictwo Literackie (2026)

Mysząc przez lata o samotności, stworzyłam na własny użytek coś w rodzaju katalogu samotności. Bo samotności są różne. Jest ta mroczna związana z przeżytą traumą. Jest kontemplacyjna, z wyboru. A czasem zwykła, zupełnie nieprzeżywana. Od czego zależy to, jak kształtujemy własną samotność, czy umiemy się w niej urządzić, jak z nią walczyć?

Sonia i Sunny pochodzą z dość zamożnych rodzin i studiują w Stanach Zjednoczonych. Ich samotność to samotność imigrantów?

– Tak i nie. Z jednej strony ich samotność spowodowana jest tym, że nie odnajdują się w nowym otoczeniu, ale trzeba też pamiętać, że są uprzywilejowani. Pochodzą z wykształconej klasy, która zna angielski, i jest im łatwiej. Ich samotność jest w nich, a jej źródłem jest nie tylko poczucie wyobcowania.

Zdają sobie sprawę ze swojej uprzywilejowanej pozycji. Sunny, gdy myśli o powrocie do Indii, zastanawia się, jak to o nim świadczy, skoro tyle osób „heroicznie zmierza w przeciwnym kierunku”. W Nowym Jorku nietrudno spotkać ludzi, które mają za sobą niezwykłą podróż. W ich opowieściach są lodzie, statki, nieprzebyte lasy, góry, jakaś Sri Lanka, Iran, Włochy, wreszcie Meksyk i podróż do Stanów Zjednoczonych na pace ciężarówki, pod jakimiś stertami ubrań.

Niemal w tym samym czasie ukazały się w Polsce trzy książki opowiadające o doświadczeniach migrantów z klas co najmniej uprzywilejowanych. To „Bilans snów” Adichie, „Moi przyjaciele” Hishama Matara i właśnie twoja monumentalna powieść. Bohaterowie tych książek choć na co dzień żyją życiem „zachodnim”, to wciąż poddani są wpływowi swoich rodzin, liczą się z tradycją.

– Podczas pisania tej książki zafascynowało mnie to, w jaki sposób przebiega proces we-

sternizacji. Sunny swoją pierwszą dziewczynę podrywa „na zachodni sposób”. Spełnia tym samym nie tyle swoje marzenia, ile matki, która marzy o tym, by chłopak stał się „obywatel-em Zachodu”. W efekcie jego partnerka staje się kimś na kształt „trophy wife”.

Sunny jest dumny z tego, co osiągnął. Jednocześnie jest tą dumą zawstydzony, bo częścią tego, co rzeczywiście go pociąga w tej kobiecie, jest też właśnie rasa i klasa.

Nie unikasz tematów politycznych, wplatasz w „Samotność...” choćby historie konfliktów religijnych, które w Indiach co jakiś czas odzywają i prowadzą nawet do pogromów.

– Samotność i nacjonalizm są powiązane. Strach przed osamotnieniem kieruje czasem ludzi w stronę nacjonalistycznej retoryki.

W ostatnich dwóch dekadach Indie przechodzi niezwykle szybką transformację. Co roku wracam tam, by spędzić czas z ojcem, i widzę rosnący nacjonalizm. Ale to samo dostrzegam też w Stanach Zjednoczonych. Indie idą w stronę hinduskiego nacjonalizmu, a Stany Zjednoczone – w stronę nacjonalizmu białych chrześcijan. Różnorodność przestaje być wartością.

Kiedy byłam młoda, nie zdawałam sobie sprawy z tego, że przyjaciele moich rodziców byli muzułmanami i sikhami. Nie myślałam o związkach mojego rodzeństwa jako o związkach z chrześcijanami. Fakt, że żyło się w mieszanych relacjach, był oczywisty. Dziś już nie.

Patrząc na historię Indii, kraju wielu religii i tożsamości, dzisiejsza retoryka my kontra oni może budzić zdziwienie. Kim są oni? Kim jesteśmy my? Niestety zawsze się tych onych jakoś znajdzie.

W globalnej perspektywie Indie są rynkiem zbytu; krajem, w którym należy budować kolejne fast foody i wprowadzać zachodnie sieciówki. A co z prawami człowieka? Czy kogoś to jeszcze interesuje?

Jakie książki towarzyszyły ci podczas pisania „Samotności...”?

– Kafka. I napisany w 1941 roku wstęp Thomasa Manna do amerykańskiego wydania „Zamku”. Pisze w nim o samotności Kafki – samotności w rodzinie, w życiu Żydem. Ponieważ „Samotność...” miała być opowieścią o epickim rozmachu, to inspirowała mnie, jak to zwykle bywa, nie tylko „Anna Karenina” Tolstoja, ale też „Kraina śniegu” Kawabaty...

Wspaniała!

– Piękna, azjatycka historia miłosna. Warto też przeczytać mowę noblowską Kawabaty, w której opowiada o tym, jak jego proza jest inspirowana filozofią zen.

Tolstoj w „Annie Kareninie” pisze tak, że choć nasza uwaga skupiona jest na głównych bohaterach, to wszystko, co się z nimi dzieje, ma też wpływ na innych ludzi. Nigdy nie zapomina o tych, co są na drugim planie. Podobnie pisała Hilary Mantel.

Niestety nie jestem bardzo zdyscyplinowaną pisarką i pozwalam się porwać historiom, czasem zapominając o tym, że trzeba połączyć różne wątki. Pociągają mnie opowieści pozbawione jednego wyraźnego centrum, mówienie różnymi głosami, bez konieczności ich splatania ze sobą. Dlatego tak lubię powieści Roberto Bolaño. Może w kolejnej książce uda mi się uciec od zwartej struktury. Ale jeszcze nie chcę o tym za dużo myśleć.

Gdy w 2006 roku dostałaś Bookera za „Brzemie rzeczy utraconych”, miałaś 35 lat. Zostałaś najmłodszą laureatką tej nagrody w historii. Jak to wpłynęło na twoje życie?

– Nagroda pomogła mi zyskać pewność. I podjęć decyzję o napisaniu bardziej osobistej powieści, jaką jest „Samotność...”. Zamiast odciąć kupony od bookerowej sławy, mogłam się wycofać, pożyć anonimowo. Dzięki temu chyba łatwiej było mi uchwycić świat, który nas otacza. ●

Teraz się martwię, że mam już 55 lat i nie powinnam spędzić kolejnych 20 na pisaniu następnej książki.

Dlaczego samotność?

– Ten pomysł jest ze mną od dzieciństwa. Już gdy miałam 18 lat i zaczynałam studia w Stanach Zjednoczonych, wiedziałam, że chciała-bym napisać książkę o samotności.

Wyjazd z Indii tak na ciebie wpłynął?

– Nie. Wyjazd na zagraniczne studia był czymś oczywistym. W mojej klasie społecznej był naturalnym etapem życia.

Moja fascynacja samotnością zaczęła się wtedy, gdy jako młoda dziewczyna się zakochałam. Oczywiście nieszczęśliwie. Wtedy uświadomiłam sobie, że właściwie nikt nie opowiada tego, jak wyglądają indyjskie relacje między ludźmi w zglobalizowanym świecie. Pi-sze się o tradycyjnych związkach i problemach z teje tradycji wynikających. Ale jak opisać tych, którzy choć pochodzą ze świata rytuałów i tradycji, są częścią globalnego świata, studiują w Stanach, pracują w londyńskim City?

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34439968

Laureat Bookera: Bohater mojej książki po prostu płynie z prądem

Chcesz spróbować swojego szczęścia w Wielkiej Brytanii? Droga wolna. Dla kogoś, kto wywodzi się z Europy postkomunistycznej, to był prawdziwy szok.

W SPRAWDZI

ZA MONUMENTALNE „CIAŁO” OTRZYMAŁ W 2025 ROKU BOOKERA.

W „Wyborczej” kanadyjsko-węgierski pisarz rozmawia z Mateuszem Mazzinim o tym, czym jest dla niego dom. I nie tylko.

Zamów magazyn z darmową dostawą na: [Prenumerata24.pl](https://prenumerata24.pl)

Więcej na: [Wyborcza.pl/ksiazki](https://wyborcza.pl/ksiazki)

ORANŻADA W WORKU

Kiedyś wypoczywało się kolektywnie.
W rytmie wyznaczonym przez stołówkę:
kolonie, obozy, wczasy pracownicze.

• Harcerze
na obozie
wędrownym
w lipcu 1982 r.

FOT. JAN WÓDREK/PAP

Artur Nowak

Kończy się czerwiec i jak co roku siadam nad telefonem, kombinując, jak pogodzić parametry ceny, jakości i atrakcji w planowanych wakacjach z córką. Jaki wybrać samolot, hotel i co zobaczyć. Wszystko dziś obsługują wyspecjalizowane aplikacje: Kiwi, Booking, Tripadvisor i wiele innych. Zalewa mnie milion zdjęć, które obiecują cudowne wakacje; zachody słońca nad zatokami, góry, muzea, kultowe restauracje.

Przypominam sobie, jak ludzie planowali te wyjazdy kiedyś. Olo będzie miał zaraz 80 lat. Ja lubię słuchać, a on lubi opowiadać.

– O wakacjach chcesz pogadać? – uśmiecha się. No i zabiera mnie w jakieś zamierzchłe czasy lat 50.

– Nie wiem już dokładnie, jak matka znajdowała te miejsca – mówi, wspominając letnie wyjazdy za miasto. – Telefonów przecież nie było. W tamtych wsiach, do których się jeździło, nie było nawet prądu. Musiała dowiadywać się od znajomych, ktoś gdzieś był, ktoś znał gospodarza. Jechała wcześniej sama albo wysyłała wiadomość przez kogoś, żeby sprawdzić, czy znajdzie się dom, izba, kawałek podłogi, miejsce dla dzieci na lato.

Jechało się pociągiem, autobusem, czasem PKS-em, a potem dalej czym się dało.

– Pamiętam drogę do Zabrzeży, do Nowego Sącza, potem w stronę Łącka. Furmanka wiozła nas trzydzieści kilometrów. Dla dziecka znajdującego jedynie podwórko to była cała wyprawa, prawie podróż przez kontynent. Koń, kurz, trzęsący się wóz, góry, drogi, które nie były jeszcze drogami w dzisiejszym sensie. I matka, która wszystko trzymała w rękach. Ona była bardzo dzielna. Bardzo.

W tych wsiach żyło się bez lodówek, bez wygod, bez sklepu za rogiem. W Lisznej, koło Sanoka, bywało tak, że chleb przywozili do do-

mu ludowego. Albo trzeba było iść po niego do Sanoka, osiem kilometrów przez góry. My, małe szkraby, też coś nieśliśmy – kapustę, jakieś zakupy, cokolwiek było trzeba. Dzisiaj dziecko marudziłoby po pięciu minutach, a wtedy się szło.

Człowiek mył się w rzece. Gdy trzeba było załatwić potrzebę, szło się za krzaki, brało gałązki, paprocie, liście. To był świat elementarny, surowy, ale wcale nie odbieraliśmy go jako biedy. Dziecko nie porównuje. Dziecko po prostu żyje w tym, co jest.

W co się bawiliśmy? Z bratem bliźniakiem w wojny. On miał swoją grupę, ja swoją. Toczyły się między nami bitwy, dziecięce kampanie, podwórkowe fronty.

Kiedyś pod blachami na podwórku szukaliśmy dżdżownic do łowienia ryb. Podnosimy blachę, a tam pociski. Prawdziwe. Dopiero po latach dowiedziałem się więcej o tym, co działo się w tamtych okolicach: o UPA, o przemocy, o ludziach, którzy przez te wąwozy i wsie przechodzili z bronią.

Ta wioska leżała w wąwozie prowadzącym do Sanu.

Ludzie – mówi Olo – byli wtedy bardziej życzliwi. Może to była relacja jeszcze powojenna. Może wynikająca z tego, że wszyscy wiedzieli, czym jest niedostatek. Ktoś podwiózł kobietę z dziećmi do wioski, ktoś się zatrzymał i sam zainteresował, w czym może pomóc, zwłaszcza jeśli nie był stąd. Życie szło swoim torem, bez tego pośpiechu, który zostawia innych za plecami.

Jeździli po Bieszczadach.

– Ojciec był lekarzem wojskowym, więc pewne drzwi się otwierały. Matka chciała zobaczyć Komańczę, miejsce, gdzie więziono Wyszyńskiego – opowiada Olo. Kiedy po latach wracał do Komańczy, kiedy pracował nad filmem, Olgierd Łukaszewicz niejeden przecież raz grał prymasa Wyszyńskiego, odkrywał te miejsca na nowo.

Człowiek wraca do własnej pamięci i nagle widzi, że ona nie jest dokumentem. Jest snem, który przechował proporcje dziecka. To, co

kiedyś było wielkim światem, okazuje się małą szkołą, zwykłym podwórkiem, wąską drogą, kawałkiem rzeki. Ale emocja zostaje ogromna.

Jajka na twardo w PKP

Moje wspomnienia są już bardziej realne. Mniej w nich surwiwału i kameralności. Ale jednak dla pokolenia mojej córki to pewnie dziki zachód.

Z dzieciństwa szczególnie zapamiętałem jeden wyjazd nad morze, do Kołobrzegu. Wielką wyprawę pociągiem z Zielonej Góry. Mam ten obraz przed oczami: ojciec niósł ogromną brązową walizkę – taką na zamki i dwa boczne zabezpieczenia, w której spokojnie można by przewieźć pół mieszkania, zapas konserw i jeszcze składany leżak.

Był odstrzelony w biały letni prochowiec, jakby nie jechał z rodziną nad Bałtyk, tylko na rozmowy pokojowe do Genewy. Matka też była gotowa na wielki świat: zrobiona u kosmetyczki, z trwałą świeżo po fryzjerze, w garsonce i butach na wysokim obcasie. Choć i tak z daleka najbardziej widać było czarną jak piekło hennę nad oczami.

Ale prawdziwy cyrk zaczął się dopiero na dworcu PKP w Zielonej Górze. Ludzie nie mieli skrupułów. Do pociągu wchodził często oknami. Ale oczywiście ktoś musiał wcześniej zająć przedział.

My na szczęście bilety kupiliśmy wcześniej. Ojciec trzymał je w wewnętrznej kieszeni, jakby przewoził plany Układu Warszawskiego. Co dziesięć minut sprawdzał, czy są, a potem jeszcze sprawdzał, czy na pewno sprawdzil. I ja chyba mam to po nim. Jakbym nie dowierzał samemu sobie, muszę zawsze sprawdzić, czy bilet kupiony przed chwilą w automacie na pewno jest w kieszeni. No i też się zapętlam.

Kiedy już miało się przedział, zaczynało się osobne państwo. Bo przedział w sezonie to był wypas.

No i zaczynał się ten kolejowy teatr.

Ktoś otwierał brytfankę z pieczonym kurczakiem. Ktoś inny wyciągał z siatki jajka na twardo, kanapki, pomidory i sól zawiniętą w kawałek papieru. Po chwili cały wagon pach-

niał tłuszczem, małosolnym, potem i papierosem, a gdzieś tam w oddali, z innego wagonu słychać było znany wszystkim hit śpiewany do prostych akordów gitary.

Na kolejnych stacjach do środka wpadali handlarze z niebieskimi plastikowymi siatkami. Tak zwani cwaniacy: sprzedawali piwo, czasem fajki.

Było głośno, duszno i wesoło. Ktoś opowiadał kawały, ktoś się kłócił, ktoś już spał z głową opartą o szybę.

Nawalony wczasowiczami pociąg jechał nad morze.

Rekin czyli dorsz

Z tamtych wakacji pamiętam jakieś urywki.

Zajechaliśmy na tak zwaną stację. W praktyce oznaczało to pokój na piętrze z łazienką na korytarzu i wspólną kuchnię. W zestawie był parawan, kilka koców i pewna obietnica luksusu, która polegała na tym, że tylnym, trochę nielegalnym wejściem można było przejść prosto na plażę.

Tylko że łazienka była mała. A ojciec był człowiekiem przesadnie serio traktującym pewne sprawy. Kiedy usiadł z poważną misją, okazało się, że nie dość, iż nie może tam wygodnie poczytać swojej ulubionej „Trybuny Ludu”, to jeszcze drzwi się nie domykają. I to był problem, który strasznie go gryzł.

Znalazł inną stację. Trzeba było się przenieść, ale – jak się okazało – opłacało się. Trafiliśmy na piętro nad knajpą z rybami. W nowym apartamencie była fajna duża łazienka tylko dla nas.

Właściciel tej knajpy z rybami któregoś wieczoru, kiedy napił się z ojcem, wyjawil mu tajemnicę polskiego kapitalizmu nadbałtyckiego. Największa kasa – mówił – jest nie na rybach, nie na frytkach, nie na dorszu – jest na surówkach.

A jeśli chodzi o ryby, to oficjalnie sprzedawał trzydzieści gatunków. W rzeczywistości miał pięć. Bo taki dorsz mógł robić nawet za rekina. „Bo kto tam wie, jak smakuje rekin?” – śmiał się. No i jeszcze stawał ojcu piwo z bu-

WYCHOWANI PRZEZ WILKI

W Norrlandii znajduje się połowa szwedzkich lasów oraz połowa przemysłu drzewnego i papierniczego. Bez tutejszych tartaków nie byłoby sukcesu Ikea. Czego jeszcze nie wiemy o szwedzkim Podlasiu?



Małgorzata Sidz

Turyści chętnie zwiedzają szwedzkie miasta – Sztokholm, Malmö, Göteborg – z ich historycznymi starówkami. „Prawdziwej” Szwecji, którą symbolizuje czerwony, drewniany konik, szukają w Dalarnie, a prawdziwej natury – na Gotlandii czy archipelagu sztokholmskim. O północnej części Szwecji przypominają sobie, gdy jadą pociągiem do Laponii na spotkanie ze Świętym Mikołajem. A warto zobaczyć z utartych szlaków i zrobić sobie w Norrlandii kilka przystanków.

Kim jest Norrlandczyk?

Norrland – dosłownie „północne ziemie”, to jeden z trzech głównych historycznych i kulturowych regionów Szwecji (obok Götaland i Svealand). Zajmuje około 60 proc. powierzchni kraju, ale mieszka tam tylko 12 proc. populacji. Milion i niecałe 200 tysięcy ludzi na obszarze tylko o 15 proc. mniejszym niż Polska.

Norrlandia nie jest żadną konkretną jednostką administracyjną, ale każdy Szwed ma o niej swoje zdanie. Na południu zaczyna się w miastach Gävle i Sandviken i rozciąga daleko za Kolo Podbiegunowe. Ale dla mieszkańców południa kraju zwykle wszystko co na północ od Sztokholmu – to już Norrlandia.

Młodzi mieszkańcy stolicy, których o Norrlandię i jej mieszkańców pytała na ulicy dziennikarka kanału Tänk Till na You Tube, mówili, że Norrlandczycy to ludzie „z okresu kamienia łupanego, mieszkający w domach z patyków, którzy do picia gotują wodę z rzeki”. Że w Norrlandii nie ma sklepów, jest tylko centrum, „w którym stoi Hemköp [1] i dwoje ludzi”. Że w Kirunie jest to prawda „spokojnie i ładnie,

ale nie ma internetu”. Gdzie dla nich zaczyna się Norrlandia? „Na północ od Sztokholmu, najwyżej w Uppsali”.

Stereotypowy mieszkaniec Norrlandii to drwal w koszuli w kratę, który konsumuje tak dużo tytoniu w woreczkach snus, że może włożyć palec pod wargę i dotknąć oczodołu. Jego pasje to ściganie się samochodem po wiejskich drogach i picie piwa na parkingu pod jedynym supermarketem w mieście. Słucha country i ma prosty gust – je tony ziemniaków, nie wyobraża sobie posiłku bez mięsa, a każdy poranek zaczyna od owsianki. W odróżnieniu od światłych mieszkańców stolicy Norrlandczycy nie znają się na modzie, nie słyszeli o kosmetykach, a ich jedyny produkt do pielęgnacji włosów to woda z jeziora.

Co jeszcze stereotypy mówią o Norrlandczycach? Że są aspołecznymi dziwakami wychowanymi w lesie przez wilki, którzy łatwiej dogadają się z losiem niż z drugim człowiekiem. Że są małomówni i niechętni do kontaktu tak bar-

dzo, że zamiast słowa „ja” oznaczającego „tak” odpowiadają głośnym wdechem. No i jeszcze, że są konserwatywni, grubiańscy i nieociosani.

To krzywdzące opinie, ale jakoś wciąż popularne. Bo nawet rzeczy pozytywne tłumaczy się tak, jakby nimi nie były. Norrlandczycy są raczej otwarci, pomocni i gościnni, ale mówi się, że to dlatego, bo są prości i dzicy. To, że tworzą bliskie społeczności i utrzymują ciepłe relacje z rodziną, bywa uważane za dowód na nieucywilizowanie i zacofanie w stosunku do zindywidualizowanego, kapitalistycznego społeczeństwa zurbanizowanego południa Szwecji.

Norrlandczycy są więc synonimem wszystkiego, co „inne”, dzikie, obce i niezrozumiałe.

Dzikość i przemysł

Norrlandia rzeczywiście może się wydawać nieco egzotyczna. Im dalej na północ, tym jest zimniej, a krajobraz pustoszeje. Lasy liściaste zamieniają się w iglastą tajgę, a potem w tundrę. Prawdziwa Norrlandia to zorze polarne,

przenikliwe zimno, niekończący się zimowy mrok i lato bez snu (tzw. białe noce).

Tak, jest tutaj zimniej, ale jest też cicho, przytulnie i klimatycznie, a powietrze jest przyjemnie suche. Zimą śnieg skrzypi pod stopami i swoją bielą rozjaśnia świat lepiej niż sztuczne światła w miastach na południu. Woda jest smaczniejsza, powietrze czyste i rześkie. Ani śladu zanieczyszczeń czy smogu.

W Norrlandii znajduje się połowa szwedzkich lasów oraz połowa przemysłu drzewnego i papierniczego. Bez tutejszych tartaków nie byłoby sukcesu Ikea. Zielone złoto napędzało rozwój szwedzkiego przemysłu już w XIX wieku. Ale niepokonany apetyt przemysłu drzewnego, który wycina piękne, stare lasy, a na ich miejsce tworzy sztuczne szkółki leśne, budzi duże kontrowersje i dyskusje (pisał o tym m.in. dziennikarz Marcin Zaremba-Bielawski).

W tutejszych rzekach i wodach Zatoki Botnickiej od tysięcy lat łowiono śledzie, łososie, sieje, sielawy, okonie i szczupaki. Żywiły nie tylko lokalną ludność, ale i cały kraj. Najlepiej znanym produktem z regionu jest chroniony przez Unię Europejską kawior z sielawy Kalix Løjrom.

Dzisiaj rzeki to już mniej rybołówstwo, a bardziej produkcja zielonej energii. Tutejsze elektrownie wodne pokrywają 40 proc. krajowego zapotrzebowania na prąd. Wiele projektów związanych z produkcją czystej energii zapoczątkowano właśnie w Norrlandii, choćby w Skellefteå nowa technologia produkcji energooszczędnych baterii.

Największym bogactwem Norrlandii są jednak jej kopalnie, bo znajdziemy tu miedź, złoto, srebro, minerały ziem rzadkich, a przede wszystkim największe w Europie złoża rudy żelaza. Obok przemysłu drzewnego odpowiadają one za ogromny skok gospodarczy, który przeżyła Szwecja pod koniec XIX wieku. Dzisiaj



• **Renifery w Parku Narodowym Abisko za Kołem Podbiegunowym. Jedno z najlepszych miejsc do obserwacji zorzy polarnej**



FOT. UMOMOS/SHUTTERSTOCK

Norrlandia - Szwecja

Norrland znacząco jest Północną Ziemią. Jeden z trzech głównych historycznych i kulturowych regionów Szwecji. Zajmuje prawie 60 proc. powierzchni kraju, a mieszka tam tylko 12 proc. populacji: 1 200 tysięcy ludzi



MAPA: JOANNA PATYK

© GAZETA WYBORCZA



FOT. MATS ANDERSSON/BLOOMBERG VIA GETTY IMAGES

◀ **Wioska rybacka w Höga Kusten nad Zatoką Botnicką. Tutejsze atrakcje to urokliwe zatoki i plaże oraz klify – jedne z najwyższych na wybrzeżu Bałtyku**

▲ **Norrlandia to połowa szwedzkich lasów i połowa przemysłu drzewnego. Ale wycinanie starych drzew budzi w Szwecji coraz większe kontrowersje**

▼ **Wielki Rynek w Sundsvall. Miasto jest otoczone lasami, 10 minut od centrum jest jezioro Sidsjön. W XIX w. było to centrum przemysłu drzewnego**



TRABANTOS/SHUTTERSTOCK

Szwecja ma Spotify, Volvo, Skanska i ogromny przemysł muzyczny, ale ponad 100 lat temu to właśnie bogactwa Norrlandii wyciągnęły Szwedów z gospodarstw rolnych do miast.

Relacja południowej Szwecji z Norrlandią ociera się o kolonializm. Opiera się głównie na eksploatacji, bardzo często wbrew głośno wyrażanym potrzebom lokalnych społeczności. Tak, mieszkają tu ciężko pracujący ludzie, bije tu serce przemysłu, które utrzymuje resztę Szwecji, ale wytwarzane na północny bogactwo w ograniczonych stopniu tu zostaje.

Gävle – wrota na Północ

Pierwsze wrota, które prowadzą na Północ, to Gävle leżące zaledwie 100 km od Uppsali. To symboliczna granica między południem a północą kraju i najstarsze miasto w Norrlandii, założone w 1446 roku.

Gävle jak na Norrlandię jest bardzo miejskie. Ludzie chodzą na spacer do parku, a nie do lasu, i grają tam we frisbee, a nie polują na łosie. Nie ma tutaj dzikiej, nieokiełznanej natury i wiele osób uważa, że miasto powinno należeć do Svealandii – regionu, w którym znajduje się Sztokholm. Ale Gävle z 80 tysiącami mieszkańców woli być dużym miastem w Norrlandii niż jednym z małych miast południa kraju.

Centrum duchem trochę przypomina warszawski Muranów. Starówka to malerki domki w odcieniach stonowanych żółci i czerwieni, z wybrukowanymi drózkami, w których mieszczą się dzisiaj kawiarenki, sklepiki z rękodziełem i pamiątkami w zawyżonych cenach. Jest też sala koncertowa, dziwnie granatowa i geometryczna, przypominająca basen oraz samowarzące najstarsze szwedzkie centrum handlowe, czyli dwupiętrowa, mała hala targowa.

Jeszcze zanim zbudowano tu kolej, Gävle było furką między północną Szwecją a resztą świata. To miasto z długą, kupiecką tradycją

cią i ważny port. Były czasy, że było nawet piątym co do wielkości miastem w kraju. Stąd eksportowano rudę żelaza, smołę, drewno. I oczywiście ryby. W XV i XVI wieku rybacy z Gävle mieli królewski monopol na połowy wzdłuż całego wybrzeża Norrlandii. Przez setki kilometrów ciągnęły się więc zakładane tutaj w sezonie rybackie wioseczki.

Sundsvall, prawdziwe centrum kraju

Trochę ponad 200 km wyżej leży Sundsvall, moje prywatne wrota na Północ. Tutaj już

POZNAJMY NASZĄ EUROPE



• Chcemy rozwijać wśród Polaków poczucie europejskiej tożsamości, pokazując różnorodność krajów członkowskich Unii Europejskiej. Co tydzień na łamach „Magazynu Wyborczej” i w serwisie Wyborcza.pl będziemy publikować teksty opisujące ciekawe miejsca, tradycje i kulturę kolejnych krajów Wspólnoty. W ramach projektu przedstawiamy także działalność Parlamentu Europejskiego i jego wpływ na życie Europejczyków. Analizujemy wyzwania stojące przed Wspólnotą, m.in.: kryzys migracyjny, wojnę w Ukrainie czy walkę z dezinformacją. Działania współfinansowane są przez UE w ramach programu dotacji Parlamentu Europejskiego w dziedzinie komunikacji. Materiały i wypowiedzi zawarte w tekstach przedstawiają poglądy autorów. Parlament Europejski nie odpowiada za ich treść.



można poczuć prawdziwą Norrlandię. Miasto otaczają lasy, 10 minut od centrum jest jezioro Sidsjön, a krótki most prowadzi na Alnö – wyspę, na której są plaże i domki letniskowe. Nie ma tu już charakterystycznych dla południowej Szwecji gospodarstw rolnych.

Miasto położone jest między dwoma wzgórzami nazwanymi z fantazją Norra Berget i Södra Berget – Północne Wzgórze i Południowe Wzgórze. Można na nich palić ogniska i podziwiać panoramę miasta, które jest tak inne od ciasnej, miejskiej zabudowy na południu.

Pod koniec XIX wieku było to centrum przemysłu drzewnego i papierniczego. Tutejszy port ułatwiał eksport tych produktów za granicę i dzięki temu miasto było jednym z najbogatszych w kraju. To tu kształtowały się dzisiejsze szwedzki kapitalizm i klasa pracująca.

Dzisiaj w Sundsvall nadal działają tartaki, ale to hydroelektrownie oraz usługi cyfrowe i telekomunikacyjne napędzają teraz rozwój miasta. Tak jak cały kraj, Sundsvall przechodzi przemianę – od wydobywania i przetwarzania zasobów naturalnych do ekologicznej nowoczesnej gospodarki opartej na wiedzy i umiejętnościach. Miasto chce być znane dzięki swojemu uniwersytetowi – Mittuniversitetet – nazwanemu tak, bo Sundsvall leży w samym centrum kraju. Dołączyło do długiej listy miast, które uważają się właśnie za leżące w centrum kraju – takich jak Gävle, Uppsala, Örebro i oczywiście Sztokholm.

Kamienne domy pod ochroną smoków

Miasta szwedzkie były budowane z drewna, więc każde ma w swojej historii wiele pożarów, ale niewiele tak dramatycznych jak ten, który strawił Sundsvall w ciągu jednego dnia w 1888 roku. Tysiące ludzi wylądowało na ulicy. Żeby zapobiec podobnym tragediom, centrum odbudowano w kamieniu i cegle, na

wzór innych miasteczek europejskich. Na starówkę, która jest wyjątkowo szeroka i elegancka, mówi się więc Stenstan (kamienne miasto).

Jeden z ówczesnych mieszkańców Sundsvall, przedsiębiorca Isak Hirsch wierzył w lokalną legendę o smokach, które chronią miejsca, opiekując się nimi. Umieścił więc na dachu swojej kamienicy zięjącego ogniem mościeżnego potwora. Innym się to spodobało i też zaczęli smokami ozdabiać swoje budynki. Dziś smoki są wszędzie i stały się symbolem miasta. Swoje smoki mają poczta, wodociągi, strażacy, policja, uniwersytet. I oczywiście lokalna drużyna koszykarska nazwana na cześć smoków właśnie. Robienie zdjęć dziesiątkom porzucanych po mieście smoków to ulubiona rozrywka turystów.

Zielone wzgórza nad Zatoką

Z okolic Sundsvall wyruszyć można na Höga Kusten – wybrzeże Zatoki Botnickiej znane czasami jako „szwedzkie Lofoten”. Cofający się miliony lat temu lodowiec pozostawił po sobie dramatyczny krajobraz. Potężne klify i urwiska, kotliny i kaniony, które z czasem pokryły się bujnymi lasami, a wzgórza zielenią i wrzosem. I naga skała zabarwioną na ceglasto. I porwane na małe kawałki wysepki.

To wyjątkowe widoki – wzgórza wpadające prosto do morza i głębokie zatoki. Można takie zobaczyć w Kanadzie czy Brazylii oraz właśnie tu, w Szwecji. Szlak, który prowadzi przez to wybrzeże, ma 130 km i nazywany jest jedną z najpiękniejszych pieszych tras w Europie.

Umeå – miasto brzoź i młodzieży

Ostatnie wrota na Północ to Umeå ze 130 tysiącami mieszkańców. Nazwane na cześć rzeki, która przez nie przepływa – podobnie jak Luleå czy Piteå – ale mieszkańcy Norrlandii mówią na nie po prostu Ume. Nazywa się je też

„miastem brzoź”. Podobnie jak w Sundsvall, w 1888 roku pożar pochłonął większość miasta. Tak jak w Sundsvall, problemem był wiatr, który rozniósł ogień. Dlatego podczas odbudowy, pomiędzy budynkami sadzono tysiące brzoź, żeby złagodzić podmuchy wiatru.

Umeå to stolica północnej Szwecji, intelektualne i kulturalne centrum regionu m.in. dzięki tutejszemu uniwersytetowi założonemu w latach 60. XX wieku. To centrum badań, innowacji i kultury start-upów oraz jedno z najmłodszych demograficznie miast w kraju. W Umeå mieszkają się też kultury, a prom łączy miasto z fińską Vaasą.

W latach 80. rozwijała się tutaj muzyka punk i hardcore, powstał ruch straight edge, którego członkowie odmawiali picia alkoholu i nie używali narkotyków. Dzisiaj działa tu wiele ruchów aktywistycznych zajmujących się m.in. prawami zwierząt i zmianami klimatu. Umeå pełna jest młodej energii.

Bo postrzeganie tego, czym jest północ Szwecji, zmienia się. O ile Gävle było pierwszą bramą, która otworzyła drogę na Północ, a Sundsvall centrum jej industrializacji, to Umeå jest symbolem przyszłości i nadzieją na nowoczesny rozwój regionu.

Laponia. Im dalej w las, tym mniej drzew

I Szwed, i Polak zgodzi się, że prawdziwa Północ to Laponia. Tu mieszka Święty Mikołaj, tutaj jest hotel zbudowany z lodu, tu mieszkają renifery i można ścigać się na psich zaprzęgach. Tu znajdziesz esencję szwedzkości, jej ciszę, jej lagom, czyli umiarkowanie. Jej smagający, zimny wiatr. Park narodowy Abisko leżący 200 km na północ za kołem podbiegunowym to cel turystów poszukujących zorzy polarnej i emocjonalnego wyciszenia. Bo oglądanie zorzy polarnej jest jak medytacja.

Perłą w koronie Laponii jest Kiruna. To mekka kultury Sámi. Kiedy ludy nordyckie zamieszkiwały jego północ, łowili ryby i wypasali renifery. Ziemię, które zamieszkują do dzisiaj, rozciągają się między Norwegią, Szwecją, Finlandią i Rosją. W XX wieku byli dyskryminowani we wszystkich tych krajach.

Kultura Sámi i Tornedalianów

Sámi mają tradycyjny strój *gákti*, przypominający jodłowanie śpiew *jojk* oraz rękodzieło *duddi*. Od paru dekad rozwijają też swój przemysł filmowy i literaturę. W Szwecji mają własny parlament, a państwo – przynajmniej w teorii – konsultuje się z nimi w kwestiach związanych z rozwojem regionu.

Język *sámi*, który ma wiele dialektów, przeżywa swój renesans wśród młodych, którzy są dumni ze swojego pochodzenia i już się go nie wstydzą. Pomaga to, że Szwecja przez ostatnie 20 lat zapelniła się imigrantami z całego świata, i nie trzeba być już etnicznie czystym Szwedem, żeby czuć, że przynależy do tego kraju.

Mniej znaną mniejszością, która zamieszkuje Kirunę oraz okolice rzeki Torne od stuleci, są *Tornedalianie* – ludność etnicznie fińska. Swoją tradycyjną dom nazywają *meänmaa*, czyli nasza ziemia, a język – *meänkieli*, czyli nasz język. Region, który zamieszkują, od 1809 roku był częścią szwedzkiej Finlandii. Kiedy Szwecja w wyniku wojny z Rosją, musiała jej oddać dzisiejszą Finlandię – wielu Finów zostało po tej stronie granicy. Ich język i kultura pozostały fińskie, ale rozwijały się równolegle, bez kontaktu z Finlandią, oraz pod wpływem represyjnej polityki szwedzkiego państwa.

Ich tożsamość to szwedzko-fińska hybryda. A bardziej niż z którymkolwiek z krajów identyfikują się z samą rzeką, lodowym krajobrazem, potrawami z renifera, ryb rzecznych i żytniego chleba. Pisarz Mikael Niemi rozślawił ten region w Szwecji i Finlandii, opisując go w powieści „Muzyka pop z Vittuli”.

Kiruna musi się przenieść

Ostatnio, jeżeli Kiruna pojawia się w mediach, to niestety, nie w związku z bogatą historią i kulturą miasta. Stała się symbolem tego, jak



• Kopalnia w Kirunie stoi na największym złożu rudy żelaza w Europie. To labirynt 500 km dróg i korytarzy



• Kiruna – miasto, które powstało kiedy odkryto tutaj rudę żelaza i zbudowano kopalnię. Jaka będzie jego przyszłość? Zapada się z powodu wydobycia i musi zostać przeniesione

północ kraju jest eksploatowana przez południe. W XVII wieku w tych okolicach znaleziono złoża rud żelaza. Pod koniec XIX wieku rozpoczęto ich wydobycie na masową skalę i wtedy też założono miasto.

To, co było zbawieniem, dzisiaj jest przekleństwem. Powstanie kopalni nie przelożyło się na dobrobyt ludzi, którzy przybyli tu do pracy. Pieniądze nie są tu reinwestowane, ale jak zwykle zniknęły gdzieś na południu. Kopalnia stoi na największym złożu rudy żelaza w Europie, to monstrum, podziemny labirynt 500 km korytarzy (winda jest tylko dla złóż).

Miasto zaczyna się zapadać. Żeby kontynuować wydobycie, postanowiono je przenieść 3 km na wschód. Kawalek po kawalku, budynek po budynku. Prywatne domy, drogi, szkoły i całą infrastrukturę.

Posłuchajcie podcastu „Poznajmy naszą Europę”

• Szwecja to kraj, który przez lata był symbolem najwyższej jakości, nowoczesności i dobrego życia. Przewodniczką **Alicji Dąbrowskiej** z „Gazety Wyborczej” jest **Emilia Fabisiak**, tłumaczka i znawczyni szwedzkich realiów. Opowiada o niezwykłej drodze Szwecji: od biednego państwa rolniczego, do jednego z najbogatszych i najbardziej rozwiniętych krajów świata.



Także drewniany kościół luterński zaprojektowany przez Gustafa Wickmana, którego zainspirował kształt tradycyjnego namiotu Sámi – káta. To jedna z najpiękniejszych budowli w kraju. Rok trwały przygotowania do transportu, wewnątrz oczyszczono z mebli czy ozdób i w 2025 roku przewieziono go na gąsienicach w całości na nowe miejsce.

Procesję oglądali mieszkańcy Kiruny, a w internecie – cały świat. Widok był niezwykły, ale dla mieszkańców to tylko chwyt marketingowy. Bo wbrew zapowiedziom nie wszystkie budynki zostaną tak potraktowane – tylko część zostanie rozebrana na kawalki, a potem przeniesiona. Dla wielu nie ma planu – nie zostaną ani przeniesione, ani nie powstaną dla ich alternatywa. Taki los czeka np. sale koncertowe i miejsca spotkań młodzieży. Istnieje obawa, że wraz z przeprowadzką zniknie infrastruktura, która sprawia, że życie w mieście jest przyjemne. Miasto w nowym miejscu zostanie podporządkowane wyłącznie działalności górniczej. Tak jak wtedy, kiedy powstało.

Przenosiny miasta to także problem dla Sámi. W arktycznym klimacie roślinność różnie powoli i renifery muszą poruszać się na ogromnych przestrzeniach, żeby dać odpocząć ziemi. Dlatego tak ważne jest, by mogły swobodnie wędrować między lasem na południe od Kiruny latem i wzgórzami na północy zimą. Sámi mają swoje szkoły, instytucje, nawet parlament, ale tracą najważniejszą tradycję.

Szwedzkie Podlasie

Dla Szwedów Norrlandia to miejsce ze względu na kulturę i naturę magiczne, a jednocześnie uważane za nieco „zacofane”. Jest auten-

tycznie szwedzkie w sposób, który my, nowoczesni ludzie z Południa, już porzuciliśmy. Norrlandia to takie szwedzkie Podlasie. Tak samo, jak my podziwiamy i kochamy Podlasie, jeździmy tam po doświadczenie autentyczności, ale jednocześnie patrzymy trochę z góry na tych, którzy śledzikują.

Norrlandczycy są dumni ze swego pochodzenia. Nawet chętnie akceptują stereotypy, z którymi się mierzą. I tak – zamiast powiedzieć „tak”, wdychają głośno powietrze. Może i zimny są tutaj ciężkie, ale latem słońce nigdy nie zasypia. Nigdzie krajobraz nie zapiera tchu w piersi tak jak tutaj. Można tu poczuć inną Szwecję – nie tę wiejską, agrarną, chłopsko-taneczną, ale tę skupioną, przemysłową, która musi pracować, żeby południe kraju mogło tańczyć.

W narodowych eliminacjach do konkursu Eurovizji w 2024 roku zespół Engmans Kapell opisywał podróżę po świecie w piosence „Norrland”:

*Spakowałem plecak, kiedy byłem młody
Bo gdzieś czekała na mnie przygoda (...)
Głęboko na Saharze, w świecie z piasku
Stawem nad oazą i tęskniłem za domem
Zawiał wiatr pachnący dalekimi krajami
Ale wiatr z Norrlandii – żaden nie może się
z nim równać
Kiedy przewodnik zaczął opowiadać o karawanach
Ja myślałem o rzekach, górach i jodłach (...)
Tęsknię za Norrlandią, tęsknię za domem [2]*

[1] Szwedzki sklep w typie Lidla albo Biedronki
[2] Tłumaczenie własne



FOT. JOANNA GOŁEMBIEWSKA

Małgorzata Sidz

• Roczniak 1990 r., Ukończyła japonistykę i studia regionalne o Azji Wschodniej na Uniwersytecie w Turku w Finlandii. Spędziła kilka lat w Szwecji, Finlandii i Danii. Dłużej przebywała także w Japonii i Korei Południowej, a obecnie mieszka w Kanadzie. Mówi w 10 językach. Autorka reportaży „Kocie Chrzyciny. Lato i zima w Finlandii” (2020), „Mądre matki, dobre żony. Kobiety w Korei Południowej” (2023) oraz powieści „Pół roku na Saturnie”. (2021) i „Garbate lato” (2024).

Urok pękniętej wrażliwości

Czy wyda się czytelnikom dziwne, że nie przeszkadza mi np. alkoholizm lub narkomania pisarzy czy artystów, którzy szli przez życie z piętnem nałogu, lecz w chwilach trzeźwości starali się być uprzejmi, współczujący?..



Jarosław Mikołajewski

felieton z cyklu „Za pięć trzynasta”

Polityką interesuję się zdecydowanie mniej, niż modelami kultury, które ze sobą niesie, a te zaskakują i dotykają bardziej niż procentowa przewaga jednej formacji nad drugą.

To wcale nie jest tak, że bolało i bolałoby mnie, gdyby u władzy był PiS. Bolało mnie (i trudno mi znieść wizję powrotu układu

przed 2023 roku), że u władzy było pisostwo – ten sposób mówienia, buta, nonszalancja, który temu pisostwu przypisuję. Sylwetka moralna i intelektualna ludzi podobnych Czarnkowi, Kaczyńskiemu, Morawieckiemu, Sasinowi, Wójcikowi, Dudzie, Nawrockiemu. Powierzchnowość mówienia (za którą domyślam się powierzchowności myślenia, błahości odczuwania), obcesowość, cwaniactwo. Priorytet demonstrowania własnych przekonań nad poetyką rozumienia drugiego człowieka.

Śmieszny mi pogląd, że cokolwiek poza życiem prywatnym (o którym nic nie wiem) ich różni. Czarnka i Morawieckiego. Kaczyńskiego i Nawrockiego. I boli kiedy ugrupowania, na które skłonny jestem głosować całym sercem i umysłem, zbliżają się choć epizodycznie do piśmowskiego czy konfederackiego sposobu istnienia.

Nie mówię tylko o przypadkach tych lekarzy czy senatorów, którzy korzystają z możliwości prawnych, żeby uzyskać dla siebie więcej luksusu – choć każdy jest ponurym rozczarowaniem i zniechęcą (ładne

słowo?) do przejmowania się krajem. Także o odchodzeniu od poetyki bycia na świecie, którą uformowała we mnie rodzina, lektury, rozmowy, krąg przyjaciół towarzyszący mi w drodze życiowej.

Czy zdziwi moich czytelników, że kultuwuję w sobie Kafkę i Alberta Camusa? Czy będzie zaskocze-

ści kraju. Na przykład dumą z tego, że uszczelniliśmy granice, którą wołałbym, żeby zastąpiła dumą z troski, jaką na przejściach polskie władze wykazywałyby wobec afrykańskich czy azjatyckich uchodźców oszukanych przez Putina i Łukaszenkę.

Niech mi nie będzie poczytane za zdradę interesów narodo-

Czy naprawdę nie można znaleźć i używać języka, w którym dałoby się informować o zbrojeniowych sukcesach, przekazując jednocześnie kruchy model człowieczeństwa?

niem, że kocham Tuwima i Staffa?. Czy wyda się dziwne, że nie przeszkadza mi na przykład alkoholizm lub narkomania pisarzy czy artystów, którzy szli przez życie z piętnem nałogu, lecz w chwilach trzeźwości starali się być uprzejmi, współczujący?..

Obserwując świat (coraz częściej przez okno telewizora) niepokoję się ostatnio nutą triumfalizmu i entuzjazmu dla spraw obronno-

wych, że odczuwając wewnętrzną ulgę, satysfakcję, uznanie dla rządu, że realizuje ambitny plan zbrojeń obronnych, noszę w sobie niepokój z militaryzującej poetyki informowania.

Tak, rozumiem, że o sukcesach trzeba informować. Tak, widzę jaskrawą różnicę pomiędzy sposobem, w jaki o sile Polski mówią

Nawrocki z Błaszczakiem, a poetyką powiadamiania o tym przez wicepremiera i ministra obrony. Nie dzieje się tutaj jeszcze chyba żadna cywilizacyjna tragedia, ale pomyślmy o młodych.

Czy naprawdę nie można znaleźć i używać języka, w którym dałoby się informować o zbrojeniowych sukcesach, przekazując jednocześnie kruchy model człowieczeństwa? Ten współczujący, solidarny poprzez refleksję nad wspólnotą ludzkiego losu i zmiennością historycznych losów?

Boję się języka i postaw. Mam lęk, że zapomniana zostanie atrakcyjność pękniętej wrażliwości.

Że kiedyś ktoś, kto czyta moje dawne zapiski, zdziwi się, że mógł być aż tak atrakcyjny i fascynujący jeden samobójca czy drugi. Cesare Pavese czy Edward Stachura.

Boję się wyścigu, w którym tylko przez większą liczbę głosów może wygrać pycha, cwaniactwo, obmowa, szpiegowska natura nowych pegazusów.

Dlatego oglądam i polecam jak i kiedy mogę piosenki Magdy Umer, szlachetną cieniistość Andrzeja Poniedziałkiego. Dlatego władzom polecam, by doceniali artystów. ●

REKLAMA

Kraj/34440505

Mamy to. 1 AGORA
GRUPA MEDIOWA #1 W POLSCE

Każdego dnia trafiamy do blisko 15 milionów odbiorców, co daje nam 1. miejsce wśród grup mediowych w Polsce. Dziękujemy, że jesteście z nami.

Źródło: Mediapanel/Gemius; maj 2026

GRUPA MEDIOWA

AGORA

GAZETA wyborcza

GAZETA.PL

ZET radio

tokfm

ams

HELIOS

Marta Górna

Więziń zwisa głową w dół jak nietoperz. – Obudziliśmy się? – pyta grzecznie nowy szeryf. – Nie jesteśmy pewni – odpowiada więziń. – Jesteśmy czarni? Szeryf uśmiecha się lekko: – Owszem, jesteśmy. – Więc się obudziliśmy. Ale jesteśmy wielce zaskoczeni – mówi więziń.

Skonsternowani byli też widzowie i krytycy, kiedy w 1974 roku „Płonące siodła” Mela Brooksa – anarchistyczna, parodiująca tradycyjny western komedia o czarnym szeryfie (Cleavon Little) i jego kumpla dandysie-kryminaliście (Gene Wilder) – miały premierę.

„Płonące siodła”. Czegoś takiego widzowie jeszcze nie widzieli

Ta brawurowa, inteligentna bufonada pewnie dziś by nie powstała. Ba, cudem powstała w latach 70. 46 razy padło w niej słowo „czarnuch”.

„Płonącymi siodłami” Brooks przywiązał klasyczny western do siodła mustanga i klepnął go w zad. Wsunął dynamit pod tyłek gatunku i podpalil lont.

Czegoś takiego widzowie jeszcze nie widzieli – krytycy zresztą też. I od tamtej pory już nie oglądali. Brooks zmienił gatunek radykalnie.

Zrobił szeryfa z czarnego robotnika i napuścił go niby na bandytów terroryzujących prowincjonalne miasteczko.

Rozwalając czwartą ścianę, a więc zwracając się wprost do widowni, Brooks wyśmiał sposób przedstawiania czarnych w westernach. Do 1974 roku czarni byli na hollywoodzkim Dzikim Zachodzie służącymi, robotnikami, uciśnionymi niewolnikami, ewentualnie szlachetnymi postaciami na dalekim drugim planie.

Nawet w „czarnych westernach” z lat 30., celujących w czarną widownię, główną rolę grał Herb Jeffries, którego matka była biała, a ojciec miał korzenie francusko-włosko-mauretańskie. Dopiero filmy blaxploitation, nisza kinowa tworzona przez czarnych dla czarnych, wypełniła w latach 70. lukę w opowieściach o białych kowbojach. Ale one nie przebijają się do głównego nurtu.

Pisząc scenariusz m.in. z czarnym komikiem Richardem Pryorem, Brooks rzucił Hollywood w twarz jego własnym rasizmem.

28 czerwca Brooks kończy 100 lat, a „Płonące siodła” wciąż są aktualne. To najważniejszy z 11 filmów w dorobku reżysera, scenarzysty i aktora. On sam wcielił się tu zidiociałego gubernatora, którego bardziej interesują kobiece biusty niż polityka.

Czy bez Brooksa umielibyśmy śmiać się z tego, co bolesne?

„Producenci”. Wiosna dla Hitlera

Jako reżyser filmowy zadebiutował satyrą na show-biznes, genialnymi „Producentami”: o księgowym i szemranym producencie, którzy chcą zarobić na oszustwie. Pomysł jest prosty: wyprodukują na Broadwayu musical, który okaże się klapą, a forszę od inwestorów – czyli głównie starszych pań – zgarną do kieszeni.

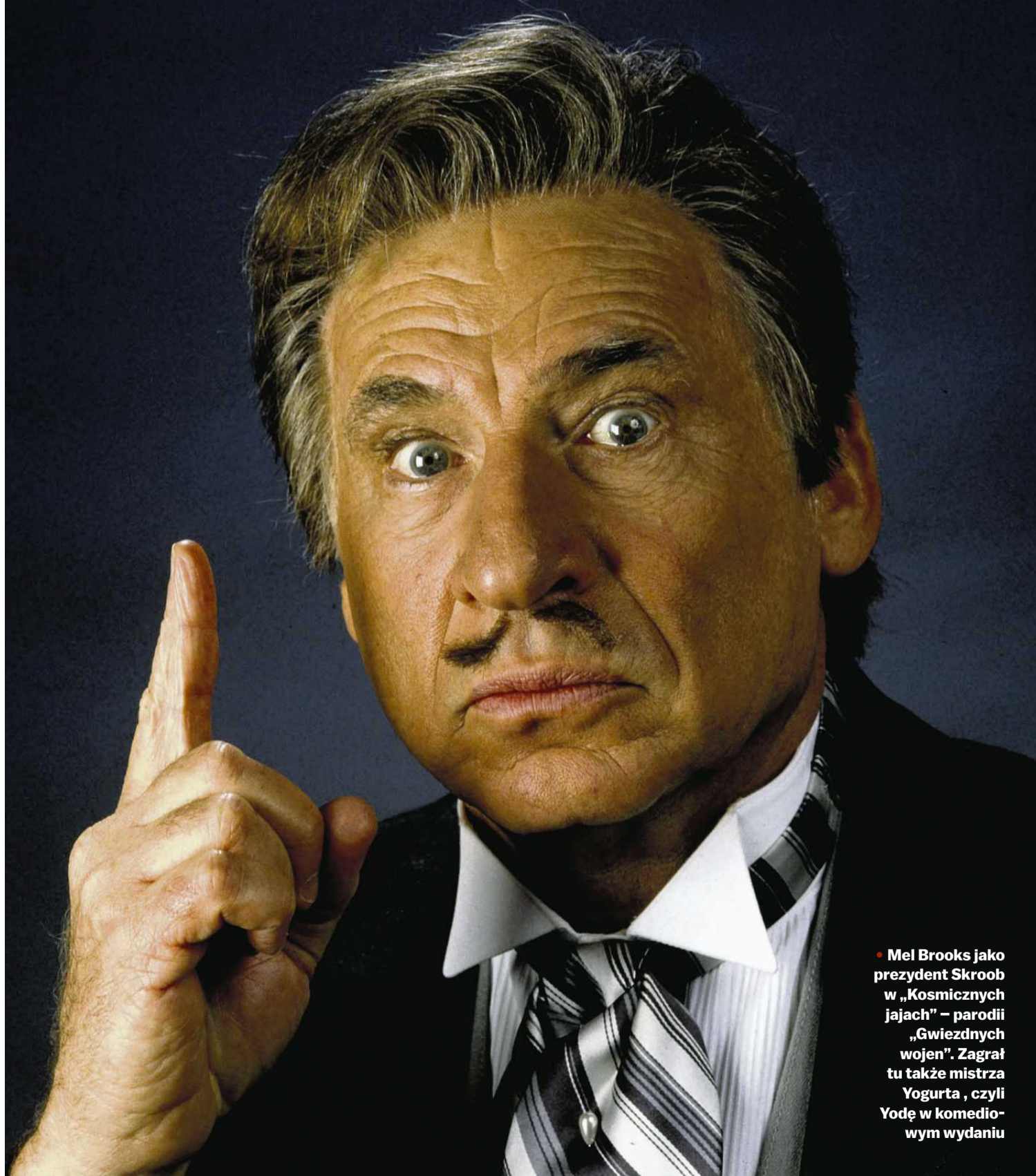
Ale show „Wiosna dla Hitlera” autorstwa niezrównoważonego nazisty wcale klapą nie jest. To wielki sukces, choć Hitler płasza na scenie z lekkością hipisa (zagrał go niezapomniany Dick Shawn).

W 1969 roku Brooks dostał za „Producentów” Oscara za najlepszy scenariusz oryginalny. 23 lata po wojnie otwarcie zrobił z Hitlera i nazistów pośmiewisko.

Brooks, syn Żyda z Gdańska, weteran II wojny światowej, postanowił przywódcę III Rzeszy ośmieszyć. „Czy tańczący Hitlerzy mogą poczekać w kolejce? Na razie przesłuchujemy jedynie śpiewających Hitlerów”.

WSZYSTKIE CHWYTY DOZWOLONE

Ze strachem myślę o planowanej drugiej odsłonie „Kosmicznych jaj”.
Nie tylko dlatego, że powstaje bez 100-letniego Mela Brooksa.
Dziś Hollywood śmieje się tylko z tego, co bezpieczne i poprawne.



• Mel Brooks jako prezydent Skroob w „Kosmicznych jajach” – parodii „Gwiezdných wojen”. Zagrał tu także mistrza Yogurta, czyli Yode w komediowym wydaniu

FOI/ALAMY STOCK PHOTO/BE&W

1 RP

Wielkie wytwórnie wystraszyły się filmu, żadna nie chciała go dystrybuować. Uznały też, że jest w złym guście. Dziś z perspektywy widzów powiedzmy: to jedna z jego największych zalet. Trzeba mieć znakomity gust, by docenić kiepski. Brooks rozumiał to od początku kariery.

„Producenci” spodobał się Peterowi Sellersowi, który widział ich na prywatnym pokazie i za własne pieniądze publikował w magazynie „Variety” apele o szeroką dystrybucję. W końcu w marcu 1968 roku odbyła się premiera.

„Producenci” to manifest stylu Brooksa, było w nim to, co znalazło się w jego późniejszych dziełach: humor intelektualny i fekalny, wyśmiewanie autorytetów, żonglerkę tematami tabu, absurd, przesadę. W usta bohaterów Brooks wkładał proste dowcipy: „Hitler był wspaniałym malarzem! Mógł pomalować całe mieszkanie w jedno popołudnie!”.

No i najważniejsze – parodia. Bezlitosna, czasami przeszarżowana parodia rzeczywistości, sposobów myślenia i kultury. „Jak to się mogło stać? Byłem taki ostrożny. Wybrałem okropną sztukę, okropnego reżysera, okropną obsadę. Co zrobiłem dobrze?”.

„Producenci” zrewolucjonizowali to, z czego wolno się śmiać. „Płonące siodła” zrewolucjonizowały sposób, jak można to robić.

Czy tylko się brandzlujemy?

Jakaż to wspaniała scena: Madeline Kahn (nominacja do Oscara dla najlepszej aktorki drugoplanowej) siedzi okragiem na krześle i parodiuje Marlene Dietrich jako znużoną życiem śpiewaczkę obdarzoną tembrem lokalnego pijaka.

Albo taki finał: tuż po tym, jak pastor krzyczy w niebo: „O panie, czy mamy siłę udźwignąć ogrom tego zadania, czy tylko się brandzlujemy!”, bandyci, wśród których są też naziści i zbrojnicy na wielbłądach, atakują miasteczko czarnego szeryfa. W strzelaniu cierpią filmowe dekoracje, a bijatyka przenosi się do sąsiednich hal filmowych, na plany innych produkcji: musicalu w stylu Gene’a Kelly’ego, dramatu obyczajowego. Jest nawet bitwa na torty.

Ostatecznie bohaterowie oglądają swój własny film w kinie. Przed wejściem do niego czarny szeryf i czarny charakter ścierają się w klasycznym pojedynku rewolwerowców. W 1974 roku to było coś niespotykanego.

Brooks stworzył metakomedię, która nabija się z konwencji opowieści, ram gatunku. Dziś filmowcy robią to często: w „Deadpoolach” czy ostatnio „Barbie”. Wcześniej lekcje z Brooksa odrabiał np. Wes Craven w swojej serii „Krzyk”.

Widzowie przez lata nauczyli się bawić tym, że oglądają film świadomy bycia filmem. Najwierniej w ostatnich 20 latach śladami Mela Brooksa podążał Ben Stiller swoimi „Jajami w tropikach” – satyrą o aktorach z filmu o wojnie w Wietnamie, którzy w czasie realizacji wpadają w dżungli na prawdziwych handlarzy narkotyków.

O jego filmie też się mówi, że dziś nie mógłby już powstać, choć premierę miał w 2008 roku, a więc całkiem niedawno. Stiller skromnie przyznaje, że „Jaja w tropikach” błędą w porównaniu z wiadomym arcydziełem i jego beczelnością. Mówi: – Co się za tym kryje? Jasne, satyra, ale Brooks tak naprawdę obnaża hipokryzję świata i tego, jak ludzie traktują innych ludzi.

Brooks na przestrzeni lat wielokrotnie pytany był o słowo „czarnuch”, którym w „Płonących siodłach” czarne charaktery strzykają przez zęby jak tytoniem. W dokumencie zrealizowanym z okazji swoich 99. urodzin mówi, że uległ namowom Pryora. „Chciał, byśmy pokazali prawdę. Richard powiedział do mnie: »Czasami używamy go słodko między sobą, czasami to słowo brzmi jak paskudna klątwa, która łamie ci serce«”.

Jakim garbem?

W czarno-białym „Młodym Frankensteinie” Brooks zaserwował tradycyjnej komedii kolej-



• Dave Chapelle jako Apsik i Cary Elwes – Robin Hood w „Robin Hood: Faceci w rajtuzach” (1993 r.). Ten pierwszy został później szeryfem – w ten sposób Brooks (tu zagrał Rabina Tuckmana) puścił oko do fabuły „Płonących siodła!”



• Gubernator William J. Le Petomane (Brooks) przystaje na niecny plan prokuratora Hedleya Lamarra (Harvey Korman, z prawej), w którym kluczową rolę odegra Bart (Cleavon Little – na biurku). „Płonące siodła” (1974 r.) – opus magnum Mela Brooksa



• „Producenci” (1969 r.), za których Brooks dostał Oscara za najlepszy scenariusz oryginalny, pokazały, że dla filmowca nie ma i nie będzie żadnych świętości. Na zdjęciu: Gene Wilder, Zero Mostel i Lee Meredith

ny cios. Tym razem pokazał, że można śmiać się z tego, co się kocha, a jednocześnie oddać temu hołd.

Brooks nakręcił film w stylu ekspresjonistycznym, chwilami całkiem na serio. Ta parodia klasycznego kina grozy to do dziś jedna z najlepszych komedii, jakie powstały. Zakochałam się w niej, kiedy wyraźnie garbaty Marty Feldman w roli pomagiera genialnego naukowca Frankensteina („Fronkensteena!”) na propozycję, że „mogą coś zrobić z tym garbem”, z kamienną twarzą odpowiada: „Jakim garbem?”.

Feldman, podobnie jak Gene Wilder czy Madeline Kahn (oboje grają też i tutaj), często wsiadał do prowadzonej przez Mela Brooksa filmowej, podpalanej dynamitem rakiety. Tutaj lśni jeszcze Cloris Leachman jako pani Blücher, ponura zarządczyni zamczyska.

Brooks pokazał, że parodia nie musi zgniatać oryginału, niszczyć go i szargać. Może za to nadać mu nowe znaczenia, a nawet zrozumieć go lepiej niż zapatrzeni w oryginał imitatorzy. Bez „Młodego Frankensteina” nie byłoby parodiujących kino grozy i sensacyjne „Strasznych filmów”, „Wysypu żywych tru-

pów” czy „Hot Fuzz – ostrych psów”. Bez filmów Brooksa z lat 70. nie powstałyby komedie braci Zucker.

W kolejnych latach Brooks zajął się początkami Hollywood w „Niemym kinie”, dziejami ludzkości w „Historii świata. Części I.” oraz dorobkiem Alfreda Hitchcocka w świetnym „Lęku wysokości”.

W latach 80. zrealizował kolejną parodię. Dla mojego pokolenia „Kosmiczne jaja”, komedia wyśmiewająca z czułością „Gwiezdne wojny” i inne hity science fiction, to Brooks kluczowy w rozwoju poczucia humoru.

Szturmowcy Czarnego Helmu (Rick Moranis) przeczesujący pustynię gigantycznymi grzebieniami? Trafiona!

Miniaturowy Obcy stepujący na barowej ladzie? Jestem!

Księżniczka Vespa śpiewająca basem o swojej samotności? Proszę o więcej.

Z przestachem myślę o planowanej w Hollywood drugiej odsłonie „Kosmicznych jaj”. Nie tylko dlatego że powstaje bez 100-letniego Mela Brooksa na stołku reżyserskim.

W ostatnich latach Hollywood śmieje się tylko z tego, co bezpieczne i poprawne. Nie ma tam twórcy, który mógłby przejąć po Brooksie celne wytykanie błędów naszego myślenia. Ci, którzy robili to świetnie, jak Ben Stiller czy Will Ferrell, muszą się tłumaczyć z własnych żartów.

Na humor taki jak w „Płonących siodłach” nie ma w kinie miejsca. Sam Brooks uległ nieco presji bezpiecznego śmiechu. Jego dwa ostatnie filmy – „Robin Hood: Faceci w rajtuzach” i „Dracula – wampiry bez zębów” – były mniej niepokorne, bardziej skupione na szydzeniu z fabuł niż z paradoksów rzeczywistości.

Wszystkie chwyt dozwolone

Do dziś toczy się dyskusja, czy Brooks w ogóle powinien „Płonące siodła” robić.

W ubiegłym roku na łamach „Guardiana” filmu przed oskarżeniami o rasizm bronił brytyjski czarny komik Stephen K. Amos. W swoim esejku zaznacza, że film Brooksa zredefiniował dla niego pojęcie satyry. „Powstała, gdy Ameryka była w kryzysie. Przeszła właśnie wojnę w Wietnamie, a przez nią przeszedł ruch obrony praw obywatelskich. Stany Zjednoczone były głęboko podzielone i w kryzysie tożsamościowym. Tak jak są teraz. W ramach sprzeciwu przeciwko podziałom i dla bezczki śmiechu Brooks postanowił zrealizować komediowy western, połączyć dwa gatunki, które aż do tamtej chwili nigdy nie szły w parze”.

Amos przypomina również, że western był gatunkiem białych. Wczesne filmy o Dzikim Zachodzie miały też wydźwięk propagandowy. „Płonące siodła” wyrwały dywan spod stóp kowbojów. Brooks skierował kamerę na rasistów, bigotów, seksistów. Rasizm w jego filmie jest obecny jako przeciwnik, a rasistowskie kwestie są wypowiedane, by pokazać ich śmieszność.

Ale HBO Max przestraszyło się tego w 2020 roku. „Płonące siodła” serwis opatrzył komentarzem kontekstualnym, jakby film Brooksa był „Przeminęło z wiatrem”, a nie szarżą na wszystkie grzechy współczesnego świata.

Brooks w swoich filmach śmiał się ze wszystkich. Kiedy pisał scenariusz, żadna grupa etniczna nie była bezpieczna, Żydzi też. Żadna mniejszość nie była zbyt święta.

Sam twierdzi, że pisanie komedii stało się w ostatnich latach trudniejsze. – Bo staliśmy się głupio poprawni politycznie – powiedział BBC. – To śmierć dla komedii. Dobrze jest nie ranić uczuć różnych grup, ale komedia na tym cierpi. Powinna balansować na cienkiej linii, ryzykować. Komedia jest lubieżnym elfem szepczącym do ucha króla, zawsze mówi prawdę o ludzkiej kondycji. Nigdy nie tknąłbym komór gazowych, śmierci żydowskich dzieci z rąk nazistów. Ale wszystkie inne chwyt są dozwolone. Nadzy ludzie? Bardzo proszę. Lubię nagich ludzi. Zwykle są najbardziej uprzejmi. ●

• **Procesja Rycerstwa Chrystusa Króla (zwolenników objętego suspensą ks. Piotra Natanka) na Krakowskim Przedmieściu w W-wie (26.06.2025)**

NASZA NOWA *apokalipsa*



Do czego prowadzi chciwość, pycha i infantylnizm? Do moralnej degeneracji, do kultu sprytu, siły i narodowej krzepy. Do faszycacji życia publicznego

Jacek Dobrowolski*

„Powieść to zwierciadło przechadzające się po gościńcu”
Stendhal, „Czerwone i czarne”

Groteska jako gatunek zderza ze sobą wszelkie sprzeczności i nie cofa się przed niczym. Tu śmieszność spotyka się z grozą, patos z banałem, piękno z brzydotą, to co ludzkie z tym co zwierzęce, demoniczne lub anielskie. Karykatura i absurd sytuacyjny są jej podstawowymi chwytami. Literaturoznawca Jurij Mann w swojej książce „O groteskie w literaturze” pisze, że groteska „wyraża świat, który wyszedł z zawiasów”, który się wykołoił”.

Pierwsza całkowicie groteskowa powieść w historii to „Gargantua i Pantagruel” Rabelais’a. Od czasu oświecenia powstało wiele literackich arcydzieł groteski w prozie i dramacie: „Podróż Guliwera” Swifta, „Kandyd” Woltera, „Tristram Shandy” Laurence’a Sterne’a, utwory E.T.A. Hoffmanna, „Doktor Jekyll i Mr Hyde” Stevenson’a, „Mistrz i Małgorzata” Bulgakowa, „Proces”, „Kolonja karna” i „Przemiana” Kafki, utwory Witkacego, „Ferdydurke” Gombrowicza, „Sklepy cynamono-

we” Schulza, „Folwark zwierzęcy” Orwella i „Rzeźnia numer pięć” Vonneguta.

Swift naszych czasów

„Józef, czyli...”, ostatnia powieść Michała Komara, jest znakomitym i wybitnym przykładem specjalnego gatunku groteski – realistycznej groteski apokaliptycznej, ukazującej świat dystopijny, całkowicie wykołojony, dekadentki i samounicestwiający się. Jest ona również ostrzegającym thrillerem politycznym, cierpką powiastką filozoficzną i powieścią psychologiczną z kłuczem, ukazującą oplakany stan umysłów naszego społeczeństwa, przede wszystkim elit. Michał Komar jako wizjoner jest współczesnym Swiftem (por. wspaniałą „Bestiariusz codzienny”) i Orwellem w jednym.

Książka pisana jest przez wirtuoza kpiarskiego, prześmiewczego stylu i skrzy się od sardonicznych uwag i dowcipów. Tylko od czasu do czasu zabrzmi nuta empatii, co czyni narrację odrobinę mniej pesymistyczną, autor bowiem raczej nie ma złudzeń co do natury ludzkiej.

Blisko Konwickiego

Groteska apokaliptyczna w literaturze polskiej przejawiała się najmocniej w twórczości Tadeusza Micińskiego, Witkacego, Brunona Schulza, Witolda Gombrowicza, Sławomira Mrożka, Tadeusza Konwickiego i Jerzego Pilcha. Ostatniej powieści Komara najbliższe do utworów Konwickiego „Kompleks polski” i „Mała apokalipsa”, jak i do dwóch wybitnych dzieł opisujących postępującą faszycację w Europie – genialnego „Bankietu w Blitwie” Mirosława Krleży (niewznawianego przez Czytelnika od 1987 r., co jest absolutnym skandalem) i znakomitego, prorocznego „Blasku” Eustachego Rylskiego, o faszystach demagogach manipulujących „mo-

tochem” we współczesnej Polsce, niestety, niezauważonego przez krytykę.

Podobieństwa „Józefa” z obiema powieściami Konwickiego są liczne.

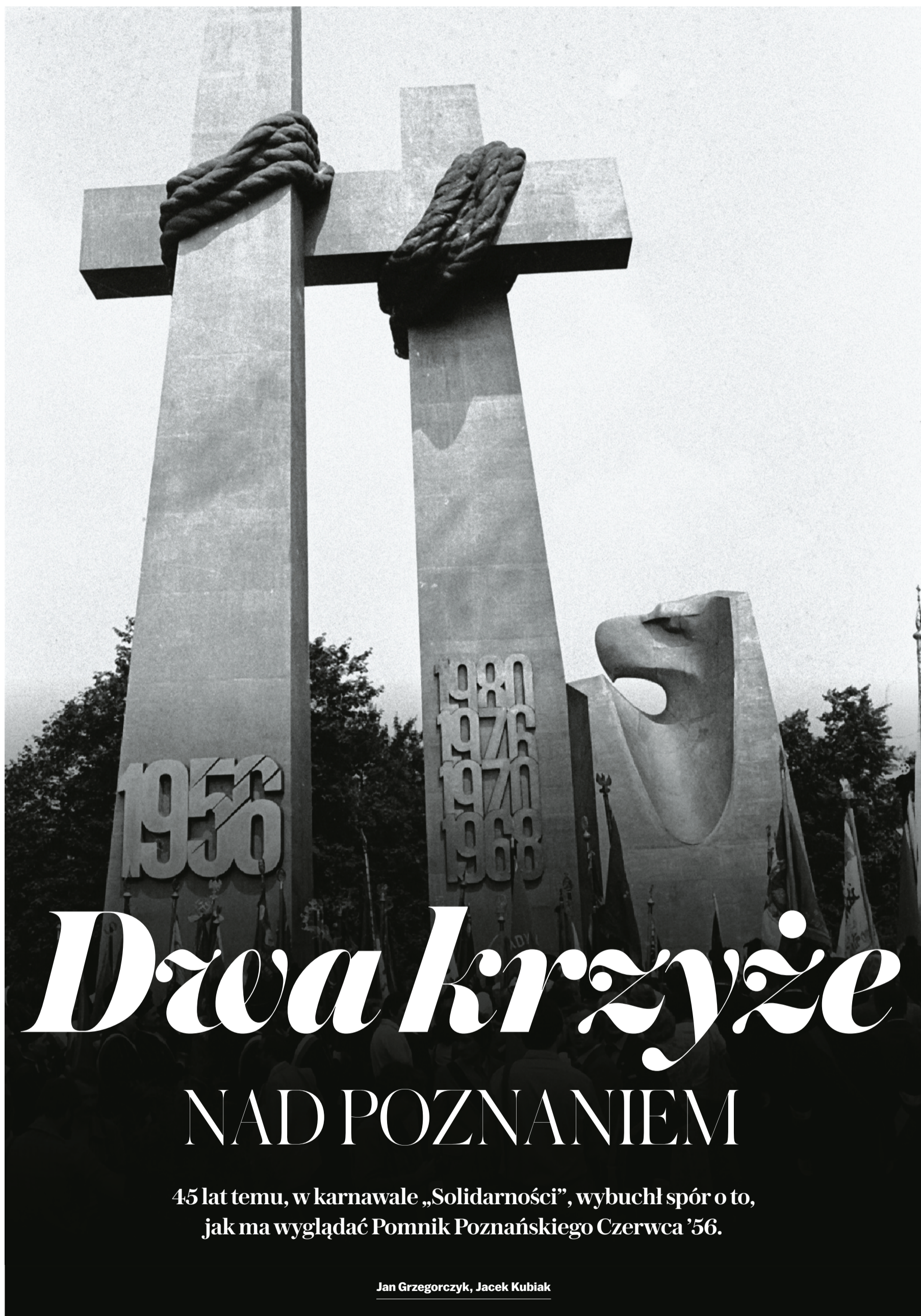
Po pierwsze, narratorem w nich jest podobny alter ego pisarza – tu i tam antybohater ironista, koneser polskiej samsary, wyczulony na wszelkie absurdy, raz PRL-u, raz III Rzeczypospolitej.

Po drugie, drażniony jest ten sam temat – nasze społeczeństwo obfitujące w ludzi zakompleksionych, chorych na chciwość i zawiść, spragnionych awansu i sławy, począwszy od przedstawicieli elit władzy, przez elity artystyczne, po biznesmenów hochsztaplerów.

Po trzecie, mamy ten sam kontekst, czyli wędrówkę przez labirynty ulic Warszawy przepojone jej historycznym genius loci.

Po czwarte, akcje tych trzech powieści apokaliptycznych toczą się w oparach popularnego znieczulacza rzeczywistości, czyli wódki, której intensywne zażywanie sprzyja autodestrukcji. Jak wiadomo, Polski, Rosji, Finlandii i Szwecji bez wódki się nie zrozumie, choć Komar wprowadza en passant współczesne, jak je nazywam, euforyzanty: marihuanę, haszysz i grzybki psilocyby.

Ta książka pokazuje licznych u nas ludzi chorych na zawiść, spragnionych awansu i sławy. Począwszy od elit władzy, przez elity artystyczne, po biznesmenów hochsztaplerów



Dwa krzyże

NAD POZNANIEM

45 lat temu, w karnawale „Solidarności”, wybuchł spór o to,
jak ma wyglądać Pomnik Poznańskiego Czerwca '56.

Jan Grzegorzcyk, Jacek Kubiak

28 czerwca 1981 roku, Plac Mickiewicza w centrum Poznania. Sam plac i wszystkie dochodzące doń ulice pełne ludzi. Prawie dwieście tysięcy widzów. Poznaniacy i delegacje zakładów pracy z całej Polski. Święto! Leonard Szymański, lider „Solidarności” z Wiepofamy, fabryki obrabiarek, jest szefem służb porządkowych, prosi zgromadzonych, by pochowali transparenty. Te o Katyniu i o mordercach z UB. Nie chce, żeby powstał jakikolwiek pretekst do ingerencji władz w przebieg zgromadzenia. Transparenty znikają. Nieprzeliczony, ale zdyscyplinowany tłum.

Najpierw długa, solenna msza. Potem przemówienia: Lech Wałęsa, Anna Strzałkowska, matka trzydziestoletniego Romka, najmłodszej ofiary, i Stanisław Matyja, przywódca cegielszczaków w 1956 roku. Pomnik, ogromny na ponad 20 metrów, dwa krzyże zasłonięte olbrzymią białą-czerwoną flagą. W momencie jego odsłonięcia ona nie opada, tylko się rozdziela na część białą i czerwoną, i powoli unosi. Ogromne krzyże zostają jakby „uskrzydłone” albo jakby wprawione w ruch żaglem. Frenetyczne oklaski. „Czułam dreszcze”, „Miałem lzy w oczach” – tak jeszcze dzisiaj wspominają ten moment świadkowie wydarzenia. Ta plastyczna aranżacja była pomysłem Wojciecha Müllera z poznańskiej Szkoły Sztuk Pięknych, muzykę skomponowała Lidia Zielińska, a całość reżyserował Lech Raczak, lider Teatru Ósmego Dnia, sceny alternatywnej, jednoznacznie opozycyjnej, zarówno w artystycznym wyrazie spektakli, jak i w postawie życiowej aktorów, współpracujących przed sierpniem z Komitetem Obrony Robotników.

Sojusznikiem teatru z „Solidarnością” był czymś oczywistym. Gdy władze na wiosnę 1981 nie chciały dać artystom paszportów, by mogli pojechać na zagraniczny festiwal, wystarczył telefon z Zarządu Regionu Solidarności. „Jak nie dostaną paszportów, stawiamy w Cegielskim strajk ostrzegawczy”.

Absolutnym hitem teatru był – mimo i wbrew cenzuralnym ograniczeniom – spektakl „Przecena dla wszystkich” grany ponad sto razy, a w nim skandowana scena, swego rodzaju synteza PRL-u:

*Margaryna jest lepsza niż masło
Sztuczne kwiaty nie więdną
Tombak błyszczący bardziej niż złoto.*

Aktorzy, wśród nich Tadeusz Janiszewski, Marcin Kęszczycki, Ewa Wójciak, podawali pod odsłoniętym właśnie pomnikiem teksty poetyckie.

*Idź wyprostowany wśród tych, co na kolanach,
wśród odwróconych plecami i obalonych w proch
– z „Przesłania pana Cogito” Zbigniewa Herberta.
paliliśmy papierosy i klamliwe gazety,
papierosy, choć zatruwały nasze ciała,
gazety, bo zatruwały nasze umysły
– fragment „I naprawdę nie wiedzieliśmy” Ryszarda Krynckiego.*

Uroczystość była transmitowana przez lokalne radio i telewizję. W Warszawie publikowano tylko krótkie relacje.

A postawienie i odsłonięcie pomnika było wynikiem kilkumiesięcznego wysiłku wieluset osób wspieranych przez tysiące. Już pierwsze zgromadzenie wielkopolskiej „Solidarności”, w październiku 1980, w którym wzięli udział przedstawiciele 270 zakładów pracy, wysunęło stanowcze żądanie: musi stać pomnik ku czci Czerwca 1956 roku. Po 25 latach milczenia o krwawo stłumionym buncie robotniczym ludzie chcą o tym głośno wreszcie mówić.

CZERWIEC '56. KONIEC TABU

Protest poznańskich robotników był punktem zwrotnym powojennych dziejów Polski. Był szokiem. Otworzył drogę do październikowej odwilży. Dzięki „Solidarności” Czerwiec 1956 przestał być tematem tabu.

Zofia Trojanowiczowa i Jarosław Maciejewski, uniwersyteccy historycy literatury, piszą i wydają w kilka miesięcy książkę o Czerwcu. „Prawdziwi” historycy nie podjęli tego wyzwania, uważali to za niemożliwe w tak krótkim terminie. W poznańskim ośrodku RTV powstał film dokumentalny Tadeusza Litowczyńskiego i Mirosława Kwiecińskiego „Poznań 1956”, pierwszy zapis relacji świadków i uczestników. Mówi między innymi przywódca strajku w Zakładach Cegielskiego (wówczas Zakłady im. Józefa Stalina) Stanisław Matyja, torturowany w areszcie. Pisarz Egon Naganowski opowiada o tym, jak został postrzelony ubecką kulą. Aleksandra Banasiak, pielęgniarka, opowiada o pomocy, jaką niosła rannym.

Piotr Frydryszek, wówczas zastępca redaktora naczelnego rozgłośni, relacjonuje, że w archiwum Polskiego Radia w Poznaniu zachowane zostały taśmy magnetofonowe, opisane jako „muzyka ludowa”. Były to kopie nagrań z września i października 1956, zapis przebiegu procesów sądowych wytoczonych uczestnikom protestów z Czerwca '56. Te kopie zrobił wówczas cichcem i opatrzył myłąm tytułem pracownik radia, by uchronić taśmy przed ewentualną konfiskatą i zniszczeniem. Izabela Cywińska w Teatrze Nowym wykorzystuje ten materiał, by zbudować spektakl „Oskarżony: Czerwiec pięćdziesiąt sześć”, rodzaj teatru faktu. Premiera odbyła się w czerwcu 1981 roku.

Budzi się zbiorowa pamięć. Ludzie zaczynają opowiadać. Biuletyny komisji zakładowych „Solidarności” przynoszą szczegóły o przebiegu Czerwca przed 25 laty, w zakładowej wspólnocie.

I jeszcze jedna równie ważna przyczyna: Brandstaetter, choć w warunkach PRL-owskiej cenzury był pisarzem katolickiej niszy, miał naprawdę budzące respekt sukcesy w Europie i na świecie, zwłaszcza jako dramaturg. Jest autorem powieści „Jezus z Nazaretu”. Czterotomowe dzieło wiernie trzyma się przekazu Nowego Testamentu, jednocześnie uzupełniając obraz realiami Palestyny i kultury żydowskiej. Można powiedzieć, że Brandstaetter dał Jezusowi w polskiej kulturze semickie rysy.

Pisarza irytowały wszelkie folklorystyczne polonizacje Jezusa i Marii. Równie jak Sienkiewiczowska scena, w której św. Piotr spotyka zmartwychwstałego Jezusa i mówi „Quo vadis, Domine?” – po łacinie, zamiast odezwać się po hebrajsku lub aramejsku. Brandstaetter był żarliwym chrześcijańskim Żydem.

Robotnicy chcieli monumentalnego pomnika, który dominowałby nad miastem. Szef regionalnej „Solidarności” mówił: pomnik płaski, który mogą zasypać śnieg czy liście, „coś takiego mogłaby wymyśleć Służba Bezpieczeństwa”

Tylko jeden przykład: Krystyna Mikołajewska, wówczas rzeczniczka prasowa „Solidarności” w Zakładach Naprawczych Taboru Kolejowego, rozmawia z uczestnikami wydarzeń i rodzinami ofiar z jej zakładu pracy i zapisuje rozmowę w zakładowym biuletynie. Dowiadujemy się, że w nocy 29 czerwca do pani Heleny Helwich, żony Czesława Klosa, przyjeżdża trzech ubeków. Informują, że mąż nie żyje. „Pamiętam tylko straszny ból, żal i płacz dzieci, którym kula zdradziecka zabrała ojca. Mąż mój był dobrym, cichym człowiekiem, umarł, mając 46 lat”. Resztę dopowiada Stanisława Klos, bratowa pani Heleny: „Pojechaliśmy do medycyny sądowej na ul. Święcickiego. Tam czekałyśmy od dziewiętej do dwunastej, cały czas nie wolno nam było opuszczać samochodu. Prosiłiśmy, aby nam pozwolono zobaczyć Czesława... Widziałam miejsce, gdzie weszła kula. Było to na szyi, a strzał padł z góry, więc przeszedł do jamy brzusznej i tam wszystko porozrywał, tak że nie było mowy o uratowaniu go od śmierci”.

AUTORYTET SPOZA UKŁADÓW

W październiku 1980 roku zawiązał się komitet budowy pomnika.

„Tu właśnie, na tej uświęconej cierpieniem i krwią ziemi, w środku tego miasta chcemy wznieść pomnik, bierzmowany symbolami naszej tożsamości narodowej: Krzyżem i Orłem, poświęcony pamięci i chwale tych wszystkich, którzy ofiarowali siebie w walce o ich i naszą godność. Ma to być pomnik prosty, szlachetny w kształcie jak szlachetne były cele tych, których czcimy”.

Odezwa Społecznego Komitetu Budowy Poznańskiego Czerwca, 11 listopada 1980 roku.

Przewodniczącym Społecznego Komitetu Budowy Pomnika Czerwca 1956 został pisarz, Roman Brandstaetter. Marek Lenartowski, wówczas przewodniczący „Solidarności” w Cegielskim, wspomina, że zaletą Brandstaettera było to, że był „spoza układów”. Autorytet moralny i artystyczny. Siła Brandstaettera płynęła stąd, iż nikt nie miał wątpliwości, że ten religijny pisarz na pewno nie ma żadnego związku z PZPR. Był związany bardzo blisko z poznańskimi dominikanami, a oni mieli z kolei autorytet wśród opozycyjnych środowisk wszelkich odcieni, jak i po prostu w szerokich kręgach społecznych. To u poznańskich dominikanów odbywały się msze w patriotycznych intencjach, jak np. tłumne nabożeństwo ku czci ofiar Katynia w kwietniu 1980 roku. Co więcej: Roman Brandstaetter podpisał w sierpniu 1980 roku poznański list poparcia dla strajkujących stoczniowców. List dotarł do Gdańska 26 sierpnia, został bezzwłocznie opublikowany w strajkowej gazecie.

I pod jego właśnie kierownictwem pracuje Społeczny Komitet Budowy Pomnika. Czasu jest niewiele, jeśli pomnik ma stać 28 czerwca 1981 roku, w 25. rocznicę wydarzeń, a to właśnie jest powszechnym życzeniem.

PŁASKIEGO POMNIKA NIE CHCEMY

W konkursie komisja artystyczna najwyższej oceniła projekt Krystiana i Anny Jarnuszkiewiczów w kształcie wielkiej, pękniętej płyty, „żalnika”, całkowicie horyzontalny, opatrzony kryptonimem „Kierunek”.

Roman Brandstaetter nie był przekonany do werdyktu komisji. Gdy wystawiono wszystkie projekty w Biurze Wystaw Artystycznych (luty 1981), obszedł spokojnie całą wystawę. Tego samego dnia ekspozycję obejrzał też ojciec Honoriusz Kowalczyk OP, popularny w Poznaniu duszpasterz, przyjaciel pisarza. Razem postanowili: najlepszy będzie projekt z kryptonimem „Jedność” autorstwa Adama Graczyka. Wielkie dwa krzyże i sylwetka orla. Brandstaetter przekonał Społeczny Komitet do tego projektu. Tym łatwiej że aktyw robotniczy chciał pomnika, który byłby czytelnym znakiem. Zdzisław Rozwałak z Fabryki Maszyn Żniwnych, szef Zarządu Regionu „Solidarności”, mówił wprost: taki pomnik, płaski, który mogą zasypać śnieg czy liście, „coś takiego mogłaby wymyśleć Służba Bezpieczeństwa”. Choć artysta plastyk Wojciech Wołyński, wtedy pracownik Zarządu Regionu, dziś jeszcze z uznaniem mówi o projekcie Jarnuszkiewiczów: „Gdyby był zrealizowany, trafiłby do wydawnictw o sztuce na całym świecie”.

Robotnicy chcieli monumentalnego pomnika, który dominowałby nad miastem. Rozgorzał spór, bo środowiska artystyczne broniły poetyckiej wizji nagrodzonego projektu i żądały respektowania werdyktu jurorów. Około stu osób podpisało oficjalny protest wzywający do respektowania werdyktu komisji konkursowej powołanej z udziałem Związku Polskich Artystów Plastyków i Stowarzyszenia Architektów Polskich. Protest podpisali również artyści Teatru Ósmego Dnia, którzy brali potem udział w uroczystości odsłonięcia.

W mediację włączyło się m.in. Porozumienie Stowarzyszeń Twórczych. Po burzliwym posiedzeniu Społecznego Komitetu tuż przed północą Brandstaetter obwieścił: „Proszę, taki będzie nasz pomnik. Dwa krzyże spięte jednym ramieniem, więzy na nim... Orzeł u boku krzyży... Ja wiedziałem, że gdy dzisiaj nie podejmiemy decyzji, pomnika Czerwca '56 nie będzie”.

MICKIEWICZ BYŁBY DUMNY

Osobnym polem kontrowersji stała się lokalizacja pomnika. Ostatecznie stanął na Placu

◀ **Plac Mickiewicza w Poznaniu, 28 czerwca 1981 roku. Uroczystość odsłonięcia Pomnika Poznańskiego Czerwca '56 zorganizowana w 25. rocznicę buntu robotników**

FOT. PAP/CAF/ZBIGNIEW STASZYSZYN

⊙ Adama Mickiewicza, który w 1956 roku nosił nazwę Stalina. I w tym miejscu zgromadzili się rano 28 czerwca 1956 roku demonstranci. Po jednej stronie monumentalny Zamek Cesarski, wzniesiony przez Wilhelma II w 1910 roku, a kilkadziesiąt metrów dalej – nowo wzniesiony budynek, siedziba komitetu wojewódzkiego PZPR.

Warto dodać, że do roku 1919 stał w tym miejscu pomnik kanclerza Bismarcka. A w 1932 postawiono tu – jako wotum wdzięczności za niepodległość – Pomnik Najświętszego Serca Pana Jezusa zburzony przez Niemców w roku 1939. A z kolei w 1960 roku stanął tutaj pomnik Adama Mickiewicza. To tutaj wreszcie – w apogeum antykościelnej kampanii wywołanej przez „Orędzie biskupów polskich do biskupów niemieckich” ze słynną frazą: „Przebaczymy i prosimy o przebaczenie...” – Władysław Gomułka w 1966 roku gromił wobec tłumu Poznaniaków kardynała Wyszyńskiego: Ten „nieodpowiedzialny pasterz pasterzy (...) stawia swoje urojone pretensje do duchowego zwierzchnictwa nad narodem polskim wyżej niż niepodległość Polski. Jakież to musi być zaślepienie”. I w końcu w marcu 1968 roku to tutaj właśnie gromadzili się studenci, by protestować przeciwko zdjęciu przez cenzurę „Dziadów” w reżyserii Kazimierza Dejmka. Można powiedzieć: plac pełen znaczeń.

Lokalizacja pomnika w tym właśnie miejscu budziła kontrowersje. Zgłaszano obawy, że nowy monument klócić się będzie w przestrzeni z pomnikiem Mickiewicza, że go przytłoczy czy w pewnym sensie unieważni. Można dziś przyjąć, że krytycyzm wobec lokalizacji podsycała Służba Bezpieczeństwa. W każdym razie pojawiła się ulotka grożąca wysadzeniem pomnika w powietrze podpisana „Filomaci”. Ale stanowisko poznańskich robotników było jednoznaczne. „My, byli uczestnicy tych wydarzeń – mówił Czesław Dyrda z Fabryki Maszyn Żniwnych – chcemy, aby pomnik stanął tam, gdzie to się działo, gdzie myśmy wszyscy się zbierali”.

I tu znowu Roman Brandstaetter uciął kontrowersje. Adam Mickiewicz w 1848 roku – mówił autor „Jezusa z Nazaretu” – miał audiencję u Piusa IX. Była to – dodajmy – bardzo burzliwa audyencja, wieszczę chciał papieża pozyskać dla idei europejskiej rewolucji. W kulminacyjnym momencie Mickiewicz wykrzyknął: „Wiedz, że duch boży jest dzisiaj w bluzach paryskiego ludu!”. Brandstaetter dopowiadał: „Mickiewicz byłby dumny z tego, że jego pomnik stoi obok pomnika robotników poznańskich”.

OBALENIE DZIERŻYŃSKIEGO

Koniec końców wybór projektu i lokalizacja zostały postanowione. Do planowanej daty odsłonięcia pomnika zostało czterdzieści kilka dni. Już trwają zbiórki publiczne na pokrycie kosztów budowy. Pomnik ma wielką skalę. Krzyże mają mieć wysokość ponad 20 metrów. Do tego kilkumetrowy orzeł. Wszystko w blasze i odlewach. Praca podzielona między poznańskimi fabrykami. Oczywiście Zakłady Hipolita Cegielskiego, ale także ZNTK, Pomet i fabryka maszyn żniwnych. Robotnicy pracują w często nieodpłatnych nadgodzinach. Wiceprezydent Miasta Andrzej Wituski zapewnia dostawy żywności dla pracujących robotników (to czas powszechnej reglamentacji najprostszych produktów żywnościowych, sprzedaż na kartki). Prace trwały nieustannie, również w wolne soboty i niedziele. W sumie przy budowie pomnika pracowało około sześciuset osób. Jak pisano w odezwie związkowej „Solidarności HCP”, byli to „ludzie młodzi i starsi, ci co brali udział w poznańskim protestie czerwcowym 1956 r. oraz ci, których może nie było jeszcze na świecie. Bez względu na przekonania i przynależność, stanowiska i staż pracy”.

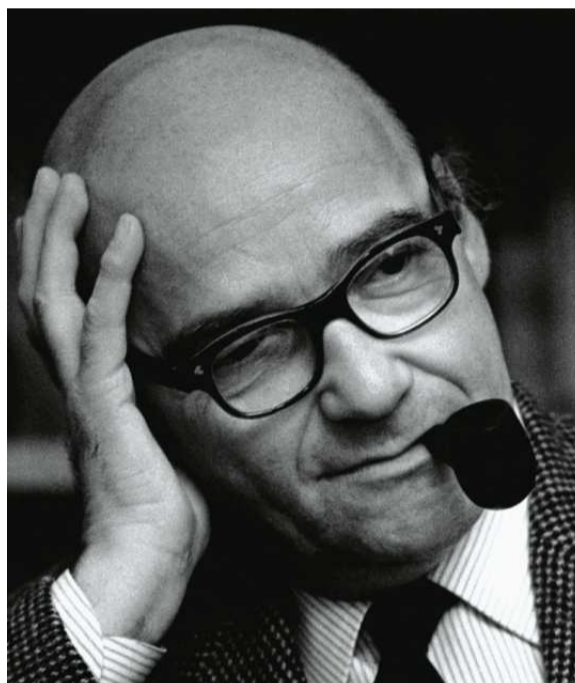
Pomnik jest najważniejszy, ale przygotowujemy są też tablice pamiątkowe przed zakładami, które miały udział w strajku i demonstracjach, jak ZNTK i HCP. Przed Cegielskim odbyła się masowa uroczystość, przyszło kilkadziesiąt tysięcy ludzi. Odczytano „Przysięgę”, jej tekst napisał Brandstaetter. Usłyszeć było można takie słowa:

„Przysięgamy, Panie, że zawsze bronąć będziemy prawdy i prawa, wolności sumienia i słowa, które są dobrem niepodzielnym i podwalinami naszego narodowego istnienia. Tak nam dopomóż, Chryste Panie Boże!”.

Tekst podawał Zbigniew Grochał, aktor Teatru Nowego Izabelli Cywińskiej. „Kiedy przeczytałem trzy strofy – wspomina – pojawił się Lech Wałęsa witany owacyjnie. Musiałem oczywiście przerwać... Gdy skoń-

• **Transport na Plac Mickiewicza części jednego z dwóch krzyży – głównych elementów pomnika. Monument wykonało kilka poznańskich fabryk, w tym oczywiście Zakłady Hipolita Cegielskiego, gdzie w 1956 rozpoczął się bunt robotników**

FOT. ZBIGNIEW TRYBEK / FORUM



• **Roman Brandstaetter (1906-1987), pisarz katolicki, przewodniczący Społecznego Komitetu Budowy Pomnika Czerwca 1956**

FOT. ANDRZEJ SZYPOWSKI/EAST NEWS

czyłem, Iza Cywińska przytuliła mnie do serca. To była chyba najważniejsza rola w moim życiu”.

Zapowiedzią kulminacji obchodów było kilka dni wcześniej, 19 czerwca, przewiezienie przez miasto na ogromnych platformach elementów konstrukcyjnych pomnika. Ogromne słupy, które były głównym elementem krzyża, okryte biało-czerwonym sztandarem. Platformy pokonywały tę samą trasę, jaką w 1956 roku przeszli robotnicy Cegielskiego – ulicą Feliksa Dzierżyńskiego, założyciela bolszewickiej Czeki. Bogdan Klepas, jeden z liderów „Solidarności” w Cegielskim, wspomina: ludzie towarzyszyli platformom, modlili się, śpiewali. Ale najważniejszy dla niego moment nastąpił wtedy, gdy pracownik magistracki wszedł na drabinę i na oczach tłumu zrzucił tabliczkę z nazwiskiem „Dzierżyński” i zaczął mocować tabliczkę z napisem „28 czerwca”. Taką nazwę ulica ma do dziś.

Poznaniacy przychodzili na Plac Mickiewicza, przyglądali się przygotowaniom. Agnieszka Grabowska, wówczas szesnastoletnia uczennica szkoły średniej, wspomina, że jej klasa wracała właśnie ze szkolnej wycieczki i podjechała na Plac Mickiewicza, przyjrzeć się montażowi pomnika. A potem na odsłonięcie licealistka przyszła z całą rodziną. Emocje w zenicie. Wspomina dzisiaj: „To była bezkrwawa rewolucja, której nie zatrzymał terror stanu wojennego”.

Sam Brandstaetter był chyba rozgoryczony sporami wokół pomnika. W liście do przyjaciela Włodzimierza Wnuka pisał: „W samym Poznaniu mamy trochę znajomych, z literatami tutejszymi nie mam żadnych kontaktów. Miasto nudne, bardzo, bardzo nieciekawe i bardzo brzydkie jak wiesz”.

KRZYŻE OBOK ADAMA

Po 13 grudnia 1981 roku pod pomnikiem odbywały się regularne demonstracje. Stał się symbolem oporu

wobec systemu komunistycznego. Dlatego właśnie nie pozwolono w 1983 roku Janowi Pawłowi II stanąć na Placu Mickiewicza. Mógł w tym miejscu spotkać się z Poznaniakami dopiero w 1997 roku.

Stanisław Matyja, przywódca z 1956 roku, ma swoją ulicę w Poznaniu. Choć swego czasu część radnych oprotowała tę nazwę, gdyż jego rodzina podpisała podczas wojny volkslistę. Swoją ulicę ma też Roman Brandstaetter. A Czerwiec '56 – swoje Muzeum. Teatr Ósmego Dnia w czasie „Solidarności” zaczął grać w zakładach pracy, a po stanie wojennym w kościołach. Po jakimś czasie – pozbawieni możliwości pracy – wyjechali na emigrację. Wrócili w roku 1990.

W 2012 roku zawiązał się Społeczny Komitet Odbudowy Pomnika Wdzięczności, tego zniszczonego przez Niemców w 1939 roku. Zaczęły się boje, żeby wrócił na swoje miejsce. Nie zgadzały się władze miasta, proponując inną lokalizację, a i arcybiskup Stanisław Gądecki stwierdził, że byłaby to już „gracjarnia”. Mamy więc w Poznaniu nadal Krzyże obok Adama.

Pomnik Czerwca wrósł w pejzaż miasta. I nabiera być może nowych znaczeń. Reiner Kunze, wybitny wschodnioniemiecki poeta, przyjechał do Poznania w 40. rocznicę wydarzeń. Dla niego historia Czerwca 1956 zapewne kojarzyła się z czerwcem 1953, gdy robotnicy we wschodnim Berlinie wystąpili przeciwko komunistycznemu reżimowi. I pewnie dlatego poeta tak opisał poznański pomnik:

POMNIK W POZNANIU
1956/68/70/76/80/81
Dwa krzyże
połączone liną,
zaczumowane na niebie:
Poznań i Gdańsk
Ale mnie się zdawało,
że robią ten znak krzyża wspólnie
Polska i Niemcy,
a polski orzeł
skrzydłem
daje osłonę
(1996, tłum. Jakub Ekier)

* Jacek Kubiak, autor kilkunastu filmów i reportaży telewizyjnych, głównie o tematyce historycznej. Prowadzi – w ramach Wydawnictwa Miejskiego Poznania – Poznańskie Archiwum Historii Mówionej. Wykładowca Wydziału Nauk Politycznych i Dziennikarstwa Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza.

* Jan Grzegorzyczyk, pisarz, dziennikarz, w latach 1982-2011 redaktor miesięcznika „W Drodze”. Wydał m.in. pięćtomną „Przypadki księdza Grosera”, opowiadania „Niebo dla akrobaty”, powieści „Chaszcze” i „Puszczycy” oraz rozmowę z Janem Górką OP „Święty i błazen”. W tym roku ukaże się jego najnowsza książka „Ukryty. Przypadki Romana Brandstaettera”.

Autorzy we współpracy z Biblioteką Raczyńskich, Oddziałem IPN w Poznaniu oraz Wydawnictwem Miejskim Poznania przygotowują film o Pomniku Czerwca 1956. ●

Antypolityka historyczna

Na równi z Polakami...

Książę Adam Czartoryski pisał: „Jestem przede wszystkim Polakiem, ale także Rusinem i Ukraińcem”.

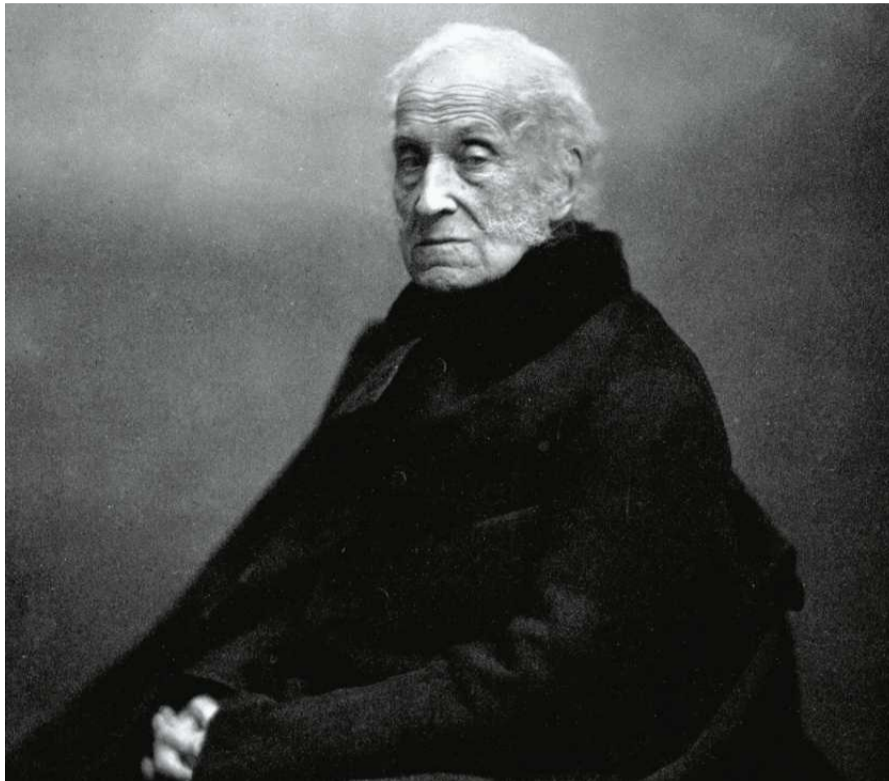
Janowski



3 maja 1855, na posiedzeniu Towarzystwa Historyczno-Literackiego w Paryżu, przemawiał, jak co roku w rocznicę Konstytucji, książę Adam Czartoryski. Trwa wojna krymska. Wojska angielskie i francuskie lądują na Krymie; oblegają Sewastopol; wszystko wydaje się możliwe. Czartoryski przedstawia swe nadzieje i rozczarowania; mówi o organizowaniu oddziału kozackiego do walki z Rosją. Wielu ludzi z pogranicza poczuwało się wówczas do więcej niż jednej narodowości, nie zdziwmy się więc, że książę mówi: „Jestem przede wszystkim Polakiem [...] ale jestem także Rusinem i Ukraińcem”.

W tymże 1855 roku nakładem drukarni L. Martinet tej samej, która drukowała Mickiewicza, Norwida czy Krasińskiego, ukazuje się ta właśnie mowa Czartoryskiego – po ukraińsku, choć łacińską czcionką. Fakt tej publikacji (wznowionej w tomie „Konstytucja Trzeciego maja w tradycji towarzystwa historyczno-literackiego w Paryżu”, Paryż 1991, a niestety nieobecnej w niedawnej edycji „Mów politycznych” Czartoryskiego, Kraków 2023) jest niezwykle istotny. Polscy patrioci publikowali od czasu do czasu teksty po „rusku” były to jednak wiersze bądź odezwy, jak „Złota Hramota” z powstania styczniowego.

Tutaj – zupełnie coś innego. Mowy Czartoryskiego nie są dla ludu – to teksty skomplikowane, przeznaczone dla odbiorcy obytego w świecie kultury wy-



• Książę Adam Jerzy Czartoryski (1770-1861), lider Hotelu Lambert, obozu konserwatywnego Wielkiej Emigracji FOT. NADAR, W ZBIORACH MUZEUM ZAMOYSKICH

sokiej. Jeżeli taki tekst tłumaczy się na ukraiński, to znaczy, że liczy się na czytelnika spośród ukraińskiej inteligencji. Można, może z przesadą, powiedzieć, że przekład był w jakiś sposób symbolicznym uznaniem równoprawności ukraińskiego – w sytuacji kiedy większość Polaków w Galicji i na rosyjskiej Ukrainie była przekonana, że żadnego języka ukraińskiego nie ma, że jest tylko gwara, która ustąpi miejsca polskiemu, a Rosjanie sądzili, że ustąpi rosyjskiemu. Czartoryski nie raz sprzeciwiał się takiemu stanowisku: kilka lat później wezwał – 3 maja 1861 roku, gdy miał 91 lat – do uznania „ruskiego” za drugi obok polskiego język obrad Sejmu galicyjskiego.

W polskiej wersji mowy z 1855 roku czytamy o wrogach, zaszczepiających „niechęć i nieufność między różnymi klasami narodu”: Czartoryski pamięta niedawne (1846) rozruchy chłopskie, tzw. rzeź galicyjską. Zapewnia lud, że w niepodległej Polsce „żadne nabyte korzyści nie będą [...] odjęte”, że czeka go „prawdziwa równość” i „oswobodzenie od [...] bied i ucisków”. Otóż w wersji ukraińskiej mamy po tych słowach istotny dodatek: „na równi z Polakami”. Sens tekstu ukraińskiego jest więc taki, że nie tylko chłopci zachowują swe zdobycze społeczne, ale Rusini będą mieli te same prawa narodowe co Polacy.

Jeden ze współpracowników Czartoryskiego, Ludwik Zwierkowski, pisał:

Rusini galicyjscy „gdy chcą, niechaj sobie tworzą swoją narodowość, my ich wspierać będziemy, żeby ją przenieśli za Dniepr, do Kozaków; [...] wtedy ich tylko walczyć będziemy, gdyby oni nie dążyli do osobnej swojej narodowości, ale gdyby chcieli złączyć się z Moskwą”. Gdyby Ukraińcy nie wytworzyli osobnego w pełni świadomego narodu, lecz zostali zrusyfikowani, powstałoby dla Polski śmiertelne niebezpieczeństwo.

Marceli Handelsman, w zakończeniu swej świetnej książki o ukraińskiej polityce Czartoryskiego, z której wzięłem powyższy cytat, pisał w 1937 roku, że historyk, wczuwając się głęboko w życie swych bohaterów, odnajdzie „pytania odwieczne: Jak owo kapitalne, główne poprzez stulecia zagadnienie polskiego narodowego i politycznego istnienia, problem stosunku polsko-ukraińskiego”. „Myśląc o wczoraj, jakże już odległym i odmiennym od dziś, myśli się o dziś, które mimo to jest wciąż tym samym wczoraj. Ze strachem, niepewnością, i, daj Boże, poczuciem odpowiedzialności idzie się w jutro, które pewno niczym nie będzie różnie w swej istocie od tego, co już było”.

Handelsman, zwolennik ruchu prometejskiego, przekonany, że wsparcie dla Ukraińców leży w najwyższym interesie Polski, pisał w momencie niebywałego wzrostu radykalnego nacjonalizmu w Polsce, w przededniu drugiej wojny światowej, kiedy „jutro” miało okazać się straszliwsze od najpesymistyczniejszych przewidywań. Czy mamy powtórzyć te smutne słowa dziś? Czy może jednak ośmielimy się mieć nadzieję, że mimo postawy prezydenta RP i jego zwolenników, wszelkimi siłami dążących do zastąpienia solidarności polsko-ukraińskiej przez wzajemną nienawiść, uda się kiedyś wyrwać z błędnego koła? Nie wiem. ●

Maciej Janowski – historyk, zajmuje się dziejami Polski i Europy w XIX w.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34414014

Szukasz miejsca, gdzie można swobodnie porozmawiać o książkach?

ZAPISZ SIĘ NA
wyborcza.pl/klubksiazki

Pierwsze spotkanie już
22 lipca, o godz. 19.00.

Porozmawiamy o książce Petera Pomerantsewa,
„Propagandysta, który przechrzył Hitlera.
Jak wygrać wojnę informacyjną”

SPONSOR
 Czytnix

FATALNE ZAUROCZENIE MICHELA FOUCAULTA

To słynny francuski filozof przewidział wejście islamu na scenę globalną. Był zafascynowany rewolucją w Iranie, dostrzegł w niej „polityczną duchowość”.

Radosław Korzycki

Jesienią 1978 roku Michel Foucault, największy anatom nowoczesnej władzy, poleciał do Iranu zobaczyć rewolucję, która nie mówiła językiem Marksa, lecz religii. W tłumach maszerujących za ajatollahem Chomeinim dostrzegł coś, co wydawało mu się nową formą politycznej energii: „duchowość” zdolną poruszyć miliony ludzi po zmęczeniu Zachodu ideologiami XX wieku. Filozof, który całe życie analizował mechanizmy nadzoru i dyscypliny, nie zauważył, jak szybko bunt może zamienić się w nowy aparat opresji. Dziś, gdy Iran znów znajduje się w centrum globalnego konfliktu, jego irańska fascynacja wraca nie jako egzotyczny epizod biografii, lecz jako ostrzeżenie przed pokusą romantyzowania historii.

INTELEKTUALISTA ULICZNY

Michel Foucault (1926-84) był jednym z tych intelektualistów XX wieku, którzy nie tyle komentowali rzeczywistość, ile zmieniali sposób, w jaki ludzie uczą się ją widzieć. Francuski filozof, historyk idei, eseista i wykładowca Collège de France należał do najważniejszych postaci formacji intelektualnej, którą później nazwano poststrukturalizmem, choć sam wobec takich etykiet pozostawał nieufny. Uczył się w cieniu wielkich nazwisk francuskiej humanistyki powojennej: Louisa Althussera, Georges'a Canguilhema czy Jeana Hyppolite'a. Czerpał z Nietzschego, Bataille'a i Heideggera, ale równie mocno interesowały go szpitale psychiatryczne, więzienia, opresyjny język administracji, a także archiwa policyjne. Opublikował na przykład dokumentację sprawy Pierre'a Rivière'a, który w 1835 roku zamordował matkę, siostrę i brata, by pokazać konflikt między rodzącą się psychiatrią a prawem w definiowaniu obłądki i odpowiedzialności za zbrodnię. Foucault pomógł rozbić komfortową opowieść Zachodu o własnym postępie. Liberalna nowoczesność przestała u niego wyglądać jak spokojny marsz ku wolności i racjonalności. Pokazywał raczej, że nowoczesne społeczeństwa tworzą coraz subtelniejsze techniki nadzoru, klasyfikowania i dyscyplinowania ludzi. Badał narodziny nowoczesnego więzienia,

sposób, w jaki cywilizacja oddziela „normalność” od obłądki, a także to, jak władza przenika ciało, seksualność i codzienne życie.

Nie interesowała go wyłącznie teoria, angażował się politycznie: protestował przeciw represjom państwa, wspierał ruchy więźniów, uczestniczył w akcjach lewicy pozaparlamentarnej, interesował się losem migrantów i osób wykluczonych. Był intelektualistą ulicznym równie mocno, jak bibliotecznym. Kiedy wielu filozofów pisało o rewolucji zza biurka, Foucault próbował zobaczyć ją z bliska.

Pochodził z zamożnej, mieszczańskiej rodziny lekarskiej z Poitiers. Był homoseksualistą, co w realiach Francji połowy XX wieku miało ogromne znaczenie dla jego doświadczenia społecznego i osobistego. Jednocześnie opierał się pokusie redukcji własnej twórczości do autobiografii czy „tożsamości”. Nie chciał być filozofem „gejowskim” ani rzecznikiem jednej wspólnoty. Interesowało go raczej to, jak społeczeństwa produkują normę i wykluczenie, jak definiują szaleństwo, dewiację, seksualność i posłuszeństwo.

Pod koniec lat 70. był już słynny, cytowany, tłumaczony i obudowany legendą, ale też

zmęczony rolą wielkiego filozofa, którego zaprasza się do telewizji i debat, żeby raz jeszcze objaśniał Zachód samemu sobie. Francja po maju '68 była krajem pełnym rozczarowań, politycznego kaca, liberalnego giscardyzmu i ideologicznych ruin. Rewolucja nie przyszła. Marksizm się kruszył. Komunistyczne sny pachniały już nie emancypacją, lecz autarchią, biurokracją i przemocą. Zachodnia lewica szukała nowego języka buntu, który nie prowadziłby ani do stalinowskiego terroru, ani do liberalnego samozachwyty.

KIEDY IDEE STAJĄ SIĘ CIAŁEM

W powietrzu wisiało poczucie końca pewnej epoki. Wietnam był już po wojnie, Chiny Mao Zedonga zaczynały się zmieniać, europejska radykalna lewica wpadała albo w pułapkę terroryzmu jak grupa Andreasa Baadera i Ulrike Meinhof, albo w melancholię. W tym czasie Iran zaczynał wrzeć. I właśnie tam wielu intelektualistów dostrzegło coś, co wydawało się niepokojąco nowe: masowy bunt, który nie

Represje w Iranie po ruchu „Kobieta, życie, wolność” pokazały, jak bardzo ciało kobiety pozostało polem walki między społeczeństwem a republiką islamską



▲ Teheran 1 lutego 1979 roku. Ajatollah Ruhollah Musawi Chomeini (1900-1989) pozdrawia tłum tuż po powrocie z emigracji. Dwa miesiące później Rada Rewolucyjna proklamowała Islamską Republikę Iranu

FOT. MICHEL SETBOUN/CORBIS VIA GETTY IMAGES

► Michel Foucault (1926-1984), francuski filozof, historyk i socjolog, dostrzegł w rewolucji islamskiej „polityczną duchowość”

FOT. MICHELE BANCILHON VIA AFP

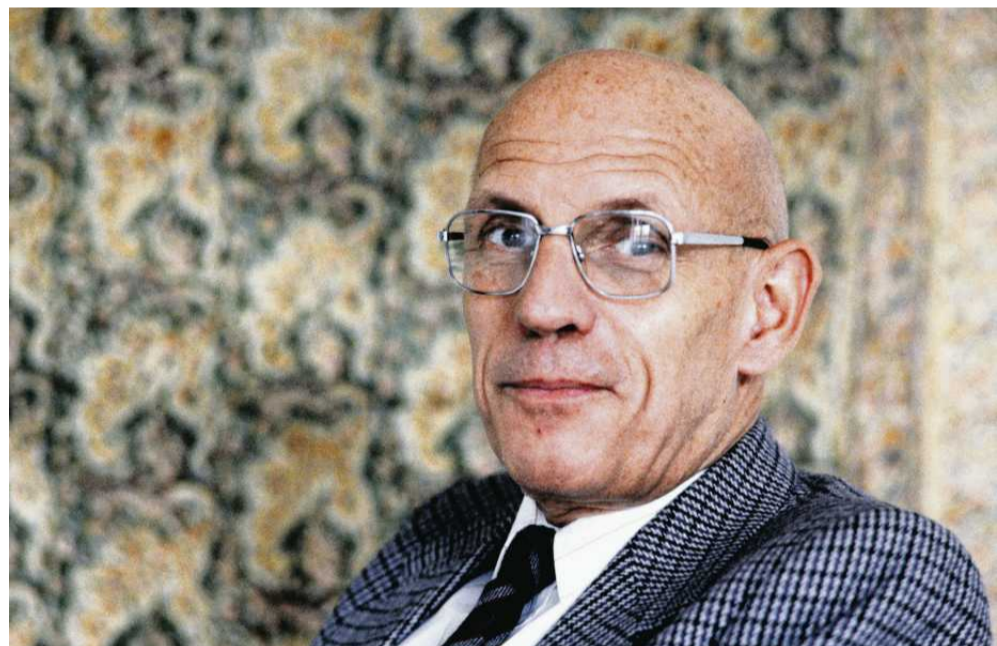
mówił językiem Marksa, ale religii. Nie proletariatu, lecz wierni. Nie partia klasowej awangardy, tylko meczet. Nie czerwony sztandar, ale czarny turban ajatollaha Chomeiniego.

Foucault nie zainteresował się Iranem przypadkiem. W Paryżu utrzymywał kontakty z irańską diasporą, słuchał opowieści studentów, emigrantów politycznych i przeciwników szacha. Krażyły relacje o represjach policji politycznej SAVAK, torturach, brutalności modernizacji narzucanej przez monarchię wspieraną przez Zachód. W środowiskach lewicowych Iran zaczynał funkcjonować jako laboratorium nowego typu rewolty: antyimperialnej, masowej, a zarazem wymykającej się klasycznym kategoriom europejskiej polityki.

Wtedy przyszła propozycja z Włoch. „Corriere della Sera”, jeden z najważniejszych dzienników Europy, chciał wysłać do Iranu nie zwykłego reportera, lecz wielkiego intelektualistę. Kogoś, kto potrafiłby opisać nie tylko wydarzenia, ale klimat historycznego przesilenia. Foucault zgodził się niemal natychmiast, ale pod jednym warunkiem. Nie chciał pisać akademickich komentarzy ani filozoficznych felietonów z bezpiecznej odległości. Chciał pojechać na miejsce, zobaczyć ludzi, rozmawiać, chodzić po ulicach i stać w tłumie.

W pewnym sensie próbował wtedy uciec od własnego statusu. Na chwilę przestać być profesorem Collège de France, autorem wielkich teorii i celebrytą europejskiej humanistyki. Interesował go moment, w którym idee przestają być książką, a stają się ciałem, ryzykiem i tłumem.

Nie jechał do Iranu z gotową tezą polityczną. Raczej z przecuciem, że dzieje się tam coś, czego Europa jeszcze nie rozumie, coś, co



nie przypomina ani rewolucji francuskiej, ani bolszewickiej, ani maoistowskiej.

NA PRZECIĘCIU IDEI I ZDARZEŃ

Jesienią 1978 roku wsiadł do samolotu lecącego do Teheranu. Towarzyszył mu Thierry Voeltzel, młody francuski dziennikarz i pisarz. Iran przypominał państwo stojące na granicy załamania nerwowego. Punkty kontrolne wyrastały na drogach jak barykady, ulice patrolowali uzbrojeni żołnierze, a napięcie czuć było niemal fizycznie. Foucault wspominał później sytuację, gdy kierowca przypadkowo ominął checkpoint i wojskowi niemal natychmiast otworzyli ogień. Reżim szacha wyglądał jak system, który coraz bardziej opiera się już nie na autorytecie, lecz na strachu i sile.

Jednocześnie pod powierzchnią tego militarnego porządku pulsowało coś, czego zachodni obserwatorzy długo nie umieli nazwać. Foucault uważał, że narodzin idei nie należy obserwować wyłącznie w książkach. Trzeba ich szukać na ulicach, w tłumie, w starciach prowadzonych w ich imię albo przeciw nim. „To

nie idee poruszają świat, lecz świat nieustannie produkuje idee, których później nie da się już całkowicie kontrolować” – pisał w „Corriere della Sera” w tekście pt. „Duch świata bez ducha”.

Właśnie temu miały służyć jego irańskie reportaże. Chodziło o analizę tego, „co się dzieje”, ale równocześnie tego, „co można sobie pomyśleć”. Foucault marzył wręcz o nowym rodzaju pisania politycznego, w którym intelektualności i dziennikarstwo spotykają się w punkcie przecięcia idei i zdarzeń.

Dzięki kontaktom pośród irańskiej diaspory i lokalnych działaczy spotykał studentów, intelektualistów oraz ludzi związanych z podziemiem politycznym. Jak pisał, przyjaciele umożliwili mu rozmowę z ważnymi przedstawicielami opozycji wobec szacha. Spotkanie odbyło się w „doskonale aseptycznej okolicy” pod Teheranem, co dobrze oddawało klimat tamtych dni: konspirację połączoną z poczuciem nadchodzącego przesilenia.

NIKT TU NIE CHCE SZACHA

To właśnie wtedy usłyszał od opozycjonistów diagnozę, która zrobiła na nim ogromne wra-

żenie: im większe będą protesty i zamieszki, tym bardziej reżim będzie zmuszony opierać się na armii. Problem polegał na tym, że wojsko nie było przygotowane do prowadzenia wojny przeciw własnemu społeczeństwu. Żołnierze mieli w końcu odkryć, że nie stoją naprzeciw „międzynarodowemu komunizmowi”, jak powtarzała propaganda szacha, lecz przeciw zwykłym ludziom: urzędnikom, bezrobotnym, mieszkańcom ulicy. Przeciw własnym braciom.

Dla Foucaulta nie była to wyłącznie analiza polityczna. Widział w tym moment pęknięcia nowoczesnego państwa. Chwilę, w której aparat przemocy zaczyna rozumieć, że nie walczy z zewnętrznym wrogiem, ale z własnym społeczeństwem. I właśnie tam, pośród narastającego chaosu, zaczął dostrzegać coś, co go zafascynowało: rewolucję, która nie mówiła językiem europejskiej lewicy, ale miała energię zdolną poruszyć miliony ludzi.

Foucault próbował zrozumieć Iran nie jako kolejną odsłonę zimnej wojny, ale jako wydarzenie rozbijające europejskie przyzwyczajenia intelektualne. W jego tekstach dla „Corriere della Sera” powraca jedna intuicja: szach nie upadał wyłącznie dlatego, że popełnił błędy polityczne albo przesadził z represjami, ale dlatego, że przeciwko niemu wystąpiła siła, której nie dało się łatwo opisać językiem zachodnich partii, klas i programów.

Francuski filozof widział w Iranie bunt przeciw państwu modernizacyjnemu, które chciało społeczeństwo przyspieszyć, uporządkować i zdyscyplinować. Szach przedstawiał siebie jako człowieka przyszłości, ale Foucault odwracał tę opowieść. To właśnie monarcha wydawał mu się anachroniczny, jakby próbował narzucić krajowi nowoczesność metodami starego despotyzmu: policją polityczną, armią, przymusem i kontrolą. Modernizacja nie wyglądała tu jak emancypacja, tylko jak kolejna technologia posłuszeństwa.

Dlatego irańska rewolta fascynowała go tak bardzo. Ludzie, których spotykał, nie mówili przede wszystkim o konstytucji, reformach czy zachodnim modelu parlamentarnej polityki, a o odejściu szacha. O godności, islamie i życiu, którego nie da się już dalej prowadzić pod monarchią. Foucault zobaczył w tym nie program, lecz intensywną wolę polityczną. Warto jednak pamiętać, że liberalna opozycja irańska, np. krąg Mehdiiego Bazargana, pełniącego krótko na początku rewolucji funkcję premiera, ale Foucault świadomie te głosy marginalizował w swoich tekstach, skupiając się na masach religijnych.

ISLAM, CZYLI BECZKA PROCHU

Właśnie tu pojawia się jego najważniejsze pojęcie z irańskich tekstów: „duchowość polityczna”. Interesował go moment, w którym polityka przestaje być tylko administracją interesów i staje się doświadczeniem egzystencjalnym. Ludzie wychodzili na ulice z gołymi rękami, wiedząc, że mogą zostać pobici albo zastrzeleni. Nie zachowywali się jak wyborcy kalkulujący korzyści, ale jak uczestnicy zbiorowego przejścia.

W tym sensie Iran wydawał mu się zaprzeczeniem Europy po wygaśnięciu wielkich rewolucyjnych nadziei. Francuska lewica znała język partii, związków zawodowych i marksistowskich analiz. Iran mówił inaczej. Foucault podkreślał, że ani w Teheranie, ani w Komie nie słyszał pragnienia klasycznej „rewolucji”, ale pragnienie „rządu islamskiego”, rozumianego przez jego rozmówców jako obietnica innego życia.

Z tego wynikała jego szczególna uwaga wobec islamu. Foucault nie traktował go wyłącznie jako religii prywatnej ani jako zasłony dla „prawdziwych” interesów społecznych. Widział w nim język politycznego działania, pamięci historycznej i zbiorowej mobilizacji. Szyizm z jego opowieścią o męczeństwie i niesprawiedliwości wydawał mu się potężnym zasobem oporu wobec państwa.

Był przy tym przekonany, że obserwuje coś, co może mieć znaczenie nie tylko dla Iranu. W jednym z późniejszych tekstów pisał o islamie jako o „beczce prochu” zdolnej poruszyć setki milionów ludzi i zmienić układ sił w całym regionie. To była jedna z jego najbardziej przenikliwych intuicji. Foucault rozumiał, że irański wybuch nie jest lokalnym epizodem, ale zapowiedzią wejścia islamu politycznego na scenę globalną.

I dlatego jego irańskie reportaże są tak osobliwe. Bo to ani zwykła korespondencja zagraniczna, ani spokojna analiza filozoficzna. Te teksty są próbą uchwycenia chwili, w której rozpada się europejska pewność, że nowoczesność ma tylko jeden kierunek: świeckość, rozwój, racjonalizację i liberalne państwo.

Na tym polegała istota jego fascynacji. Iran nie wydawał mu się cofnięciem historii, lecz jej pęknięciem. Dowodem na to, że ludzie mogą jeszcze pragnąć polityki jako przemiany życia, a nie tylko zmiany rządu.

CZEGO PROROK NIE PRZEWIDZIAŁ?

Foucault zobaczył w Iranie coś, czego wielu zachodnich komentatorów początkowo nie rozumiało albo nie chciało rozumieć. Trafnie rozpoznał, że nie jest to kolejna wersja rewolucji francuskiej, rosyjskiej czy chińskiej, tylko narodziny nowego typu politycznej mobilizacji. Wcześniej niż większość europejskiej lewicy dostrzegł, że islam polityczny może stać się jedną z najpotężniejszych sił końca XX wieku. Kiedy pisał o islamie jako „beczce prochu”, miał w sobie coś z proroka.

Problem polegał jednak na tym, że jego przenikliwość zaczęła mieszać się z fascynacją. To, co nazywał „duchowością polityczną”, wydawało mu się odzyskaniem przez politykę wymiaru ofiary, ryzyka i zbiorowego uniesienia. W tłumach maszerujących za Chomeinim widział energię autentyczną i niemożliwą do zredukowania do partyjnych kalkulacji. I właśnie wtedy zaczął zbliżać się do granicy, za którą zachwyty nad samą siłą buntu utrudnia dostrzeżenie tego, czym bunt może stać się później jako władza.

Źródłem tej fascynacji był również bardzo głęboki antymodernistyczny odruch w myśleniu Foucaulta. Trafnie rozpoznawał brutalność państwa szacha: obsesję kontroli, policję polityczną SAVAK i przemoc wpisaną w projekt modernizacji narzucanej społeczeństwu z góry. W tekście „Szach jest sto lat za czasami” opisywał monarchię Pahlawich niemal językiem „nadzorować i karać”: jako system dyscypliny i nadzoru ukryty pod maską postępu.

Kłopot polegał na tym, że z tej trafnej krytyki nowoczesnego autorytaryzmu Foucault przeszedł do zbyt zyczliwego spojrzenia na jego przeciwników. Nie przewidział, że islamizm może nie tylko buntować się przeciw nowoczesnym technikom kontroli, ale sam stworzyć ich nową, niezwykle skuteczną wersję. Religijna rewolucja mogła połączyć dawną moralną władzę z nowoczesnym państwem, propagandą i aparatem przemocy.

Foucault znakomicie widział przemoc nowoczesności. Znacznie gorzej rozumiał, że antynowoczesność także może stać się systemem opresji.

Najpoważniejszy problem dotyczył jednak kobiet. I właśnie tutaj krytycy Foucaulta uważają jego irański epizod za intelektualną porażkę, a nie tylko polityczną pomyłkę. Filozof, który całe życie analizował mechanizmy wykluczenia i kontroli, okazał się zaskakująco obojętny wobec ostrzeżeń irańskich feministek.

Francuz powtarzał uspokajające deklaracje ludzi związanych z islamistami, że przyszła republika islamska nie przyniesie kobietom „nierówności”, lecz jedynie „różnicę” wynikającą z naturalnego porządku płci. Nie potraktował tego jako sygnału alarmowego. Nie zapytał, co w praktyce oznacza społeczeństwo oparte na takim rozróżnieniu.

Najmocniejszym przykładem pozostaje list irańskiej emigrantki



podpisującej się jako Atoussa H., opublikowany w „Nouvel Observateur”. Pisała z rozpaczą, że zachodnia lewica daje się uwieść wizji „muzułmańskiej duchowości”, nie rozumiejąc, iż Irańczycy mogą zostać zmuszeni do wyboru między SAVAK-iem a religijnym fanatyzmem. Ostrzegła przed przymusem zaskanania kobiet, prawem religijnym i losem mniejszości.

Foucault odpowiedział chłodno i dość wyniośle. Zarzucił jej utożsamianie islamu z fanatyzmem i napisał, że rozmowy o islamie nie należy zaczynać od nienawiści. Z dzisiejszej perspektywy wygląda to jak jeden z najbardziej problematycznych momentów całej tej historii.

DUCHOWOŚĆ, KTÓRA BIJE KOBIETY

Nie wszyscy dali się porwać tej fascynacji. Najważniejszym kontrapunktem dla Foucaulta stał się Maxime Rodinson, wybitny marksistowski historyk islamu. Już pod koniec 1978 roku ostrzegł na łamach „Le Monde”, że fundamentalizm religijny w praktyce oznacza prawo kar cielesnych, ograniczenie praw kobiet i łatwe oskarżanie przeciwników o bycie „wrogami Boga”. Możliwy rezultat nazwał wręcz „półarchaicznym faszyzmem”.

Jeszcze bardziej uderzające było jednak coś innego. Foucault, który przez całe życie analizował rozproszone relacje władzy i społeczne pęknięcia, nagle zaczął mówić o Iranie językiem niemal mistycznej jedności. W rozmowie opublikowanej później w książce „Iran: rewolucja w imię Boga” twierdził, że nie widzi tam walki różnych grup społecznych, lecz jedną wielką konfrontację: całego ludu przeciw państwu.

Rzeczywistość bardzo szybko zaczęła ten obraz rozsądzać. Już w marcu 1979 roku tysiące kobiet wyszły na ulice Teheranu protestować przeciw przymusowi ponownego zasłaniania się. Demonstracje trwały kilka dni. Padaly hasła przeciw czadorowi i dyktaturze, a bojówki Hezbollahu odpowiadały kamieniami, nożami i pobiciami. W tym samym czasie pojawiały się informacje o represjach wobec homoseksualistów, bahaitów i Kurdów. Simone de Beauvoir publicznie stanęła po stronie irańskich kobiet.

Wtedy zaczęła się również brutalna polemika z samym Foucaultem. Claudie i Jacques Broyelle opublikowali tekst zatytułowany „O czym śnią filozofowie?”, świadomie parodiując jego wcześniejszy esej „O czym śnią Irańczycy?”. Zarzucali mu, że zachwycał się „duchowością polityczną”, która właśnie zaczyna „dyscyplinować i karać”: zasłaniać dziewczynki, bić kobiety i organizować społeczeństwo według religijnego nadzoru.

Foucault praktycznie nie odpowiedział. Oświadczył jedynie, że nie uczestniczy w polemikach. Ta historia ciągnęła się za nim do końca życia, a zmarł na AIDS w 1984 roku. Wielu późniejszych obrońców próbowało traktować teksty o Iranie jak niewygodny margines jego twórczości, intelektualny wypadek przy pracy. Problem polega na tym, że sam Foucault uważałby taki zabieg za intelektualnie nieuczciwy. W słynnym esej „Kim jest autor?” pisał przecież, że tworzymy sztuczną jedność myśliciela wtedy, gdy jedne teksty uznajemy za „prawdziwe”, a inne wyrzucamy poza nawias jako błędne czy niepasujące do legendy autora.

Dlatego epizod irański jest tak ważny. Nie jako plotka o kompromitacji wielkiego filozofa, lecz jako ostrzeżenie. Foucault stał się jednym z najbardziej wyrafinowanych przykładów pokusy, która wraca regularnie od dekad: pragnienia, by każdy ruch antyimperialny albo antyzachodni automatycznie uznać za emancypacyjny. Historia Iranu pokazała, że bunt przeciw opresji nie zawsze prowadzi do wolności. Czasem prowadzi do nowej formy dyscypli-

ny wyposażonej nie tylko w państwo, lecz także w religijny absolut.

POMYŁKA CZŁOWIEKA INTELIGENTNEGO

W 2026 roku ta historia wraca nie jako akademicka ciekawostka, ale jako ostrzeżenie na czas wojny. Iran znów znajduje się w centrum światowego konfliktu. Stany Zjednoczone weszły z nim w fazę otwartej konfrontacji militarnej, przerywanej właśnie kruchym porozumieniem, które nie rozwiązuje ani sporu o program nuklearny, ani kwestii bezpieczeństwa w Zatoce Perskiej.

I właśnie dlatego Foucault jest dziś tak niepokojąco aktualny. Nie dlatego, że miał rację. Raczej dlatego, że jego pomyłka była pomyłką człowieka wybitnie inteligentnego. Zobaczył energię buntu, ale za słabo widział przyszłą przemoc. Zrozumiał, że islam polityczny stanie się siłą zdolną przesuwać historię, ale nie chciał dostrzec, jak szybko taka siła może zacząć dyscyplinować kobiety, mniejszości, język i codzienność.

Dzisiejszy Iran jest odpowiedzią historii na tamtą fascynację: państwem, w którym rewolucyjna „duchowość” dawno zamieniła się w aparat kontroli, więzienia i brutalne tłumienie protestów. Represje po ruchu „Kobieta, życie, wolność” pokazały, jak bardzo ciało kobiety pozostało polem walki między społeczeństwem a republiką islamską.

Ale z tej historii nie wynika prosty komfort dla Zachodu. Amerykański konflikt z Iranem także nie jest czystą opowieścią o wolności przeciw tyranii. W tym sensie Foucault nadal czegoś nas uczy: każe pytać, jakimi językami władza tłumaczy własną przemoc, zanim nazwie ją koniecznością.

Nie wolno romantyzować ani rewolucji, ani imperium. Nie każdy bunt przeciw Zachodowi jest emancypacją. Nie każda interwencja Zachodu jest obroną wolności. Iran po 1979 roku pokazuje, jak łatwo antyimperialna nadzieja może stać się religijnym państwem dyscypliny. Dzisiejsza polityka mocarstw pokazuje z kolei, jak łatwo język bezpieczeństwa może zasłonić logikę siły.

Może dlatego irański epizod Foucaulta jest dziś bardziej przestroga niż kompromitacja. Najgroźniejsze błędy intelektualistów rzadko biorą się z głupoty. Częściej z pragnienia, żeby w historii wreszcie wydarzyło się coś czystego: bunt bez przemocy przyszłego państwa, religia bez opresji, Zachód bez imperializmu, wojna bez ceny płaconej przez zwykłych ludzi.

Iran odbiera nam ten luksus. Pokazuje, że historia nie daje czystych figur. Daje raczej splecione siły, które trzeba rozumieć bez zachwyty i bez cynizmu.

I może właśnie tu, prawie pół wieku po podróży Foucaulta do Teheranu, leży najważniejsza lekcja. Trzeba umieć patrzeć jednocześnie na opresję republiki islamskiej i na przemoc polityki siły. Na odwagę irańskich kobiet i na interesy mocarstw. Na bunt, zanim stanie się państwem, i na państwo, zanim nazwie własną przemoc obroną porządku. Dopiero wtedy można uniknąć błędu, który popełnił Foucault: zachwyty nad energią historii, zanim zapyta się, co ta historia za chwilę zmusi do milczenia. ●

Korzystałem z: Afary J., Anderson K.B., „Foucault and the Iranian Revolution: Gender and the Seductions of Islamism”, University of Chicago Press”, Chicago 2005, Erison D., „Michel Foucault. Biografia”, Wydawnictwo KR, Warszawa 2005; teksty Michela Foucaulta tłumaczone na angielski z „Corriere della Sera” i „Le Nouvel Observateur”, wykład „Qu'est-ce qu'un auteur? (Kim jest autor?)”, wygłoszony w Société française de philosophie, 1969, a także: Atoussa H., „Une lettre ouverte à Michel Foucault”, „Le Nouvel Observateur”, listopad 1978, Rodinson M., „L'Égypte de Nasser et l'Iran de Khomeiny”, „Le Monde”, grudzień 1978, Broyelle C., Broyelle J., „De quoi rêvent les philosophes?”, „Le Matin”, marzec 1979.

Jasne strony dziejów

Gombrowicz nie dał dyla!

Jeśli kogoś obwiniać za wyjazd autora „Ferdydurke” z Polski tuż przed wybuchem wojny, to Jerzego Giedroycia.

BRZEZIECKI



W interesującym wywiadzie Doroty Wodeckiej z Radosławem Sikorskim, pełnym anegdot i inspirujących myśli, znalazło się zdanie, które trochę zgrzytnęło. W wątku dotyczącym powinności obrony ojczyzny Sikorski mianowicie stwierdził, że „nie każdy jest Gombrowiczem, który też dał dyla, ale się przynajmniej tego wstydział”. Sprawdzmy, czy rzeczywiście „dał dyla” i czy się wstydział. Transatlantyk „Chrobry” wypłynął z Gdyni 29 lipca 1939 roku – ponad miesiąc przed atakiem Niemiec. Gombrowicz znalazł się na pokładzie trochę przypadkiem, bo w ostatniej chwili dostał propozycję udziału w tym rejsie. Wyszła od Jerzego Giedroycia, wówczas pracującego w Ministerstwie Przemysłu i Handlu. Gombrowicz wraz z drugim literatem – Czesławem Straszewiczem byli oficjalnie gośćmi ministra. Jeśli więc ktoś formalnie odpowiada za nieobecność Gombrowicza latem 1939 roku w Polsce, to minister rządu tejże Polski.

Ba, pisarz, wchodził na pokład – tak jak inni pasażerowie – w przekonaniu, że wróci nad Wisłę i gdyby w drugiej połowie sierpnia wypadki nie nabrały dramatycznego obrotu spraw – najpewniej tak by było. I jeśli Gombrowicz porównywany był, czy stawiany w jednym z szeregu z Witkacym i Bruno Schulzem, to wiemy, że żaden z nich wojny nie przeżył.

W chwili podpisania paktu Ribbentrop-Mołotow pisarz był wciąż na statku, ale dwa dni później, gdy „Chrobry” popłynął najpierw do Brazylii a po kilku tygodniach w kierunku Wielkiej Brytanii (ale już, co oczywiście, nie do Polski), Gombrowicz pozostał w Argentynie. Na ponad dwadzieścia lat. Decyzja o pozostaniu w Ameryce Południowej została więc podjęta jeszcze przed wybuchem wojny.

Jak tłumaczył – „nie była to żadna dezercja, gdyż Polska, tak czy owak, była już niedostępna”. 35-letni Gombrowicz jednak zgłosił się do poselstwa polskiego w Buenos Aires po zejściu na ląd, więc zrobił to, co jako obywatel winien zrobić. Zaś gdy na obczyźnie formowało się wojsko polskie, stanął przed komisją poborową, która go odrzuciła. Czy można nazwać to „daniem dyla”? Można też mieć pewne wątpliwości co do tego, czy Gombrowicz wstydział się sytuacji, w ja-

kiej się znalazł. „Byłem wstrząśnięty, zdruzgotany, ale i szczęśliwy, że jakimś cudem znajduję się za oceanem” – wspominał. Jak sam potem dodawał, w „Transatlantyku” przedstawił się jako dezertor, bo jak uważał, w sensie duchowym nim był, choć przecież pod względem formalnym nic mu zarzucić nie można było. Gdy wojna skazała go na emigrację – poczuł coś w rodzaju ulgi. Oczywiście trzeba pamiętać, że stale prowokował i drażnił się, dlatego przyprowadził sobie gębę dezertera.

Kto zna twórczość Gombrowicza, wie też, że wstyd nie był jej cechą najważniejszą. Od lat uczymy się o tym w szkołach – chyba tylko z przerwą na okres, gdy, zaprzyżniony z Sikorskim, minister edukacji narodowej Roman Giertych czynił starania o usunięcie książek tegoż pisarza z listy lektur.

Bez wątplenia jednak trzeba by się zgodzić (gdyby Radosław Sikorski wygłosił takie zdanie), że gdyby autor „Ferdydurke” bardzo chciał – na front by trafił. Nie chciał. Ale przecież trudno mieć wątpliwości, że więcej pożytku Polska miała z Gombrowicza w Argentynie, a potem w Europie, niż gdyby został on w Polsce albo potem trafił do Armii Andersa.

Nie mam też wątpliwości, że więcej pożytku Radosław Sikorski przysporzył swojej ojczyźnie, prosząc – zaraz po wprowadzeniu stanu wojennego w Polsce – o azyl w Wielkiej Brytanii. Gdyby został nad Wisłę, może rozrzucalby w Bydgoszczy ulotki, może zostałby aresztowany, pewnie byłby jednym z tysięcy dzielnych i oddanych sprawie działaczy solidarnościowego podziemia. Ale czy zyskałby wiedzę, doświadczenie, znajomość języka i międzynarodowe znajomości, które zdyskontował z korzyścią dla Polski w III RP? Tego nie wiem.

Pewnie nie zgodziłby się ze mną Adam Michnik, który w 1984 roku odmówił nawet wyjścia z celi, gdy miał propozycję wyjazdu za granicę. Uważał, że jego miejsce jest w Polsce, bo tu toczy się walka o przyszłość kraju i narodu. No ale nie każdy urodził się Adamem Michnikiem. Za to jak sądzę, każdy przypadek należy rozpatrywać osobno.

Radosław Sikorski komentarz wygłosił, mówiąc pewnym niemądrym Ukraincu, który zamiast strzelać sobie idiotyczne fotki nad Morskim Okiem, winien, zdaniem polskiego ministra, walczyć za ojczyznę. To osobny spór – ja tylko upominam się o pamięć o pisarzu, jednej z najwspanialszych postaci naszej emigracji. Tej emigracji, na której komuniści tak chętnie wieszali psy i do której przez kilka lat należał sam Sikorski. ●

Andrzej Brzeziecki – historyk, dziennikarz, publicysta

PO PIERWSZE, AMERYKA!



W sprzedaży

140
stron



Do kupienia w punktach sprzedaży prasy
oraz na sklep.polityka.pl,
gdzie dostępne jest także **wydanie audio**.
Podkast POLITYKA o historii
– polityka.pl/podkasty
Newsletter historyczny
– polityka.pl/newslettery

Na sklep.polityka.pl
znajdziesz ponad
60 tytułów z serii
Pomocnik Historyczny
m.in.:



weekend **ówka**

MUMINKÓWKA

Podobnież wszystko zaczęło się od niejakiego Einara Hammarstena, szwedzkiego lekarza, profesora farmacji i chemii cenionego Instytutu Karolinska w Szwecji. Oprócz niewątpliwych zasług, jakie położył w dziedzinie medycyny czy chemii (był nawet nominowany do Nagrody Nobla) zawdzięczamy mu... Muminki. Otóż aby odpędzić lakomą siostrzenicę od spiżarni, opowiedział jej, że zamieszkuje ją tajemnicza istota, Muminek (Moomintroll), i jeśli dziewczynka będzie dalej zakradać się tam po smakołyki, będzie miała z tym stworem przepawę.

Dziewczynka, jak łatwo odgadnąć, nazywała się Tove Jansson, i jakiś czas później zasłynęła jako autorka jednych z najsłynniejszych książek dla dzieci. Co ja mówię, nie tylko dla dzieci są one!

Inna formatywna opowieść o sławnych bohaterach dotyczy pierwszego ich wizerunku. Tove Jansson narysowała go na drzwiach drewnianej toalety w rodzinnym domku letniskowym. Ponoć chwilę wcześniej posprzeczła się z bratem w kwestiach filozoficznych, nie umiała zbić argumentu dotyczącego Immanuela Kanta, więc narysowała najbrzydszego stworzaka, jakiego mogła sobie wyobrazić i podpisała go „Kant”.

To oczywiście nie był jeszcze Muminek. Ten ze ściany był chudy i paskudny, za to miał wydatny nos.

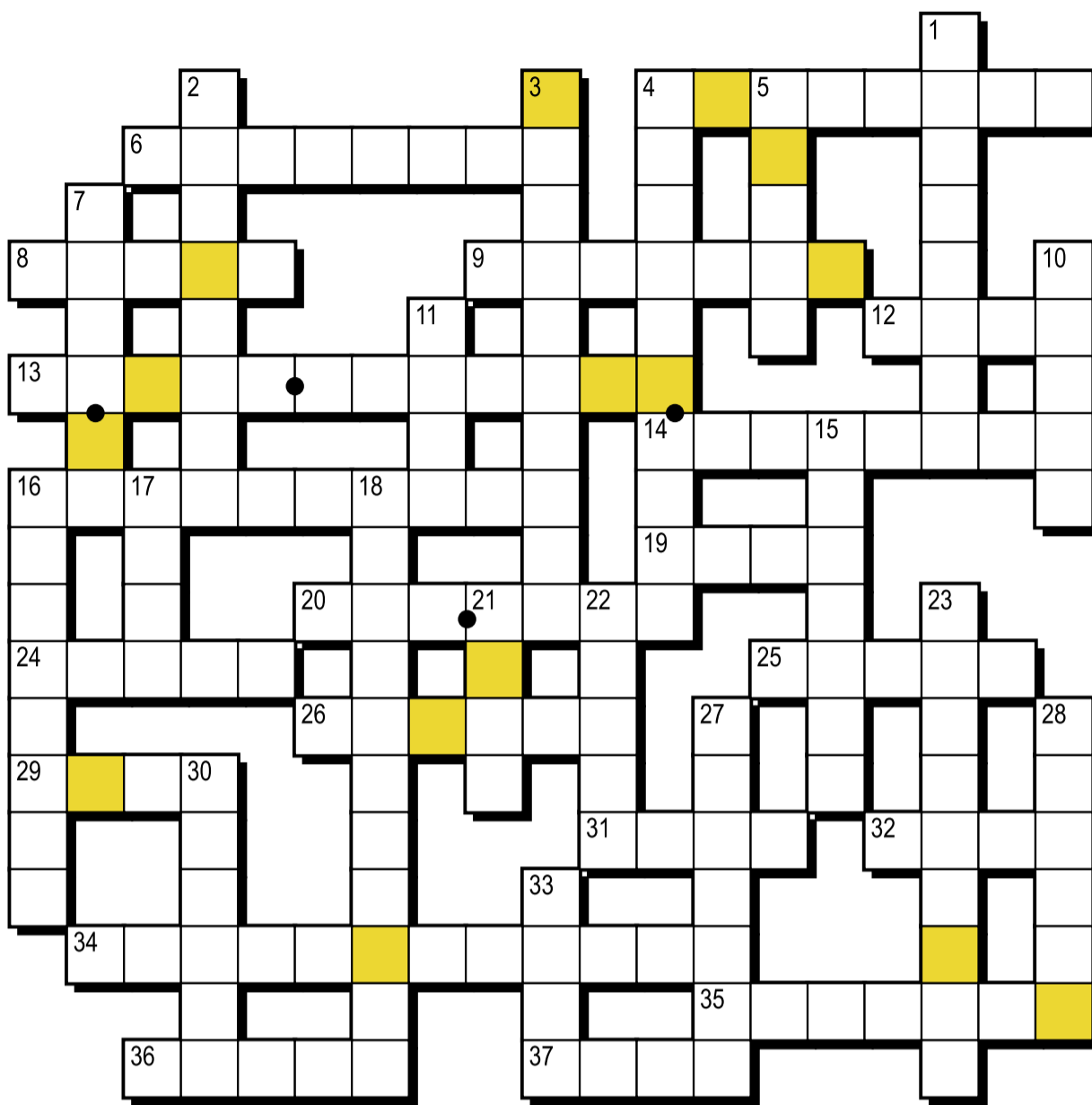
Muminki na kartach powieści, już takie prawdziwe, zadebiutowały w 1945 roku, w powieści „Małe trolle i duża powódź”, w której Mama Muminka wraz z Muminkiem poszukiwali Tatusia. Ten zagubił się podczas wędrówki z Hatifnatami, ale wyprawa kończy się sukcesem, a do rodziny dołącza zabawne stworzonko, które później, już w książkach z serii o Muminkach, stanie się Ryjkiem.

Wiemy już o roli wujka Tove Jansson, ale inne postaci z życia pisarki też odcisnęły na Muminkach swe piętno.

Pierwowzorem Too-tiki była Tuulikki Pietilä, wieloletnia partnerka Jansson. Topik i Topcia są odbiciem sekretnej romansu pisarki z Vivicą Bandler, reżyserką teatralną (jej ojciec był burmistrzem Helsinek) – nazywają się w oryginalnej Tofslan i Vifslan, co nawiązuje do imion kobiet. Jeszcze więcej w sadze „namieszal” były narzeczony Jansson, Atos Wirtnen. Lewicowy dziennikarz i polityk był przede wszystkim inspiracją dla postaci Włóczyki. Niektórzy dopatrują się też podobieństw z Piżmowcem – zrędlwym filozofem i przyjacielem Paszczaka, krąży też opowieść, że charakterystyczny sweter w paski, który nosiła Mała Mi, swego czasu Jansson zrobiła dla swego partnera.

Chodzimy sobie tymi tropami bowiem dziś przypada 25. rocznica śmierci Tove Jansson, która zmarła 27 czerwca 2001 roku w Helsinkach. I zapraszamy do „Weekendówki” o Muminkach. ●

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl



MUMINKI
Litery w kolorowych polach,
czytane kolejno rzędami,
utworzą rozwiązanie.

Poziamo:

- 4)** pani Jansson koledzy po fachu
6) często pijana w domu Muminków (zdrobniele)
8) sąsiadka Filifionki rozmiłowana w dobrych manierach
9) rodacy autorki przygód Muminków
12) stworzenie przynoszące ze sobą chłód
13) ma jasną grzywkę i uwielbia biżuterię
14) zwykle zapracowany albo oddany swojemu hobby, ma zapędy kolekcjonerskie

- 16)** mają obsesję na punkcie czystości
19) niewidzialne dziecko, które w domu Muminków odzyskało swój wygląd
20) nosi pasiastą koszulkę i kapelusik z pomponem
24) Muminek lub Tatus Muminka – walcowata
26) wielodzietna mama m.in. 7 pionowo i 23 pionowo
29) „... Muminków”, książeczka, w której Muminek poznaje śnieg
31) imię woźnej z teatru
32) element garderoby 23 pionowo
34) kształtem przypominają skarpetki, wędrują w stadach
35) Mama Muminka, Tatus Muminka i Muminek
36) imię Szuch-Wyszomirskiej,

tłumaczki przygód Muminków na język polski
37) imię twórczyni świata Muminków

Pionowo:

- 1)** element garderoby 23 pionowo
2) miasto, w którym urodziła się i zmarła autorka Muminków
3) pisane przez Tatusia Muminka
4) przyniosła mroźną aurę do Doliny Muminków
5) Topcia i ..., ukradły Buce Królewski Rubin
7) bywa złośliwa, zwykle mówi to, co myśli
10) filmy animowane lub opowieści o baśniowych istotach
11) długi i cienutki u Ryjka
15) książeczka z opowiadaniem albo wierszami (zdrobniele)

- 16)** wyobraźnia
17) zima wasza, wiosna nasza, a ... Muminków
18) krótkie formy literackie („... z Doliny Muminków”)
21) instrument, na którym grywał Paszczak z „Zimy Muminków”
22) dalekie ..., odwiedzone w młodości przez Tatusia Muminka
23) grywał na harmonijce, jesienią zwykł opuszczać Dolinę Muminków
27) fińskie miasto z Muzeum Muminków
28) „Kometa nad ... Muminków” (w mianowniku)
30) Ryjek to wielki ... błyskotek
33) Homek ..., nieśmiały i spokojny

Leszek Rydz

Rozwiązanie „Weekendówki” nr 210 z 20.06:

Poziamo: 6) wodoloty 8) kanadyjka 11) Rojek 12) tratwa 14) skutery 16) góry 17) Śniardwy 18) dziób 20) akrobacje 22) fale 23) nur 25) regatowcy 27) Bob 31) luz 32) Kalifornijczycy 33) rock 35) surfer 37) asy 38) sieci 39) dziecko 40) żagle 41) kitesurfing

Pionowo: 1) motorówka 2) rowery wodne 3) Rafa 4) kajak 5) narty 7) Titanic 9) James Bond 10) Hawaje 13) wodniacy 14) Sydney 15) ubiór 19) bermudy 21) aquapark 24) poliester 25) rozbrzygi 26) chojrak 27) boja 28) brzegi 29) plaża 30) śnieg 34) cadet 36) oceany 38) stery 40) Opty

Hasło: MOKRE REKREACJE

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34426992

Słowo

Wybierz słowo, sprawdzaj litery i kombinuj, aż skończą Ci się próby

Literówka

Kilka liter i jedno zadanie: ułożyć jak najwięcej słów

Jeszcze więcej rozrywki w Aplikacji Wyborczej

Szukaj 📱 w aplikacji

**Zakreślanka****Skojarzenia**

wysokie**obcasy**

wyborcza

10 / Katarzyna Kochmańska

O opiece
nad starymi
rodzicami

24 / Podróże

Zobaczyć
zaćmienie
słońca

MARTA
GALEWSKA-KUSTRA

Nie tylko
o Puciu

– rozmowa Agnieszki Urazińskiej

To nie jest kraj dla starych ludzi

**PAULINA
REITER**



Tekst, który napisała dla „Wysokich Obcasów” Katarzyna Kochmańska, pisarka, o opiece nad swoimi rodzicami, która w nagły i przerażający sposób spadła na nią, i o próbie naklonienia polskiego systemu ochrony zdrowia, by objął opieką tych starych, nieradzających sobie z życiem ludzi, był znacznie dłuższy. Musiałam nakłonić autorkę do skrótu i zrobiłam to z bólem serca, bo każde zdanie tej opowieści wydawało mi się niesłychanie ważne, ale wszystkie były nie do pomieszczenia na łamach tygodnika. Liczę na to, że Kochmańska napisze o tym doświadczeniu książkę, która stanie się zarzewiem rewolucji w sprawie opieki w wieku starym, bo wielu z nas już opiekuje się rodzicami lub ich to czeka, a kiedyś – jedni wcześniej, drudzy później – sami będziemy starzy.

To, co wypadło z tekstu, to między innymi wpisy Katarzyny Kochmańskiej, które umieszczała na Facebooku dla grona swoich znajomych. Czytałam je i w moim ciele narastało straszne napięcie, jakbym oglądała horror. Odślaniały dramat kobiety, która nagle znajduje się w sytuacji, w której ma ratować życie swoich rodziców, kompletnie odkładając swoje życie na półkę – bo opieka nad rodzicami jest zajęciem całkowicie pochłaniającym, czasochłonnym i w dodatku drenującym emocjonalnie. Kobieta ta podejmuje więc walkę o to, co powinno się rodzicom od państwa należeć.

Kochmańska pisze, jak jest: polskie państwo nie opiekuje/ nie interesuje się starymi ludźmi. Poprosiłam ją o tekst dla „Wysokich Obcasów”, bo czuję, że ta sprawa wymaga omówienia publicznego. Czy oczekiwanie, że państwo zajmie się swoimi starymi obywatelami, jest roszczeniowe? Jest fanaberią? Nie – umówiliśmy się na wspólnotę. Gdzie ona jest, gdy jej potrzebujemy najbardziej? W tym kraju można dostać demencji i żaden lekarz palcem nie kiwnie?

To, co Kochmańska bezbłędnie punktuje, to założenie, że państwo nie musi nic robić, bo kobiety oblecą tę pracę i tak. Zajmą się swoimi rodzicami, zdejną z państwa to obciążenie. Kochmańska ujawnia głęboki patriarchy, jaki stoi za tym założeniem – ciągle mamy być służącymi, opiekunkami, wykonać tę czarną robotę i zrobić to z miłością i oddaniem. Te z nas, które stać, by ktoś je zastąpił, wynajmą inne kobiety, najchętniej z Ukrainy.

Strach pomyśleć, co stałoby się, gdyby te wszystkie kobiety się zbuntowały. Odmówiły tej pracy. Gdyby powiedziały: mamy prawo oczekiwać, że państwo zadba o obywateli, którzy je budowali i już nie mają siły i zdrowia.

Zacznijmy od przerwania milczenia. Zacznijmy tę dyskusję. ▲

Jeśli ta sprawa cię dotyka, napisz do nas: listy@wysokieobcasy.pl

Paulina Reiter – redaktorka prowadząca



JUŻ W SPRZEDAŻY „WYSOKIE OBCASY EXTRA”

- **NA OKŁADCE:** Charlize Theron: Szczęśliwa w pojedynkę ■ **TEMAT NUMERU:** Zdrowie to nowy luksus
- **TWARZE:** • Nicholas Galitzine: Symbol nowej męskości • Joanna Żółkowska: Nigdy nie wyszłam za mąż • Zendaya: Cztery premiery i życie • Paulina Gałązka: Angażuje się w całości ■ **HERSTORIE.** Niewidzialne służące z Zamku Książ • Aneta Szczepańska: Życie według zasad judo ■ **PSYCHOLOGIA:** • Seks: Waniliowa czułość • Urlop bez planu • Śluby: Dlaczego odnawiamy przysięgę ■ **ZDROWIE:** Menopauza i jej 101 objawów

www.wysokieobcasy.pl



wysokieobcasy



wysokieobcasy.pl



listy@wysokieobcasy.pl

REDAGUJĄ:
Monika Tutak-Goll
– REDAKTORKA NACZELNA
Katarzyna Pawłowska
– zastępczyni redaktorki naczelnej

REDAKTORKA
PROWADZĄCA NUMER:
Paulina Reiter

KULTURA:
Paulina Reiter, Joanna Wróżyńska
URODA, ZDROWIE I KUCHNIA:
Aleksandra Lubańska-Czubak
MODA, STYL ŻYCIA:
Magdalena Kacalak

DYREKTORKA KREATYWNA:
Marta Teresa Szamburska

GRAFIKI:
Katarzyna Trzeszczkowska,
Agata Luszczyk, Dariusz Sierant

PROJEKT MAKIETY:
Jacek Utko
DZIAŁ FOTOGRAFICZNY:
Marta Błażejowska
Magdalena Stroka-Felicka
FOTOLITOGRAFIA:
Łukasz Irzyk, Mariusz Rosa
KOREKTA:
Sylvia Sasz

PRODUKCJA:
Dorota Jezerska

INTERNET:
szefowa serwisu
Magdalena Karst-Adamczyk
Natalia Mazur
Agnieszka Mularczyk
Magdalena Stroka-Felicka
Natalia Waloach
Joanna Wróżyńska
INSTYTUT DOBREGO ŻYCIA:
szefowa serwisu
Anna Woźniak
SEKRETARIAT:
Patrycja Wierzbicka

WYDAWNICTWO:
Wyborcza sp. z o.o.
PREZESKA ZARZĄDU:
Aleksandra Sobczak

LICENCJE NA TREŚCI:
licencje@wyborcza.pl
SZEFOWA WYDAŃ
SPECJALNYCH:
Karolina Jaroszewicz
DYREKTOR BIURA REKLAMY:
Marek Wilk
KIEROWNICZKA SPRZEDAŻY:
Wioletta Napurka
SZEF PROMOCJI:
Agnieszka Placek

Z-CA SZEFA PROMOCJI:
Katarzyna Stózek
DYREKTOR KOLPORTAŻU:
Michał Szalański
NAŚWIETLANIE I DRUK:
P/mint House of Print

ADRES REDAKCJI:
ul. Czerna 8/10, 00-732 Warszawa,
tel. 22 555 43 26
Redakcja nie zwraca tekstów
niezamówionych oraz zastrzega
sobie prawo do ich redagowania
i skracania.
Na stronie 28 zamieszczony jest
materiał reklamowy

„Wysokie Obcasy” nr 26 (1397)
NA OKŁADCE:
MARTA GALEWSKA-KUSTRA
FOT. MATEUSZ SKWARCZEK/
AGENCJA WYBORCZA.PL





e-mail: listy@wysokieobcasy.pl
 adres: ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa,
 telefon: 22 555 43 26

LISTY / 3

LIST TYGODNIA

Gdzie się podział seks

Jesteśmy trzy lata po ślubie i mamy dwoje dzieci. Usłyszałam ostatnio od męża, że przestaliśmy być parą kochanków, a staliśmy się jedynie rodzicami. Nie powiedział tego w złości, bardziej z tęsknotą w głosie, za czasami, kiedy byliśmy tylko dla siebie. Sama wspominam ten czas z ogromnym sentymentem. Było nam ze sobą świetnie.

Zastanawiałam się nad tym, co powiedział, i muszę przyznać, że ma rację. Nasza córeczka ma niecałe dwa lata, a synek pół roku. Są bardzo absorbujący, a ja poświęcam im każdą wolną chwilę. Ostatnio udało mi się doprowadzić do sytuacji, że oboje mają drzemkę w zbliżonych porach i to jest jedyna chwila na ogarnięcie siebie, domu, wrzucenie prania i zresetowanie umysłu, słuchając jakiegoś audiobooka. Wszystkie opowieści o cudownym macierzyństwie nijak mają się do mojej rzeczywistości.

Jestem do opieki nad dziećmi sama, mąż pomaga, kiedy wraca z pracy. Moi rodzice mieszkają daleko, więc wpadają bardzo rzadko, a do tego nadal są aktywni zawodowo, więc nie mają czasu, by nam pomagać. Rodzice męża już nie żyją. Próbowałam opiekunek, ale albo miałam pecha, albo jestem zbyt czepialska i nie potrafię zostawić dziecka z obcą osobą.

Nasze dzieci nie były wypadką. Mój mąż jest znacznie ode mnie starszy. Wiedział, że chce mieć dzieci, więc zgodził się na jedno

po drugim. Wiem, że mnie kocha i zrobi dla mnie wiele. Dzieci też już nie chciał mieć, bo te z pierwszego związku są już na swoim. Wracanie do pieluch i nocnego wstawania po tylu latach było dla niego poświęceniem.

Po tym, jak powiedział, że przestaliśmy być kochankami, przygotowałam kolację, ubrałam seksowną bieliznę, ale mieliśmy dla siebie niecałą godzinę. Synek obudził się na karmieniu, później rozbudziła się córeczka i wszystko skończyło się na obietnicach. W końcu zasnęliśmy w czwórce w naszym łóżku.

Kocham męża i on o tym wie, ale teraz przede wszystkim jestem mamą. Spełniam się w tym i nie zamierzam tego zmieniać. Pocięsam siebie, ale także męża, że jeszcze rok, półtora i już będzie lepiej. Boję się jednak, że po tym czasie zostaniemy już wyłącznie rodzicami, a bycie kochankami pozostanie wspomnieniem. Co zrobić, żeby tak się nie stało? **▲ Czytelniczka**

Odpowiedź ekspertki na WYSOKIEBCASY.PL

NAGRODY

Autorka listu otrzyma zestaw kosmetyków BANDI GOLD PHILOSOPHY oraz książkę „Połów. Czyli jak wyhaczyć przyjaciółkę” Asako Yuzuki, Wydawnictwo Literackie



OGŁOSZENIE

Teatr 6. piętro



Bess Wohl

WSPANIAŁE HORYZONTY

reżyseria Rafał Szumski

Mecenas:




Partnerzy Medialni:



MARTA GALEWSKA-KUSTRA

Pucio i miliony złotych

Kiedy się zabierałam za „Pucia”, kompletnie nie myślałam o pieniądzach. Przecież w Polsce nie zarabia się na książkach – tak uważałam

A woman with wavy brown hair and glasses is looking upwards and to the left. She is wearing a dark blue, button-up jacket with a high collar and white trousers. Her right hand is in her pocket. The background is a blurred outdoor scene with trees and flowers.

DR N. HUM. MARTA GALEWSKA-KUSTRA

mama, logopedka i pedagożka
dziecięca, pedagożka twórczości,
pisarka. Wieloletnia pracowniczka
 naukowa Akademii Pedagogiki
 Specjalnej im. Marii Grzegorzewskiej
 w Warszawie. Autorka bestsellerowych
 książek o Puciu.

Z MARTĄ GALEWSKĄ-KUSTRĄ
ROZMAWIA AGNIESZKA URAZIŃSKA
ZDJĘCIE MATEUSZ SKWARCZEK/
AGENCJA WYBORCZA.PL

n

Nie masz dość „Pucia”?

Nie. Co to za pytanie?

Jest wszędzie – w milionach dziecięcych pokoi, w księgarniach i drogeriach spada z półek.

Wciąż nie mam go dość. Nie tylko ja, na szczęście.

Pucio jest starszy od twojego syna.

Ale jemu „Pucio” też się przydał, gdy miał problemy z mową. Ustalmy, że mama nie jest od tego, żeby była logopedką własnego syna, mama służy do zupełnie innych celów. Ale ćwiczyliśmy, nawet na wakacjach. On do tej pory pamięta, że nauczyłam go mówić „r”. Ale jeśli nie syn jest pierwowzorem Pucia, to pewnie chciałabyś wiedzieć, kto.

Oczywiście.

Był w moim gabinecie dwuletni chłopiec, który nie mówił. Pochodził z dwujęzycznej rodziny. Był niesamowicie ujmującym dzieckiem, otwartym na wszystko, co mu proponowałam, i miał w sobie ogromną ciekawość świata. Pamiętam, jak postawiłam przed nim pudełko. To był element ćwiczeń, dzieci lubią takie niespodzianki. On je otworzył, a chociaż brakowało mu słów, jego „oooo” tak wiele mówiło. Tak, trochę jego miałam na myśli, pisząc o Puciu. Ale także wiele dzieci, która spotykałam w swojej pracy, a które potrzebowały pomocy.

Tamten chłopiec nie miał czerwonego nosa?

Pomidorowe noski bohaterów to już był pomysł Asi Klos, ilustratorki. Ja sobie wymyśliłam, że Pucio będzie rudym pigusem, takim zawiadackim chłopcem.

A krytycy – bo i takich masz – wyrzucają ci, że jest „idealnym dzieckiem klasy średniej”. Ugrzecznonym.

Ja spotykam się z przedstawicielami klasy średniej i nie wydaje mi się, żeby ona oczekiwała dzieci grzecznych. Widzę natomiast ogromny zwrot w stronę dzieci – ich problemów, potrzeb, oczekiwań. To coś zupełnie innego niż pamiętam z lat 80., kiedy sama byłam dzieckiem. Myśmy się wychowywali trochę obok rodziców.

Jakby mniej ważni?

Na pewno żaden dorosły nie był na dziecku tak skupiony jak teraz. Nie zajmowano się tak naszymi emocjami. Nie szafowano wyrazami miłości w stronę dziecka, co nie znaczy, że jej nie było. Myślę, że te braki moje pokolenie odrabia w roli rodzica. Ale kiedy zaczynam mówić o dzieciństwie, przypo-

minam sobie też, jak dużo miałam wtedy swobody, dziś nie spotykanej, a dla mnie wtedy tak oczywistej. Nie był to jakiś przemyślany styl wychowawczy – taki był wtedy świat. Moim najwspanialszym doświadczeniem z dzieciństwa i wczesnej adolescencji były wakacje z babcią, na wsi nad Pilicą, takiej, wiesz, prawdziwej.

Z myciem w misce i toaletą na podwórku?

Tak! W tym wychodku były pająki, których trochę się bałam. Wakacje z tamtych lat to był najwspanialszy czas. Co roku pod koniec czerwca na wieś zjeżdżały te same dzieciaki, z Łodzi, Tomaszowa. Biegaliśmy całą bandą po lasach, kąpaliśmy się w rzece, nikt nas nie pilnował. Wracaliśmy na obiad i biegłam dalej. To było nasze Bullerbyn. Mam wrażenie, że w latach 80. to było dzieciństwo z wyzwaniem.

Bo mniej nas pilnowali?

Samodzielności było więcej. Nie pamiętam, żeby rodzice nadmiernie przejmowali się lekcjami dzieci. Ale nie pamiętam też, żeby mnie chwalili. Jako dorosła zapytałam ukochaną babcię: „Czemu ty mnie nigdy nie pochwaliłaś?”. Bo słyszałam tylko, jak porównywała mnie do koleżanek, stawiała mi kogoś za wzór. Ona bardzo to pytanie przeżywała. Przecież nie chciała zaszkodzić. Tak się wtedy traktowało dzieci.

Chwalisz swego syna?

Gdy mi pokazuje efekty swojej pracy, nie mówię tylko: „Wow, super”, ale także: „Musiałeś się przy tym napracować”, „Opowiedz, jak to zrobiłeś”. Dbam, żeby miał jak najlepsze zdanie o sobie. Chwalę i mówię, że jestem z niego dumna. Staram się też pilnować tego, jak przy nim mówię o sobie. Różnice w traktowaniu dzieci kiedyś i dziś dostrzegam szczególnie jako matka. Syna urodziłam późno, gdy skończyłam 40 lat. To było macierzyństwo wyczekane. Ja przeżywam jego dzieciństwo, trochę jakbym pod lupą obserwowała obok własne. Czasami słyszę, co mówią do syna dorośli z pokolenia moich rodziców. Oni nie chcą źle. Ale gdy wspominałam, że świetnie radzi sobie z pływaniem, usłyszałam: „To jeszcze daleka droga”. Nie jestem zwolenniczką przekonywania dziecka, że może osiągnąć absolutnie wszystko, co zechce. Świat jest bardziej złożony. Ale wiem, jak trudno było się wyzwolić z tego mentalu lat 80., który sprowadzał się do „nie podskakuj”, „nie wychylaj się”. Do uczenia, że skromność to cnota nad cnotami. Ile mi czasu zajęło, żeby sobie z tym poradzić. Do tej pory miewam problem, żeby wyjść z kąta. Nauczyłam się siebie do tego zmuszać.

Ty? Dziewczyna, która sprzedała ponad sześć milionów książeczek i produktów z Puciem? Która pod względem zarobków stoi na pudle obok Remigiusza Mroza?

Ja, Łodzianka, dziewczyna z bałuckich bloków, która wciąż ma problem z głośnym powiedzeniem, że osiągnęła sukces i się z tego cieszy. I, żebyś mnie dobrze zrozumiała, to nie jest kwestia tego, że mnie rodzice wychowali jakoś wyjątkowo, bo to nie kwestia rodzinna, tylko raczej społeczna. Dorastałam w czasach dogorywającego socjalizmu, chodziliśmy w podobnych butach, a do szkoły w fartuszkach. Mówienie o sobie dobrze to było przechwalanie się. Wybijanie się z grupy nie było dobrze widziane. A pod względem pieniędzy to już w ogóle – bo to albo cwaniak, albo badylarz.

Czyli jak ci ktoś teraz gratuluje i się zachwyca, to...?

To trochę, jakby mi się nie należało. Pamiętam moją obronę doktoratu z pedagogiki twórczości na Uniwersytecie Łódzkim. Robiłam badania w szkołach alternatywnych dotyczące wspierania rozwoju twórczości uczniów. Moja recenzentka, wspaniała profesor Beata Przyborowska, mówiła mi wprost, że to świetna praca. Ja na to, że bez przesady, nic takiego. A ona: „Pani Marto, proszę przestać tak mówić. Gdyby była pani mężczyzną, pewnie by pani odpowiedziała: »To prawda, dziękuję«, a pani cały czas zaprzecza”. Skromność może iść pod rękę z docenianiem siebie. Ale tak, jak mnie jej nauczono, nie idzie. Dopiero sama musiałam to wypracować, jeszcze nie skończyłam.

Byłaś prymuską?

Gdyby część moich nauczycieli ze szkoły podstawowej dowiedziała się, że zrobiłam doktorat, to pewnie byliby zdumieni. Szkoła nie dawała mi odczuć, że jest we mnie duży potencjał, więc ja też go w sobie nie widziałam. Zresztą wartość ucznia w ówczesnej szkole mierzona była tylko stopniami. A ja byłam wtedy przeciętną uczennicą. Pamiętam, że prawdziwy oddech łapałam na zajęciach z języka polskiego, rosyjskiego, chóru szkolnego, w świetlicy, harcerstwie, gdzie czułam się po prostu wolna. Uwielbiałam też chodzić do biblioteki szkolnej. Ja załapałam się jeszcze na szkołę, w której były kary cielesne. Gdy teraz o tym z kimś rozmawiam, to się wydaje po prostu niepojęte.

Kiepskie masz chyba zdanie o szkole.

No właśnie przeciwnie. Szczególnie że w czasie robienia badań do doktoratu widziałam, jak wspaniałym miejscem może być szkoła. Patrząc na swoje życie z lotu ptaka i dochodząc do wniosku, że wszystko, co w życiu osiągnęłam, zawdzięczam edukacji. Bo to jedyna szansa dla osób, które nie wychodzą z domu z wielkimi zasobami społecznymi czy finansowymi – jak ja. Większość ludzi z mojego pokolenia to osoby bez tych zasobów. Nie miałam szerokich horyzontów, nie pochodzę z zamożnej rodziny, a szkoła podstawowa nie dała mi wiary, że jestem zdolna do czegoś szczególnego. W liceum jeszcze trochę wagarowałam, miałam włosy ufarbowane na czarno, później na czerwono. Miałam czytać Sienkiewicza, a ja zamiast tego czytałam Gombrowicza. Buntowałam się. Ale spotkałam człowieka, który dmuchał mi w skrzydła. Prof. Katarzyna Galecka uczyła biologii i to był pierwszy nauczyciel, którego sobie wyobrażałam na wakacjach z rodziną, a nie jako młotek z teledysku Pink Floyd. Pokazała, że potrafię, tylko się muszę przyłożyć. To miało dla mnie wielkie znaczenie. Zakochałam się w nauce. Wybrałam pedagogikę. I tam już byłam nerdem skupionym na nauce. Koleżanka mi kiedyś powiedziała: „Myślałam, że ty jesteś kujonką, a teraz się zorientowałam, ciebie to chyba interesuje”.

Interesowało?

I to jak! Tym bardziej że znów mi dmuchali w żagle. Miałam na studiach wspaniałych wykładowców. Później, już

OGŁOSZENIE



PRENUMERATA
Z PŁATNOŚCIĄ
CYKLICZNĄ
CO WYDANIE
KAŻDY EGZEMPLARZ
ZA JEDYNE 18,90 ZŁ



ZAMAWIASZ RAZ, A MY DOSTARCZAMY KOLEJNE WYDANIA
ZESKANUJ I SPRAWDŹ

podczas pracy na uczelni, prof. Krzysztof Szmidt, mój pierwszy szef i promotor mojego doktoratu, wspaniały nauczyciel, który wierzył w ludzi, wysyłał nas, doktorantki, na konferencje, na głęboką wodę. Wszystko, co mam, zdarzyło się dzięki edukacji i mentorom.

Sobie też chyba trochę zawdzięczasz?

Chyba po babci ze strony mamy odziedziczyłam energię życiową. Ona miała bardzo trudne życie, jako bardzo młoda dziewczyna została wysłana ze wsi za chlebem do Łodzi, mieszkała u obcych ludzi, ciężko pracowała, uczyła się, pierwsza w rodzinie zrobiła maturę. Wydaje się, że trochę tego zapału po mniej mam. No i to, co robię, to także dzięki temu napędowi wewnętrznemu, który czulam, który sprawił, że chciało mi się działać.

Czyli usiąść i napisać bestseller wart miliony?

Nawet ktoś do mnie napisał z pytaniem o radę, jak napisać książkę, na której można zarobić. A ja odpisałam, że nie wiem.

Nie wiesz?

Serio. Kiedy się zabierałam za „Pucia”, kompletnie nie myślałam o pieniądzach. Przecież w Polsce nie zarabia się na książkach – tak uważałam. W ogóle nie mogę sobie wyobrazić, że piszę książkę dla dzieci po to, żeby dobrze się sprzedała. Cieszę się, że mi to wyszło przy okazji.

Czyli jak konkretnie?

Pracowałam na uczelni, w Akademii Pedagogiki Specjalnej w Warszawie, dokąd dojeżdżałam kilka razy w tygodniu, a w Łodzi prowadziłam gabinet logopedyczny. Chciałam stworzyć materiały, które będą cieszyły dzieci i rodziców – książki metodycznie przygotowane, które będą materiałem do pracy z mową, ale także przyniosą ciekawą historię. Tak, żeby ćwiczenia stały się zabawą. Chciałam, żeby mobilizowały do interakcji z rodzicem, który czyta z dzieckiem. Cechą „Pucia” jest, że to nie tylko czytanie książki, ale rozmowa z dzieckiem.

Trochę jak instrukcja dla dorosłego, jak wspierać dziecko i się przy okazji bawić.

Książki mają trzon logopedyczny dostosowany do kolejnych etapów rozwoju dziecka – pierwsze samogłoski, sylaby, wyrazy dźwiękonaśladowcze, słowa, proste zdania, artykulacja, a w końcu narracja – „Pucio umie opowiadać”. Są też części skoncentrowane na konkretnym wyzwaniu rozwojowym nie dotyczącym mowy, jak „Pucio u lekarza”, „Pucio chce siusiu, czyli pożegnanie pieluszki”. W sumie kilkanaście książek, a do tego puzzle, zabawki, maskotki, a teraz także film i audiobooki. Kiedy szłam do wydawcy, miałam pomysł na serię. Bardzo ważne są tu ilustracje.



„PUCIA” stworzyły Marta Galewska-Kustra i ilustratorka Joanna Klos. Wyd. Nasza Księgarnia

Opowiesz o Joannie Klos?

W akademickiej księgarni w Warszawie kupowałam materiały do pracy w gabinecie logopedycznym. Zeszyty ćwiczeń nie miały nigdy ciekawych artystycznie ilustracji. Nagle, w zeszytach do głosek szumiących i syczących, znalazłam swoją ilustratorkę. Te rysunki były piękne. Wcale niełatwo było dotrzeć do Joasi, która pracowała w korporacji jako grafik. „Pucio” to nasze wspólne dzieło. Bez rysunków Joanny Klos nie byłoby sukcesu „Pucia”.

Trudno ci było przekonać „Naszą Księgarnię” do wydania książki debiutantki?

Później się dowiedziałam, że rzadko wydają debiutantów. Mój pomysł się spodobał.

Musisz być świetna w swoim fachu.

Byli lepsi. Widzisz, tu wcale nie chodzi o bycie najlepszym. Chodzi o pomysł i wiarę w niego. O dostrzeżenie jakiejś potrzeby. A potem upór w realizacji pomysłu. Zrobiłam też jedną rzecz zupełnie inaczej. Celowo zwróciłam się z pomysłem do wydawnictw literackich, a nie niszowych, terapeutycznych. Miałam też po prostu sporo szczęścia i umiałam je wykorzystywać. Zobacz, ile teraz jest książek dla dzieci pisanych przez ekspertów. Trafiłam w czas pajdocentryzmu – gdy dorośli zauważyli, że potrzeby edukacyjne dzieci, ich rozwój są bardzo ważne. My po prostu bardziej niż kiedykolwiek szanujemy dzieci i ich emocje. Oczywiście mam świadomość, że żyję w pewnej bańce, ale takich świadomych rodziców jest coraz więcej. Dobrze im z tym, że czytając, robią z dzieckiem coś pożytecznego. Słowem – trafiłam w rynek.

No to kim jest dzisiaj Marta?

Marta to 47-letnia kobieta, mama, pedagożka, która nigdy nie spodziewała się, że uda jej się zajść tak daleko. Że poznam na tej drodze tak świetnych ludzi. Nie myślałam, że uda mi się stworzyć coś, co dotrze do tak wielu osób i im się spodoba. Że uda mi się zaproponować coś, co będzie ludziom służyć. A się udało.

Udało?

Tak, wiem. Raz napisał do mnie tata dziecka, z którym czytał „Pucia”, z prośbą, bym zwróciła uwagę na słowa. Bo Pucio mówi: „Tak, udało się”. „Czy mogłaby pani zamiast tego pisać: »Dalem radę«?” Byłam zachwycona, bo to znaczy, że rodzice zwracają uwagę na język, przecież to on buduje pewność siebie dzieci. Moje pokolenie się tej pewności uczy w dorosłości. Wyobraź sobie sytuację z kwietnia tego roku: jest premiera filmu „Pucio” w Kinotece. Proszą mnie, żebym stanęła na ścianie z Małgosią Sochą, która użyczyła głosu Mamie Pucia, i z Arturem Barcisiem, który wcielił się w Dziadka Kazia. Już sama ścianka to dla mnie wyzwanie – bo przecież co ja tam robię? A na dodatek Barciś. On jest wspaniały, to wielki artysta, którego bardzo szanuję. No i stoję przed nim, ja, bardzo dorosła kobieta, i mam

problem, żeby powstrzymać się przed dygnięciem. Onieśmielona, ze łzami wzruszenia w oczach.

Co było dalej?

Artur Barciś poprosił, żebym mu podpisała książki. Dla wnucząt.

Porozmawiajmy o pieniądzach.

Zaskakuje mnie, jak pieniądze przyciągają uwagę. Te wszystkie rankingi najlepiej zarabiających pisarzy. Ktoś w komentarzach pod takim rankingiem słusznie zauważył: „To policzcie sobie, ile pisarz zarabia na jednej książce. To jest skandal po prostu”. Ale tak, mój sukces ma też wymiar finansowy. Jestem pierwszym pokoleniem w rodzinie, które dobrze zarabia. Długą drogę przeszłam, żeby pozwolić sobie na finansowy luz. Na początku naszego bycia razem robiliśmy z mężem dokładne spisy skromnych zakupów. To były jeszcze czasy studiów. Ze stypendium naukowego finansowałam naukę języka angielskiego. Później zarobki na uczelni też nie były wysokie. Trzeba było się pilnować, ale dawaliśmy radę.

Teraz szalejesz?

Skąd. Wciąż boję się szastania pieniędzmi, bo czuję, że trzeba zabezpieczać tyły. Zbieram na artystyczną emeryturę i edukację syna. Ale doceniam, bardzo doceniam wolność wyboru, jaką dają pieniądze. I uczę syna, żeby zwracał uwagę na drobne radości. Pamiętam rozmowę przy śniadaniu,

gdym mówiłam: „Zobacz, jaka piękna jajecznicca. Ile mamy tu na stole kolorów, jakie warzywa, jaki wybór. Ijemy całą rodziną. Jak to się nazywa?”. A on na to: „Tak, wiem, mama, to jest szczęście”.

Zdradz, co się zadzieje u Pucia.

Będą kolejne książki i będziemy rozwijać sprawę filmu – powstaną kolejne części, mamy 52 scenariusze. Każdy set kinowy to siedem odcinków po sześć minut. To propozycja dla dzieci od trzeciego roku życia. Na prośbę producentki, Eweliny Gordziejuk, musiałam stworzyć dokument, w którym opisyuję bohaterów i ich świat, to, co się w nim pojawia. Mogę ci więc także powiedzieć, czego nigdy nie będzie.

Czego?

Nie będzie rzeczy, które wywołują w dzieciach lęk. Za dużo jest takich filmów i książek, jakby twórcy nie potrafili pokazać prostego świata dla mniejszego dziecka bez straszenia. Nie będzie też poważnych problemów i przeszkód, które Pucio musiałby pokonywać, bo to jest bohater dla najmłodszych dzieci. Być może piszę o wyidealizowanym świecie, w którym w pełnej rodzinie wychowuje się Pucio, jego siostra i małe Bobo. Tak, wiem, że dużo jest rozstań i rozwodów. Trójka dzieci w rodzinie to teraz wyjątkowa sprawa, ale ja takie rodziny znam i myślę, że warto je pokazywać. Nie będzie też aplikacji z Puciem, bo nie o to chodzi, żeby dziecko zostało samo z tabletem. To rodzic jest najlepszą aplikacją. ▲

OGŁOSZENIE



MUZEUUM MIASTA GDYNI



Kachu Totalny

sztuka
Kazimierza
Ostrowskiego



05.07.2026 –
28.02.2027

→ Muzeum
Miasta
Gdyni

PARTNER STRATEGICZNY

PATRONAT HONOROWY

PATRONI MEDIALNI

**INVEST
KOMFORT**



Radio Gdańsk



KULTURA

wyborcza

Pismo.

Weranda

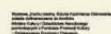
trojmiasto.pl

prestiz

ZAWAŻ
Pamiętaj

PARTNERZY TECHNOLOGICZNI

PARTNERZY



Jak zostałam złą córką

Prawdopodobnie jestem złą kobietą, a na pewno nie jestem kobietą, która chce poświęcić się bezpłatnej pracy opiekuńczej w przemocowym domu

TEKST KATARZYNA KOCHMAŃSKA
ILUSTRACJA DOROTA PIECHOCIŃSKA

1.

Do domu moich rodziców przychodzą teraz ludzie z zewnątrz. Na tym między innymi polega starość, że do twojego domu wchodzi coraz częściej obcy ludzie: lekarze, pielęgniarki, pracownice opieki społecznej. Ojciec powoli się orientuje, że coś się dzieje. Staje się jeszcze bardziej nieufny, wietrzy spisek... Kiedy zabieram mamę taksówką do geriatry, woła za mną: „Tylko żeby ci nie przyszło do głowy przelewać moich pieniędzy na inne konto!”. Macham na to ręką, nie mam siły wdawać się z moim 93-letnim ojcem w absurdalną dyskusję. Przyjechałam tu opiekować się mamą, a prawdę mówiąc, ratować jej życie. Sama ledwo żyję, uharowałam się już po pachy. Ojciec za to nabral nagle siły, podniósł się z kanapy, na której zazwyczaj leży i cierpi z powodu starości, żeby oskarżyć mnie o kradzież. Rodzice w ogóle nie zauważyli, że się nimi opiekuję. Myślą, że wpadłam na święta, zostałam kilka dni dłużej, a potem zapomniałam wyjechać.

Minęły dwa miesiące opieki nad starymi rodzicami. Do mamy przyszedł wreszcie psychiatra. Zdiagnozował alzheimera. W domu rodziców zmienił mnie brat. Wróciłam do Warszawy. Jesteśmy w stałym kontakcie, jest mnóstwo spraw do załatwienia. Nie mogę spać, a rano miota mamą wściekłość i przerażenie: co dalej? Nadal nie mamy opieki dla naszych rodziców. Namawiamy się z bratem na tę wizytę psychiatry, jakby to była wielka strategia wojenna. Każdy drobny błąd w taktyce może przynieść niepowetowane straty. Znowu zostaniemy z niczym, znowu wszystko zrzucą na nas. „Daj mi go do telefonu, jak tylko wejdzie do mieszkania”, mówię do brata. Przedstawiam się, że jestem córką swojej matki, i pokrótce wyjaśniam, jak sprawy się mają: jest to dom pełen agresji, mówiłam już o tym szczegółowo pielęgniarce, lekarzom, opiece społecznej, nikt nie reaguje, trudno tu wdrożyć jakąkolwiek opiekę, przede wszystkim dlatego, że ojciec, czyli mąż mojej mamy (bardzo to podkreślam), nie przyjmuje do wiadomości, że jego żona jest chora, nie daje dostępu do emerytury. Proszę, żeby pan z nim porozmawiał, bo my nie damy rady. Psychiatra oburza się, że chcę zrzucić opiekę nad matką na ojca. Można tak to nazwać, upieram się,

moja mama ma ciągle męża, który co prawda jest bardzo stary, jednak jest w pełni świadomy, a nie przyjmuje do wiadomości, że jego 86-letnia żona jest chora. Psychiatra jeszcze bardziej się irytuje. – Słyszałem, jak to było – mówi – rodzice zostali pozostawieni samopas, matka się przewróciła i trafiła do szpitala. – Co to znaczy „samopas”? – pytam. – Moi rodzice nie są ubezwłasnowolnieni, proszę, żeby pan porozmawiał z moim ojcem. Psychiatra z ojcem nie porozmawiał, nawet zgodził się po moich naciskach, ale ojciec, kiedy tylko przyszedł lekarz, natychmiast położył się spać i nikt nie śmiał go obudzić. Wszyscy nadal boimy się ojca, chociaż jest już bardzo stary. Kilka razy próbowaliśmy mu tłumaczyć, że mama ma alzheimera i potrzebuje opieki, ale krzyczał tylko, że niech sobie robi co chce. Mama rzeczywiście robi co chce: zimą przestała jeść i przyjmować leki, wyieńczona prawie umarła. Ojciec tego nie zauważył.

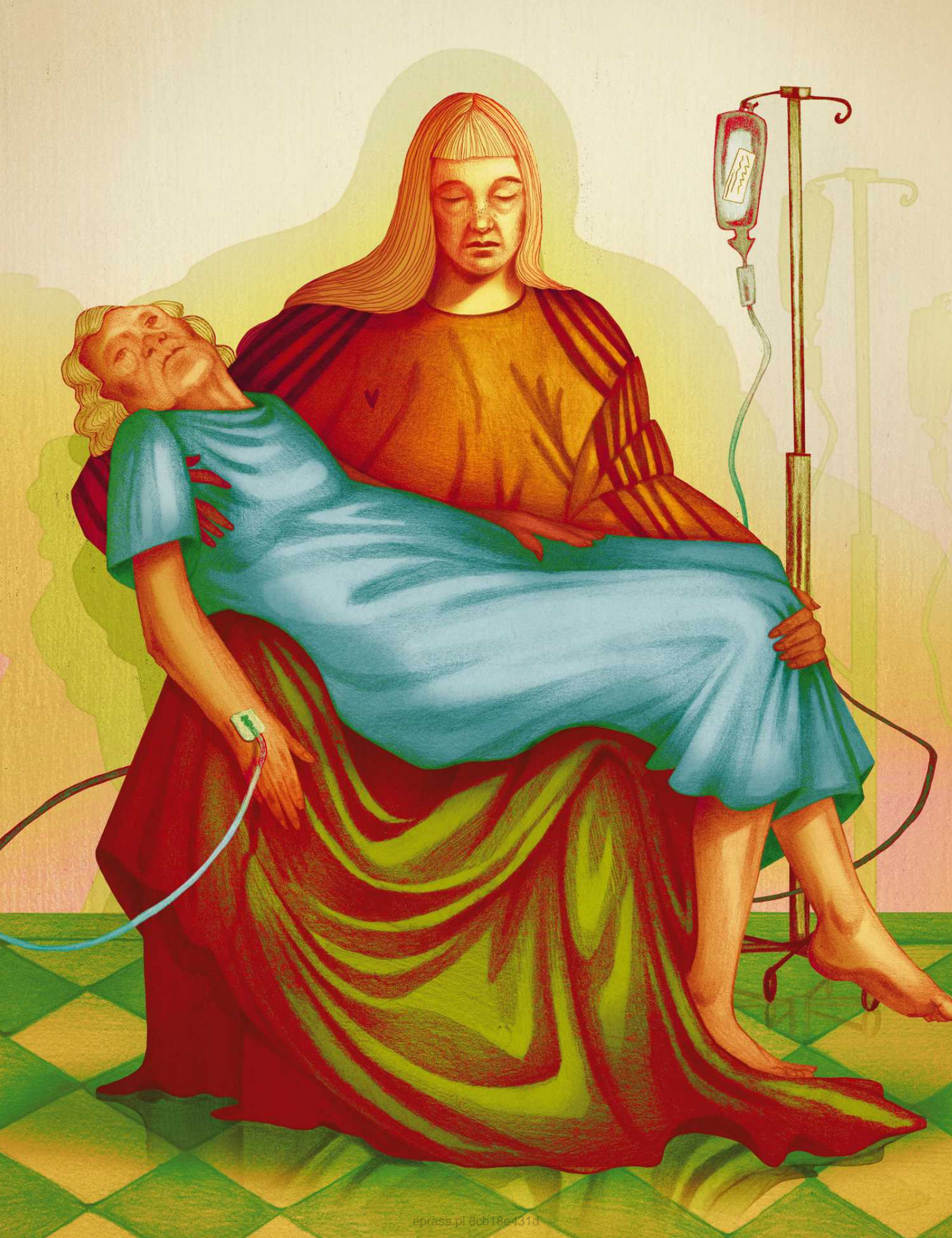
Jest jeszcze kwestia pieniędzy. Moja mama nigdy nie pracowała zawodowo, zajmowała się domem i dziećmi, a za to nie ma żadnego wynagrodzenia. Kiedy skończyła 75 lat, państwo polskie przyznało jej około 300 złotych zasiłku pielęgnacyjnego miesięcznie. Mama żyje z emerytury swojego męża; jak to podzielić na pół, wychodzi najniższa krajowa.

Żaden lekarz, nawet psychiatra, nie jest zainteresowany, aby zrobić wywiad rodzinny, poznać sytuację domową swojej pacjentki, która ma przecież zasadniczy wpływ na jej zdrowie i możliwość wprowadzenia opieki.

Dokument poświadczający alzheimera jest dla nas jedyną podstawą do ubiegania się o jakąkolwiek opiekę i świadczenia. To niebываłe, że starość nie jest w Polsce żadną podstawą do ubiegania się o opiekę państwa. Trzeba jeszcze udowodniać niepełnosprawność, jakby starość nie była już sama w sobie niepełnosprawnością. Jakby to, że ludzie nie potrafią o siebie zadbać w sposób podstawowy, nie było już niepełnosprawnością.

2.

Chciałabym uchwycić te pierwsze chwile, kiedy zaczęło do mnie docierać, że to już – od teraz moi rodzice są starzy i będą wymagać stałej opieki. To się dzieje nagle, w jednej chwili. Wszystkie fantazje o starości rodziców legną w gruzach. Sprawy, które uważałaś za załatwione, znowu się otworzą. Będziesz musiała





Najpierw moja mama urodziła bezpłatnie dwójkę dzieci i się nimi
bezpłatnie opiekowała, prowadziła bezpłatnie gospodarstwo domowe męża,
a teraz ja, jej córka, haruję bezpłatnie, aby utrzymać ich przy życiu,

bo jak nie, to państwo polskie się ze mną policzy

zając się wszystkim naraz natychmiast, bo jeśli cokolwiek odłożysz na później, to ktoś umrze. Opór i pokonywanie oporu, napierające oskarżenia...

U mnie to było tak, że pewnego wieczoru odebrałam telefon, że z mamą jest źle i powinnam przyjechać. Dopiero kilka dni potem, kiedy już byłam na miejscu, udało mi się zrekonstruować przebieg zdarzeń. Sąsiadka zaniepokoiła się, że od kilku tygodni nie widziała mamy w sklepie; przyszła sprawdzić, mama była wycieńczona, nie mogła podnieść się z łóżka, ojciec się tym nie interesował. Sąsiadka wezwała pielęgniarkę środowiskową z pobliskiej przychodni, która przyszła, zobaczyła, że owszem, jest źle, ale ponieważ mama twierdzi, że czuje się dobrze i nie chce podać numeru telefonu do swojej córki (czyli do mnie), to można ją tak zostawić. Pielęgniarka sobie poszła, nie wezwała ani lekarza, ani karetki. Sąsiadka jednak nie odpuszczała i zadzwoniła do mojego brata, który akurat był na innym kontynencie na wyjeździe służbowym. Brat zadzwonił do mojej kuzynki, która przyszła, wezwała karetkę i zadzwoniła do mnie. W szpitalu zostawiła do mnie kontakt, lekarze mieli mnie informować.

Rano byłam już w pociągu z Warszawy do mojego rodzinnego miasta (5 godzin ekspresem). Myślałam, że mama jest bezpieczna w szpitalu, w południe będę już u niej i wszystkiego się dowiem. Tak się jednak nie stało, bo moja mama: niedożywiona i z objawami demencji, została wyrzucona ze szpitala.

Byłam w szoku, kiedy weszłam z walizką do domu i zobaczyłam wycieńczoną twarz mojej matki. W szoku jestem do tej pory. Jeszcze nie wyszłam z szoku. Najpewniej w szoku pozostanę przez wiele lat.

W domu panował chaos – krew na podłodze, odchody na ścianie, zapleśniała, pusta lodówka. Mama ledwo trzymała się na nogach, nie pamiętała, że w ogóle była w szpitalu. Zagłodzona i odwodniona, nie wiedziała, co się z nią dzieje. Ojciec w ogóle nie zwracał na nią uwagi, zajmował się swoimi podstawowymi

mi problemami fizjologicznymi. Najpierw zabezpieczyłam mamę (nakarmiłam, nawodniłam, położyłam do łóżka), kątem oka sprawdzałam, czy ojciec jakoś sobie radzi, potem próbowałam się dowiedzieć: co tu się właściwie wydarzyło. W śmieciach znalazłam wypis ze szpitala. Skomplikowany dokument, z którego wynikało, że pacjentka wycieńczona, z objawami demencji, problemami kardiologicznymi, została rano wypisana ze szpitala, bo nie było wskazań, żeby ją tam trzymać. W dokumencie bardzo podkreślali, że „była nieorientowana co do swojego stanu zdrowia”... no to ją wyrzucili. Na szczęście nie na bruk, tylko do domu, ale za to bez żadnej troski o to, co się z nią potem stanie. Zadzwoniłam do szpitala, przelączali mnie w nieskończoność, aż połączenie się urwało, grochem o ścianę. Miałam do wyboru: jechać awanturować się do szpitala albo ratować życie mamy. Oczywiście wybrałam to drugie. Skontaktowałam się z pielęgniarką środowiskową, tą samą, która już u mamy była i nie udzieliła jej pomocy.

3.

– To pani nie wiedziała? – oburzała się pielęgniarka, kiedy przyszłam do przychodni. – Nie, nie wiedziałam, a skąd miałam wiedzieć? – powiedziałam. Pielęgniarka też nie wiedziała, bo nie interesowała się swoimi pacjentami. Od lekarza rodzinnego dowiedziałam się, że moja mama w związku ze złymi wynikami badań krwi i zaburzeniami pamięci dostała zlecenia na szereg badań specjalistycznych, których najwyraźniej nie zrobiła; recepty na leki, których najwyraźniej nie wykupiła (więc ich nie zażywała), a w przychodni nie pojawiała się od kilku miesięcy. W rezultacie doprowadziła się do skrajnego wycieńczenia. Zebrałam dokumentację i chciałam już do niej wracać, jednak jeszcze chwili-

łę została, bo mnie zatkało... Nagle pielęgniarka z lekarzem zaczęli mnie oskarżać, że zły stan mojej matki to wyłącznie moja wina i są na to paragrafy. Wstrząsnęło mną to. Powiedziałam, że sobie w ogóle nie życzę takich oskarżeń, najpierw może niech się dowiedzą, jaka jest moja sytuacja rodzinna. Nie byli zainteresowani, nadal mnie oskarżali. Zapytałam, czy lekarza nie zaniepokoiło, że jego 86-letnia pacjentka z objawami demencji nie robi zleconych badań i w ogóle nie ma z nią kontaktu? Nie mieli sobie nic do zarzucenia, twierdzili, że się uchylam od opieki nad matką. Od niczego się nie uchylałam, właśnie się nią zajmowałam. Domagałam się dla niej opieki medycznej; co więcej, prosiłam, aby wdrożono pilnie instytucjonalną codzienną opiekę, bo moja mama jest stara i sobie nie radzi. Nie wierzyli własnym uszom, najwyraźniej po raz pierwszy spotkali się z córką, która się czegoś domaga i nie chce natychmiast poświęcić się całodobowej opiece nad matką. Kiedy pielęgniarka zorientowała się, że szantaż moralny na mnie nie działa, wcisnęła mi kontakt do prywatnego opiekuna. 7-8 tysięcy miesięcznie i sprawa jest załatwiona. W zaufaniu szepnęła mi, żebym sobie nie zawracała głowy szukaniem jakiejś opieki społecznej dla moich rodziców, bo takiej nie dostanę, trzeba zapłacić prywatnie. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że pielęgniarka miała rację, państwo polskie nie zamierzało przyznać mojej mamie opieki.

4.

Do takich rozmów powoli zaczęłam się przyzwyczajać. Strasznie mnie, że jeśli natychmiast nie poświęcę się opiece nad rodzicami, to będą sankcje. Odbiorą mi wszystkie moje pieniądze i się ze mną policzą. Pielęgniarka powiedziała, że będzie sprawdzać; jeśli zauważy, że moja mama nie przyjmuje leków, to mnie zgłosi (nie wiem gdzie).

Sprawdziłam, nie ma takich przepisów. Nie ma prawa, które by mi nakazywało osobistą opiekę nad rodzicami. Są przepisy alimentacyjne, ale to inna sprawa, moi rodzice nie żyją w niedostatku finansowym. Wszyscy jednak mnie zastrasza. – Muszę panią poinformować, że pani prawnym obowiązkiem jest opieka nad rodzicami iłożenie na ich utrzymanie – powiedziała pracownica opieki społecznej, kiedy zadzwoniłam z prośbą, aby ktoś wreszcie przyszedł, sprawdził sytuację w domu i wdrożył opiekę. Potem próbowała mnie zniechęcić, informując, że to jest płatne (dopiero po 95. roku życia jest bezpłatna, ale niewiele osób dożywa), 50-70 złotych za godzinę, w zaufaniu może mi powiedzieć, że prywatnie będzie taniej. Wyjaśniałam, że nie stać mnie na prywatną opiekę, moich rodziców też nie stać. Kluczowe jest, żeby ktoś kompetentny przekonał mojego ojca, aby ten dał dostęp do emerytury. Trzeba to wszystko wyliczyć i sprawdzić, ile mogą zapłacić za opiekę, żeby jeszcze mieli na rachunki i jedzenie. Nie było żadnej reakcji.

Po jeszcze wielu telefonach, zastraszaniu i zniechęcaniu mnie przed kolejne osoby, wreszcie przyszli. Rzucili okiem i powiedzieli, że żadnej pomocy nie będzie. Rodzice są „chodzący” i mają dzieci, więc powinnam się zabrać do roboty. Pożałowałam, że w ogóle przez te ostatnie tygodnie pracowałam, aby wyprowadzić rodziców z zapaści. Było to błędne koło. Nie opiekujesz się – źle, opiekujesz się – nic się nie należy, haruj dalej. Stało się jasne, że wszystkie instytucje państwowe chcą szantażem

moralnym i groźbą w postaci urojonych sankcji prawnych wymusić na mnie całkowite poświęcenie się opiece nad rodzicami.

Czyli wracamy do podstaw – bez bezpłatnej opiekuńczej pracy kobiet państwo polskie nie funkcjonuje. Ludzie umierają na ulicach albo w domach, w ukryciu. Czytałam o tym w pismach feministycznych, a teraz sama tego doświadczam. I się nie zgadzam. Buntuję się. Najpierw moja mama urodziła bezpłatnie dwójkę dzieci i się nimi bezpłatnie opiekowała, prowadziła bezpłatnie gospodarstwo domowe męża, a teraz ja, jej córka, haruję bezpłatnie, aby utrzymać ich przy życiu, bo jak nie, to państwo polskie się ze mną policzy.

Po całym dniu ciężkiej opiekuńczej pracy doszorowuję jeszcze kuchnię, kiedy wchodzi ojciec i uśmiecha się z zadowoleniem. „Miło popatrzeć – mówi – krzątasz się po tej kuchni zupełnie jak kiedyś twoja matka”. Szlag mnie trafił. Natychmiast przestałam.

Następnego dnia przekazałam bratu dokumentację medyczną, zeszyty z adresami, telefonami, nazwiskami, zalecenia, zlecenia, instrukcje, wytyczne, torby leków, mopy, ścierki, ceraty... i spakowałam walizkę. Uratowałam już życie mamie, teraz wracam do siebie, do swojego życia.

Niestety czytanie książki Mony Chollet „Nie dać się poczuciu winy. O tym, co nam przeszkadza w życiu” w niczym mi nie pomogło. Zresztą nie ma tam rozdziału o wymuszaniu na kobietach poczucia winy, aby te przejęły całą opiekę nad starymi rodzicami. Jest rozdział o obciążaniu kobiet poczuciem winy w okresie macierzyństwa, ale tego się nie da porównać. Wróciłam po dwóch tygodniach, aby dalej harować i drażnić temat ubiegania się o opiekę państwa. Brat już się zorientował, jaka to ciężka praca (opiekuńcza), i naciskał, żebym przyjeżdżała tu co drugi tydzień. Powiedziałam, że nie ma takiej możliwości. Uniósł się, że co ja sobie myślę, on nie przejmie całej opieki, i zdziwił się, kiedy usłyszał, że wcale tego od niego nie oczekuję – trzeba znaleźć opiekę dla rodziców z zewnątrz; jeszcze nie wiem jak, ale się dowiem. Do tej pory się nie dowiedziałam.

Wtedy zauważyłam, że ja się zachowuję nietypowo. Nie wyklócam się z bratem, kto ma się opiekować rodzicami, w ogóle tego od niego nie oczekuję. Domagam się, żeby państwo polskie się nimi zajęło, bo mama sobie na to zapracowała i jej się należy godna opieka wyspecjalizowanych osób. Nie działają na mnie wymuszenia wynikające z boskiego lub naturalnego prawa, które nakazuje poświęcić się osobistej opiece nad rodzicami, żeby im podziękować za sprowadzenie na ten świat. Służby państwowe zmieniły wobec mnie taktykę, nagle wszyscy przyjęli ton protekcyjny: „Tak, rozumiemy, to trudne, ale jeszcze chwila i się pani wszystkiego nauczy i przystosuje”.

Nie chciałam się przystosować. Przeszukiwałam Internet, ale trafiałam tylko na chaotyczne, sprzeczne informacje. Rząd polski udzielał mi porad psychologicznych i motywacyjnych: trzeba odpoczywać i ładować baterie. Dopiero potem dotarło do mnie, że rządowej strony z konkretnymi informacjami nie ma, bo starość nie jest w Polsce żadną podstawą do tego, aby uzyskać opiekę; trzeba jeszcze udowodnić dodatkową niepełnosprawność.

Wtedy właśnie przyszedł psychiatra i zdiagnozował u mamy alzheimera – szczęście w nieszczęściu. Przerazenie i laska. Może teraz państwo polskie przyzna mamie opiekę.

Psychiatra wysłał pismo do opieki społecznej, że konieczne jest wdrożenie codziennej opieki nad pacjentką. Nikt się nie pojawił, nikt nie reagował.

Postanowiłam, że czas na radykalne kroki. 2 maja, w święto flagi państwowej, zadzwoniłam na całodobowy interwencyjny telefon kryzysowy, przedstawiłam się i opowiedziałam, jaka jest sytuacja: kobieta z alzheimerem, bez pieniędzy, potrzebuje pilnie codziennej opieki od państwa polskiego. Nie dało się już mnie zbyć, uruchomiono procedury i przekazano sprawę opiece społecznej (tej samej, która już wszystko wiedziała i odmówiła pomocy). Poprosiłam brata, żeby go w ogóle nie było w domu. Niech służby wejdą i sami spróbują się z nimi dogadać, bez naszej asysty. Kiedy przyszli, ojciec po raz pierwszy zainteresował się sytuacją i stanął na wysokości zadania: powiedział, że nic się tu złego nie dzieje, świetnie sobie radzą. Opieka społeczna podsunęła moim starym rodzicom dokument o zrzeczeniu się roszczeń do przyznania opieki, a rodzice chętnie go podpisali.

Zaczęliśmy z bratem trudną procedurę ubiegania się o świadczenia pieniężne „na alzheimera” dla naszej mamy, nie mamy już siły.

5.

Złą córką jestem od dawna i prawdę mówiąc, uratowało mi to życie; wolałabym oczywiście być dobrą córką, ale to nie w mojej rodzinie. Prawdopodobnie jestem też złą kobietą, a na pewno nie jestem kobietą, która chce poświęcić się bezpłatnej pracy opiekuńczej w przemocowym domu.

Szukam tekstów, które chociaż w niewielkim stopniu opisywałyby moje obecne doświadczenie. Znajduję eseje Renaty Bożek („Dzienniki opiekunki”), które ukazały się w literackim magazynie internetowym „Pole”. Bożek znakomicie i szczerze opisuje ambiwalentne uczucia, które się wtedy wytwarzają. Czułość do starej matki miesza się z niechęcią do niej, a nawet życzeniem jej śmierci.

Pamiętam, jaki opór wzbudziła trzy lata temu w polskim literackim „komentariacie”, książka Didiera Eribona „Życie, starość i śmierć kobiety z ludu”, gdzie autor opisuje doświadczenie opieki nad starą matką w domu pełnym agresji. Przemocy, jakiej Eribon doświadczył od swojej rodziny, nikt nie zauważył, większość komentujących oskarżała go o brak empatii dla matki.

tym pozierać i przede wszystkim nie powielać przemocy. Kiedy po latach walki o swoje miejsce w rodzinie – bez przemocy, zorientowałam się, że sytuacja w domu się nie zmieni, uszanowałam wolę rodziców i ograniczyłam kontakty z nimi. Dzwoniłam, aby po głosie matki orientować się, czy jakoś sobie radzi, czy może już nie i trzeba ją ratować; co dwa miesiące przyjeżdżałam na kilka dni, aby sprawdzić, czy jeszcze się nie pozabija. Poddawałam się nawet iluzji, że jest to wspaniała, kochająca rodzina. Wszystko i tak kończyło się piekielną awanturą i sugestią, abym się tu więcej nie pokazywała, skoro nie akceptuję ich agresywnego sposobu życia (oczywiście sami tego tak nie nazywali). Wracalam uparcie, chociaż wielu przyjaciół mi odradzało, ale mówiłam sobie: to moi rodzice, innych nie mam, nawet rodzice nie odbiorą mi prawa do tego, aby mieć rodziców. W końcu zauważyłam, że ojciec jest już stary, chociaż nadal agresywny (starość w tym nie przeszkadza), a mama traci już siły, aby się nim w tych warunkach opiekować. Trochę pomagałam jej przy tej opiece, ale przede wszystkim wypytywałam, czy sama chodzi do lekarzy, robi badania, przyjmuje leki. Oburzała się, że przecież nie jest głupia, dba o siebie. Okazało się, że tak nie było, od dawna już o siebie nie dbała, zajmowała się wyłącznie agresywnym mężem. Zimą w końcu położyła się do łóżka i przestała jeść... Przeoczyłam ten moment.

Institucje państwowe i społeczne, poza tym, że w ogóle nie dostrzegają starych ludzi, nie widzą też przemocy w rodzinie, której podlega stara kobieta i jej dzieci usiłujące jej pomóc.

Zaczęłam się znowu zastanawiać, dlaczego przemoc w rodzinie jakoś dziwnie znika, kamufluje się, nikt jej nie zauważa.

Kiedy stykałam się z oporem instytucji państwa, aby udzielić rodzinie pomocy, z początku naiwnie myślałam, że chodzi tu o nieopadłość, brak kwalifikacji, ale nagle dotarło do mnie, że tak nie jest.

Chodzi o to, o co zawsze chodziło. Nieodpłatna domowa praca opiekuńcza (głównie kobiet) jest podstawą gospodarki. To, co się wydarza w domu, czyli w przestrzeni prywatnej, musi pozostać w ukryciu, aby nie ujawniło się w sferze publicznej. Krótko mówiąc: niech bije, aby tylko chodził do taniej pracy... To, co się dzieje w domu, to tylko środki dyscyplinowania kobiet, aby system działał.

Domagając się opieki dla mamy od instytucji państwowych, domagam się tak naprawę, aby państwo polskie zapłaciło wresz-

Nadszedł moment mojej opieki nad starymi rodzicami.

Wygląda jeszcze bardziej przerażająco, niż to sobie wcześniej wyobrażałam,

a to dopiero początek tej strasznej podróży.

Nie wiem, jak im pomóc; nie wiem, jak pomóc sobie

Powrót do agresywnego domu, aby zająć się starymi rodzicami, jest niewyobrażalnie trudnym doświadczeniem. Szczególnie jeśli wszelkie instytucje państwa, zamiast pomagać, utrudniają i oskarżają.

Moje dzieciństwo, chociaż dostatnie, było przepelnione codziennym napięciem i strachem. Były też oczywiście wspaniałe chwile, było ich całe mnóstwo, ale teraz trudno mi je sobie przypomnieć, na pewno jeszcze wrócą i przyniosą więcej cierpienia. Moje dorosłe życie to wieloletnia praca terapeutyczna, aby się po-

cie mamie za pracę opiekuńczą, którą wykonywała przez lata bezpłatnie, podtrzymując w ten sposób gospodarkę. Domagam się więc rzeczy niemożliwej, chcę podważyć sam system. Praca opiekuńcza ma pozostać w sferze domowej i być nadal nieodpłatna, inaczej gospodarka się zawali. Przemoc, która się rozgrywa w domu, jest po prostu częścią systemu, dlatego właśnie jest niewidzialna, nie może się wydostać na widok publiczny, bo wtedy nie będzie już pieniędzy na zbrojenia napędzane strachem przed wojną. Żona jest własnością swojego męża, pracuje dla nie-

go bezpłatnie, aby mężczyzna mógł pracować na zewnątrz już odpłatnie (ale w jego pensji nie uwzględnia się pieniędzy dla żony na emeryturę). Kobieta pracuje za wikt i opierunek bez żadnego prestiżu, a jak się buntuje, to trzeba przywrócić ją do porządku; cierpią też dzieci, które widzą, jak ich matka jest poniżana, ale w ten sposób uczą się zasad, na których opiera się system gospodarczy. Przemoc domowa jest składową systemu państwowego, a pomnażanie zysków oparte jest na bezpłatnej pracy kobiet w domu. Mężczyzna jest w tym domu mniej lub bardziej łagodnym strażnikiem. Zobaczyłam to bardzo wyraźnie.

Pewnie są kobiety, które w domu chcą pozostać i wykonywać pracę opiekuńczą, może nawet nie doświadczają przemocy ze strony męża, ale i tak powinno się im za tę pracę płacić – co jest oczywiście niemożliwe, bo system gospodarczy by się zawalił.

Institucje państwowe z niepokojem zauważyły, że sprawiam problemy, nie chcę się podporządkować. Nie chcę siedzieć cicho i opiekować się bezpłatnie rodzicami. Znajdują wreszcie sposób, aby przywrócić mnie do porządku.

Dzwonią do mnie z opieki społecznej, że w związku z tym moim zgłoszeniem muszą jednak przyjść do mojego ojca i powiadomić go, że córka twierdzi, że on się znęca nad żoną; tyle mogą dla mnie zrobić. Zmroziło mnie, nie tego się domagałam. Domagałam się profesjonalnej, wyspecjalizowanej opieki dla mamy. Powiedziałam, że się na to nie zgadzam, bo wtedy na pewno już nie będę mogła pomóc matce, ojciec mnie nie wpuści do domu. W ogóle rezygnuję z ich usług.

I o to właśnie chodziło, żeby wreszcie do mnie dotarło. Od początku mi mówili, że nie uzyskam żadnej opieki dla mamy, i właśnie ostatecznie mi to udowodnili. Przemoc pozostała w ukryciu, czyli w rodzinie.

Szukam jakiejś siły i godności w tej dramatycznej sytuacji. Nagle dociera do mnie, że przecież na swoją mamę mogę spojrzeć jeszcze inaczej. Moja mama z tym swoim alzheimerem jest rewolucjonistką! To ona odmówiła w końcu bezpłatnej pracy opiekuńczej, przez co system dostał zadyszki. Zaczął robić wszystko, żeby się samo-naprawić. Nawet ojciec zauważył, że coś przestało działać. Powiedział do mnie zaniepokojony: – Nie wiem co się dzieje, ale twoja mama przestała być dla mnie partnerką, wszystko się sypie, bo ona nic nie robi.

Ojciec po raz pierwszy w życiu zauważył pracę wykonywaną przez swoją żonę – zauważył jej brak.

Patrzę teraz na swoją mamę z podziwem, ale też ze smutkiem i przerażeniem. Tego aktu rewolucyjnego dokonała niemal kosztem swojego życia. Po prostu się położyła i przestała jeść. Był to strąk głodowy. Typowy sposób protestu grup uciskanych.

Ojciec, kiedy zawiesiła się opieka nad nim, zaraz uruchomił „tryb awaryjny”: podreptał (z trudem) do sklepu kupić sobie cebulową, czipsy i Mirindę, znalazł ostatnie czyste ubranie, pozamiatał wokół siebie. Zajął się sobą, bo przecież nie przejął za mamę tej całej trudnej pracy opiekuńczej, za to nikt nie płaci. Nie odwzięczył się mamie za opiekę. Być może nie miał nawet pojęcia, jak to zrobić.

...Wtedy ja przyjechałam, aby ją uratować i podtrzymać system swoją darmową pracą opiekuńczą.

Doszliśmy więc z bratem do takiej sytuacji, że rzeczywiście jedynym sposobem, aby pomóc mamie, jest zapłacić prywatnie, bo opiekuńcza praca nas przerasta. Wtedy dowiedziałam się, że system opieki radzi sobie jeszcze inaczej: opiera się na niskopłatnej pracy opiekuńczej „Ukrainek Aniołów”. Gdyby nie kobie-

ty z Ukrainy, które zjechały tu z powodu wojny, to starzy ludzie w Polsce by na pewno umierali po domach.

W książce Eribona znalazłam jeszcze jeden temat, który trzy lata temu wydał mi się ważną wskazówką na przyszłość. Dbалоć o wolę i podmiotowość matki, żeby jej do niczego nie zmuszać, szczególnie w sytuacji, kiedy jest słaba i bezbronna.

Niestety wewnętrzny przymus respektowania woli matki wbił się zardzewiałym klinem w moje ciało i zablokował moje działania, aby jej pomóc.

Matce głos się łamie i zaczyna się irytować, kiedy mówię, że trzeba wprowadzić opiekę z zewnątrz. Absolutnie się na to nie zgadza, nie życzy sobie, aby ktoś się „płatał po jej domu”. Jest panią swojego domu, stanowi o sobie, jest samodzielna. Próbuję argumentować, przekonywać, ale nagle serce mi łomocze, ciało zaczyna mnie boleć – na coś reaguję, jeszcze zanim dociera to do mojej świadomości. Większość mojego życia widziałam, jak ojciec łamał jej wolę, nie chcę do tego ręki przykładać.

Mama jest gotowa doprowadzić się do skrajnego wycieńczenia, byle tylko nie przyznać, że potrzebuje pomocy – to by ją złamało. To jakiś paradoks psychologiczny, który się wytwarza u osoby poddawanej systematycznej, wieloletniej przemocy: matka musi podtrzymywać iluzję, że stanowi sama o sobie, a ty jako jej dziecko nie jesteś w stanie jej tej iluzji złamać. Bo to cię zabija.

Moja mama zdysocjowała. Napięcie w jej domu było tak silne, że przestała czuć. Kiedy ktoś jej próbuje tę iluzję zburzyć, broni się, jakby jej życie od tego zależało. Bo zależy.

Paradoks polega na tym, że respektowanie woli matki staje się nowym wymiarem przemocy rodziny wobec mnie. Doszłam już do ściany. Co mam niby zrobić w takiej sytuacji? Zostawić ją, niech umrze? – nie zniosłabym tego, poczucie winy by mnie zabiło. Sama się nią codziennie opiekować w tym chaosie i agresji, zrezygnować ze swojego życia? – to też by mnie zabiło.

Nadszedł moment mojej opieki nad starymi rodzicami. Wygląda jeszcze bardziej przerażająco, niż to sobie wcześniej wyobrażałam, a to dopiero początek tej strasznej podróży. Nie wiem, jak im pomóc; nie wiem, jak pomóc sobie. Państwo polskie w ogóle nie zauważa starych ludzi, nie bierze pod uwagę, że starość to bezradność i cierpienie, zmusza kobiety do bezpłatnej pracy opiekuńczej w poniżających warunkach oraz chroni systemowo przemoc w rodzinie. To już jest pewne. ▲



KATARZYNA KOCHMAŃSKA

– pisarka, feministka, scenarzystka. Autorka powieści „Nieuprzejmość” (wydawnictwo Krytyki Politycznej, 2018). Absolwentka teatrologii na UJ, scenariopisarstwa w PWSFTviT w Łodzi, Gender Studies w PAN. Prowadzi blog wokół filmów i literatury na Substacku oraz autorski Klub Książki w „Uśpionej Księgarni” na Pradze-Północ w Warszawie


 Connie Converse
w 1955 roku

Cztery ucieczki Connie Converse

Wyszła z domu, bo chciała zniknąć. I udało się: do dziś nikt nie wie, co się z nią stało

TEKST PRZEMYSŁAW GULDA

Jest sierpień 1974 roku, Concord, stolica stanu New Hampshire. Choć stolica, to tak naprawdę małe, senne miasteczko, równie urocze, co nieznaczące zbyt wiele dla nikogo, poza jego mieszkankami i mieszkańcami. Przed jednym z domów stoi zaparkowany garbus. Drzwi są otwarte, wokół pojazdu kręci się pięćdziesięcioletnia kobieta. Nerwowo układa na tylnym siedzeniu kolejne walizki, paczki i pudełka. Zaraz zamknie furtkę, wsiądzie do auta i wyruszy w drogę. Nikt nigdy więcej już jej nie zobaczy. Albo inaczej: ci, wśród których być może toczyło się czy

toczy jej dalsze życie, nie opowiedzą nikomu, że ją poznali.

Tak kończy się oficjalna wersja tej historii, opowieści o kobiecie, której nie zawsze udawało się realizowanie najważniejszych życiowych planów, a jednak zawsze miała odwagę rzucić wszystko i zacząć od nowa, w zupełnie innym miejscu, w zupełnie inny sposób. Nie wiedziała nawet, że kiedyś, po wielu latach, stanie się wzorem dla wielu osób, dowodem na to, że warto robić dobre rzeczy, nawet jeśli świat зда się ich w ogóle nie potrzebować. Bo nigdy nie wiadomo, kiedy potrzebować ich zaczniesz i kiedy się nimi zachwyci.

Dopiero dziś, pół wieku później, świat odkrył, że ta kobieta w depresji, która gar-

busem po raz kolejny uciekała od swojego dotychczasowego życia, nagrała jedne z najbardziej poruszających piosenek swojej epoki. Epoki, w której nikt jeszcze w zasadzie nie nagrywał takich piosenek. Dopiero kilka, kilkanaście lat później faceci, którzy poszli wskazaną przez nią drogą, staną się legendami. To oni trafią na pierwsze strony muzycznych i nie tylko muzycznych gazet, to ich oklaskiwac będą tłumy na największych koncertowych arenach świata, to oni odbierać będą nagrody prestiżowych nagród, to o nich będą niezliczone książki i filmy.

A o niej słuch zaginie na wiele lat. Zostanie tylko kilkanaście zagubionych piosenek, listy, które napisała tuż przed swoją

ostateczną ucieczką, i legenda zapomnianej, nieznannej pionierki singer/songwritingu. Legenda, którą ostatnio podsycił Jack White, ceniony artysta, jedna z najważniejszych postaci sceny muzycznej pierwszej ćwierci XXI wieku. Niedawno nakładem swojej wytwórni, Third Man Records, opublikował pełne, bogate wydanie zbiorcze wszystkich znanych piosenek, które po niej zostały. „Wszystkich” oznacza w tym przypadku, że do dotychczas znanych 18 utworów doszły jeszcze dwa, odkryte niedawno, umieszczone na dodatkowym winylowym siedmiocalowym singlu. To znakomita okazja, żeby przypomnieć sobie, kim była Connie Converse, i zastanowić się, czemu świat usłyszał o niej dopiero bardzo długo po tym, kiedy usłyszeć powinien.

UCIECZKA PIERWSZA: SAMODZIELNOŚĆ WAŻNIEJSZA NIŻ SPOKÓJ

Connie urodziła się jako Elizabeth Eaton Converse w 1924 roku w bardzo religijnej rodzinie baptystów. Bardzo wczesnie uznawana była za wyjątkowo utalentowane dziecko: w szkole dostawała nagrody, bez trudu można było zauważyć jej muzyczne inklinacje. To pierwsze cieszyło rodziców, drugie – dużo mniej. Co gorsza, szybko okazało się, że to dziewczyna bardzo samodzielna i zbuntowana. Owszem, dostała stypendium do poważanego college’u, ale wytrzymała tam tylko dwa lata. To była jej pierwsza wielka ucieczka: spakowała całe swoje dotychczasowe życie i wyjechała do Nowego Jorku, by zacząć wszystko od nowa, na dodatek zupełnie inaczej niż do tej pory.

I udało jej się to znakomicie: prowadziła samodzielne życie, zanim zaczęto na to pozwalać kobietom, mieszkała w Greenwich Village, zanim ta dzielnica stała się mekką beatników, pracowała w dzień, żeby korzystać z wolności w nocy, zanim taki model stał się modny w Nowym Jorku, a potem w licznych metropoliach na całym świecie. Porzuciła oficjalne imię i kazała mówić na siebie Connie. I najważniejsze: zaczęła pisać piosenki, bo to zawsze ekscytowało ją dużo bardziej niż nauka w szkole i cokolwiek innego. Grała je dla znajomych, z gitarą w ręku, wzbudzając entuzjazm. I jeszcze jedno: zaczęła palić papierosy i pić alkohol. Ani jedno, ani drugie zdecydowanie nie licowało w tamtych czasach z reputacją porządną kobiety. I było też kropłą, która przelała czarę w jej, i tak już napiętych, re-



Connie w 1958 roku w Nowym Jorku.
Obok w telewizji CBS, 1954 rok

lacjach z rodziną. Religijny ojciec nie mógł tego znieść i zerwał z nią kontakt.

DZIEWCZYNA Z GITARĄ

Converse chciała poświęcić się karierze muzycznej. Ale to jeszcze nie były czasy, że w każdej piwnicy Greenwich Village była sala koncertowa, a tłumy publiczności i dziennikarzy chętnie je odwiedzały, szukając nowych gwiazd, objawień, proroków. Converse sama musiała wykuwać ścieżkę, która dopiero za kilka lat będzie przetartym szlakiem.

Za wszelką cenę próbowała grać swoje piosenki na żywo, żeby ludzie mogli je poznać. Pomógł jej w tym Gene Deitch, znajomy artysta grafik, który zachwycił się jej twórczością. Najpierw zaprosił ją do prowadzonego przez siebie salonu artystycznego, gdzie zagrała bardzo ważny koncert – nie tylko dlatego, że takie występy należały wtedy do rzadkości, ale także z innego znaczącego powodu: Deitch nagrał koncert, co kilka dekad później okazało się kluczowe do ponownego odkrycia jej talentu.

Kilka miesięcy później po raz kolejny zrobił coś, co mogło rozpędzić jej karierę: załatwił jej występ telewizyjny w programie „The Morning Show”, prowadzonym przez bardzo popularnego Waltera Cronkite’a. Gospodarz zadał jej kilka pytań, zaśpiewała i zagrała na gitarze. Przynajmniej tak głosi legenda, bo występ – jak wszystkie ówczesne telewizyjne programy emitowane na żywo – nie został nagrany. Zostały po nim tylko... trzy fotografie, które ktoś zrobił po prostu z te-



lewizyjnego ekranu. Widać na nim młodą, pewną siebie dziewczynę w mało efektownej, ciemnej sukience, z elegancką fryzurą i gitarą w dłoniach. Tylko tyle. To był wielki moment dla kobiecego singer/songwritingu, który jednak nigdy nie przyniósł efektu, który przynieść powinien. Świat najwyraźniej nie był jeszcze na to gotowy.

UCIECZKA DRUGA: STANY PRZECIWKO CZARNEJ MNIEJSZOŚCI

Converse nie mogła znieść tego, że nie może się przebić ze swoją sztuką. Próbowała jeszcze wiele razy – w 1956 roku weszła do studia i nagrała kilka piosenek dedykowanych jednemu ze swych braci. To też nie chwyciło. Przyszł czas na jej drugą wielką ucieczkę. W 1961 roku spakowała swój dobytek i wyjechała z Nowego Jorku, całkowicie porzucając mrzonki o karierze muzycznej.

Wielką ironią i niesprawiedliwością historii jest to, że niemal dokładnie w tym samym momencie do miasta wprowadził się dwudziestolatek z bujną czupryną, genialnymi pomysłami muzycznymi i głosem, którego barwa dla wielu osób do dziś jest co najmniej kontrowersyjna. Bob Dylan. To właśnie wtedy odbyło się jego legendarne spotkanie z muzycznym guru tamtych czasów, Woodym Guthrie'em, na którym schorowany mistrz symbolicznie przekazał mu pałeczkę w sztafecie wielkich postaci amerykańskiej muzyki. To właśnie wtedy młody artysta zaczął występować w nowojorskich piwnicach i zdobywać gigantyczne uznanie i popularność. To właśnie wtedy zaczynał być legendą.

Converse nigdy nie było dane nic z tej listy. Wyjechała do Ann Arbor w stanie Michigan, akademickiego miasta, gdzie działał prestiżowy uniwersytet. Jej brat był tam cenionym wykładowcą nauk politycznych, a ona zaczęła od stanowiska sekretarki, ale bardzo szybko związała się ze środowiskiem redakcji ważnego politologicznego periodyku „Journal of Conflict Resolution”.

Szybko zauważono tam jej niewykorzystane dotąd talenty i kompetencje: najpierw zaproponowano jej pisanie tekstów, a potem została redaktorką pisma. W kolejnej odsłonie swego życia stała się więc aktywistką wypowiadającą się w sprawach narastającego w Stanach konfliktu rasowego – jednoznacznie stawiała po stronie czarnoskórych obywateli i obywateli, domagających się swoich obywatelskich praw. W czasie, kiedy ten problem stał się jedną z najważniejszych spraw w kraju – w latach 1968-69 – opublikowała manifest, który dla wielu osób stał się przewodnikiem w trudnym momencie. Converse równolegle atakowała w nim rasizm białej części społeczeństwa i fakt, że państwowy aparat przemocy zaprzęgnięty jest w systemowe działania przeciwko czarnej mniejszości. Władza nie wybacza takich ataków na siebie. Uderzyła w redakcję pisma, która mu-



W Hurron River Park w Ann Arbor w stanie Michigan, 1960 rok

siała spuścić z tonu i w 1972 roku wyprowadzić się z bezpiecznego kampusu progresywnego uniwersytetu.

UCIECZKA TRZECIA: BUNT I ZAGUBIENIE

Converse znów musiała zaczynać życie na nowo. To była jej trzecia ucieczka, na którą wyraźnie nie miała już siły. Przyjaciele i rodzina próbowali jej pomóc, ale nie chciała przyjąć wyciągniętej ręki. Jeszcze raz chciała być samodzielną i wolną. Wróciła w rodzinne strony i próbowała znaleźć dla siebie miejsce. Nie wychodziło. Z pewnością nie pomógł jej stan ciągłego przygnębienia, a może nawet depresji – to był efekt przebywania przez wiele miesięcy w samym środku potężnego konfliktu społecznego. Skoro budowanie nowego życia się nie udawało, Converse zaczęła planować kolejną ucieczkę. Tym razem dużo bardziej radykalną niż wcześniejsze, po których się przecież odnajdywała. W sensie dosłownym i przenośnym.

W sierpniu 1974 roku wsiadła do swojego garbusa i wyruszyła przed siebie. Bliższym napisała w listach, że chce spróbować jeszcze raz życia w Nowym Jorku. Nic jednak nie wskazuje na to, żeby tam dotarła. A może po prostu bardzo skutecznie zacierала ślady. Bo nic nie wiadomo o tym, co się z nią działo potem.

UCIECZKA CZWARTA: NIGDY TU NIE POWRÓCĘ

Najpierw poszukiwała jej rodzina. Ale kiedy dowiedziała się, że Converse jako dorosła osoba ma prawo pojechać gdzie chce, żyć jak chce i nie utrzymywać kontaktu z nikim, z kim nie chce, bliscy zaprzestali poszukiwań. Uszanowali jej decyzję o zniknię-

ciu. Potem ślady zaginionej artystki tropili dziennikarze i miłośnicy dawnej muzyki.

Jednym z nich był nowojorski pasjonat i dziennikarz, a zarazem śpiewający artysta, David Garland. W 2004 roku wpadł na pomysł, żeby do audycji, którą prowadził w jednej z nowojorskich rozgłośni radiowych, zaprosić Deitcha, jedyną osobę, która chciała, żeby Converse przebiła się ze swoimi piosenkami do szerszej publiczności i robiła w tym celu konkretne kroki. Garland wiedział, że to może być ostatni moment na rozmowę – Deitch miał wówczas ponad 80 lat.

Emisja kilku piosenek z koncertu w salonie grafika wywołała prawdziwą sensację w środowisku miłośniczek i miłośników brzmień z dawnych lat. Ruszyli na poszukiwania istniejących nagrań Converse. A w 2009 roku doprowadzili do wydania płyty, która zawierała wszystkie, czasem poczynione niemal cudem, odkrycia: zaledwie kilkanaście piosenek w wykonaniu artystki.

Album ukazał się pod zmiennym tytułem: „How Sad, How Lovely”, czyli „Jak smutno i jakże pięknie”. Bo jego zawartość to rzeczywistość piosenki smutne i piękne, tak jak historia życia ich autorki i historia jej zniknięcia. I tego, że za jego sprawą, a przede wszystkim za sprawą swej twórczości, zamkniętej w zaledwie 20 utworach, Connie Converse w zasadzie nigdy nie umarła. ▲



CONNIE CONVERSE

„How Sad, How Lovely”, Third Man Records wyd. Third Man Records

**CHIMAMANDA NGOZI
ADICHIE**

urodziła się w Nigerii, mieszka w Stanach Zjednoczonych. Jest jedną z najbardziej znanych amerykańskich pisarek, autorką powieści „Amerykaana” (w lipcu ukaże się w nowym tłumaczeniu Kai Gucio, wyd. Filia) i słynnego eseju „We Should All Be Feminists”. Po dekadzie milczenia ukazała się jej nowa powieść „Bilans snów”

Ofiara bez skazy

Czy nawiązując do historii Nafissatou Diallo, pokojówki, która oskarżyła Dominique Strauss-Kahna o gwałt, Chimamanda Ngozi Adichie przywraca jej godność?

TEKST KAROLINA DOMAGALSKA

Chimamanda Ngozi Adichie to jedna z tych pisarek, która stała się międzynarodową gwiazdą, wręcz celebrytką. Charyzma oraz bezkompromisowość zaprowadziły ją na scenę Tedexu, gdzie wygłosiła wykład pod tytułem „Wszyscy powinniśmy być feministk/ami”, fragmenty którego zostały zmiksowane w utworze Beyonce. Powstała również książka pod tym samym tytułem, a trzy lata później Dior wykorzystał hasło Adichie w swojej kolekcji. Tym samym stała się sztandarową feministką w świecie literatury.

Zarówno w tym eseju, jak i w całej twórczości Adichie czerpie ze swojego doświadczenia życia pomiędzy rodzinną Nigerią a Stanami Zjednoczonymi. I trzeba przyznać, że zderzanie współlistniejących, a jednak oddzielonych i odległych światów zadufanego i zamkniętego w swoich pewniakach białego imperium kulturowej dominacji z niezależnym, osobnym i całkowicie pominiętym w kulturowych hierarchiach światem czarnej kultury Afryki wychodzi Adichie doskonale. Upředzenia, paradoksy, schematy zazwyczaj wychodzą bardzo na niekorzyść tego pierwszego i właśnie ta śmiała krytyka wyniosła Adichie na piedestał.

Nie byłaby Adichie prawdziwą celebrytką, gdyby nie zaliczyła wpadki, która wywołała klasyczną awanturę w internecie i z której gęsto się tłumaczyła, choć, gdy się przyrzyć, swoje zdanie podtrzymała. Rzecz dotyczyła opinii na temat osób trans i tego, że transkobiety nie są jej zdaniem prawdziwymi kobietami, ponieważ wychowują się jako mężczyźni, a to zupełnie inne doświadczenie. Całkowicie niepotrzebna i krzywdząca wypowiedź, którą najprościej można by skwitować stwierdzeniem prawdziwym dla wielu celebrytek i celebrytów: nie trzeba mieć zdania na każdy temat.

I wreszcie, po 12 latach od doskonałej „Amerykaany” Adichie wydała kolejną epopeję na temat ograniczeń przekonanego o własnej słuszności Zachodu oraz miejsc i osób, które żyją w świecie idei bardziej skonfliktowanych i niejednoznacznych.

Zacznę od końca, bo to właśnie tutaj wykrystalizowały się moje problemy z najnowszą powieścią Adichie – „Bilans snów”. W dosyć niespodziewanym akcie autorskiego objaśnienia Adichie na końcu książki wyklada czytelniczkom i czytelnikom, o czym opowiada powieść, którą właśnie przeczytali.

No więc, książka tylko pozornie jest o pragnieniach czterech kobiet, przede wszystkim opowiada o relacji z matką, którą autorka sama niedawno straciła.

Zerknijmy najpierw na te pragnienia. Chiamaka, Zikora, Omelgor i Kadiatou prowadzą życie rozrzucone pomiędzy Nigerię, Gwineę i Stany Zjednoczone, a łączy je Chiamaka. Nigeryjka pochodząca z bardzo bogatej rodziny, której wymarzona kariera to pisanie tekstów podróźniczych. Pomimo lekkiego pióra okazuje się jednak, że redaktorzy nie są gotowi na zabawne teksty kolejnej uprzywilejowanej, znudzonej luksem i przereklamowanymi rajami turystycznymi osoby, gdyż pochodzi z Nigerii. Zdaniem jednej z redaktorek wydawnictwa z Nowego Jorku „Nieprzygodowe przygody jednej Afrykanki” byłyby doskonałym tytułem i pomysłem na książkę, gdyby tylko za-

Kariera zawodowa jest pragnieniem wszystkich bohatererek. Omelgor marzy o bogactwie i dochodzi na sam szczyt drabiny skorumpowanego banku, który do spółki z klasą polityczną okrada własny kraj. W odróżnieniu od swoich męskich kolegów postanawia zabawić się w Robin Hoodkę i kradnie duże sumy złodziejom, aby rozdawać je w formie grantów kobietom, które, jest tego pewna, skorzystają z tych pieniędzy tak, że skorzysta cała rodzina. W życiu Zikory praca jest ostoją i fundamentem, to w pracę ucieka przed niespełnionymi marzeniami o szczęśliwej rodzinie, aż w końcu zachodzi niespodziewanie w ciążę i okazuje się, że jedyna osoba, na którą może liczyć, to despotyczna matka. Ta relacja opisana jest z wycuciem i przejrzy się w niej każda z nas, która wychowała się w cieniu matki zarządzającej, która komplek-

sy chowa pod warstwą niezłomnej dyscypliny i ostrej krytyki, której razy mają wychować potomkinie na kobiety sukcesu.

Owszem, wątek matki i córki jest w książce obecny, jednak całkowicie przy-

tłoczony tematem związków z mężczyznami. Powieść zaczyna się od drobiazgowej wyliczanki kolejnych związków pierwszej bohaterki. Każdy rozdział to historia romansu i niestety ta osobliwa chronologia to zabieg, którego autorka trzyma się, opisując wszystkie cztery bohaterki. Mężczyźni jako drogowskazy, cele, lustra, idole, oparcie i jednocześnie rozczarowanie, źródło smutku bólu i żalu. Mężczyźni jako element niezbędny w życiu spełnionej kobiety. Lub, jak zdaje się wyjaśniać Adichie, podstawowe pragnienie kobiet. Rozczarowanie numer jeden.

Rozczarowanie numer dwa jest dużo poważniejsze – ponieważ autorka postanowiła również nawiązać do historii Nafissatou Diallo, pokojówki, która oskarżyła Dominique Strauss-Kahna o gwałt. Akt przywrócenia godności – tak dokładnie opisuje Adichie posłuszenie się historią Diallo. Zgadza się z tym, że nadal losy kobiet, które doświadczyły przemocy, nie są wystarczająco obecne w dyskursie, historii, kulturze. Trzeba się o nie upominać, słuchać tych skarg, przetwarzać ból, który jest wspólnym bólem kobiet na całym świecie. Bo wszystkie, niezależnie od

Czy Kadiatou musiała zostać opisana jako osoba bez skazy?

To jeden ze szkodliwych stereotypów dotyczący przemocy wobec kobiet

miast o rejsie po oceanie wokół karaibskiego archipelagu wysepek San Blas napisała reportaż o Kongu i o tym, jak cierpią tam lokalne kobiety. Wyprawa Omelgor na studia z kulturoznawstwa z Nigerii do USA to wręcz uczta dla każdego, kto czuje, że w lewicowych narracjach potrzeba więcej powietrza i zrozumienia dla ludzi i ich doświadczeń. Nigeryjka jest notorycznie dyscyplinowana za poglądy niesłuszne (Żydów nie można porównywać z żadną inną grupą, nawet tą, która doświadczyła czystki etnicznej. Po co opowiadasz o mordzie, którego dokonali muzułmanie na twoim wujku, czyż mało jest islamofobii na świecie?). Co podsumowuje na swoim blogu, którego swoją drogą pisze dla mężczyzn, kierując się empatią i zrozumieniem dla ich pogubienia w świecie – kolejna czerwona flaga w feministycznym bio – w ten sposób: „Wy, Amerykanie, musicie wreszcie wygrzebać się ze swoich kołysek. Myślicie, że świat jest amerykański, i nie zdajecie sobie sprawy, że tylko Ameryka jest amerykańska. Jesteście tacy prowincjonalni i nawet o tym nie wiecie”. Niestety, pomimo swady i nieustępliwości płaci za wszystko głęboką depresją.

tego, czy przemoc doświadczyliśmy, czy byliśmy jej świadkiniami, jesteśmy przemocą ze względu na płeć naznaczone. A nie ma chyba lepszego, mocniejszego i bardziej skutecznego sposobu na przepracowanie traumy niż sztuka. Problem w tym, że aby miało to sens, potrzebny jest szacunek oraz jakakolwiek transgresja. Ale po kolei.

Aby przywrócić Diallo godność, Adichie opisała całkowicie fikcyjną postać o imieniu Kadiatou, skromną i raczej bojaźliwą osobę pochodzącą, podobnie jak Diallo, z Gwinei. Adichie, która przyznaje, że nie kontaktowała się z Diallo i nie ma pojęcia, jaką jest osobą, wymyśliła Kadiatou jako wpatrzoną w przebojową siostrę Bintę, która niestety umiera w młodym wieku i zostawia Kadiatou na pastwę powinności rodzinno-kulturowych, z których najważniejsze to oczywiście mąż dobrany w obrębie własnego plemienia i rodziny, a następnie dziecko. Gdy za kochankiem dociera wraz z córką do Stanów, zaczyna stopniowo budować swoją niezależność, do czego jest zresztą zmuszona, bo wybraniek serca z młodości natychmiast trafia za kratki za posiadanie marihuany.

Kadiatou jest przedstawiona jako osoba o szczerzym sercu, która ciężką pracą i poświęceniem walczy o lepsze jutro dla córki. Jest tak obowiązkowa i odpowiedzialna, że gdy sprząta ekskluzywne apartamenty, nie przysiadła ani na chwilę na okazałych fotelach w obawie o utratę pracy. Cieszy się ze wszystkiego, co osią-

gnęła, jest wdzięczna za każdy dzień, nigdy nie narzeka. Gdy dochodzi do gwałtu, zostaje wciągnięta w machinę zgłaszania przestępstwa, a następnie niekończących się przesłuchań, insynuacji i wątpliwości, kolejnych oszczerstw publikowanych w mediach. Czuje się zaszczuta, bezradna i upodlona. Książka kończy się wycofaniem oskarżenia prokuratury ze względu na brak wiarygodności Kadiatou, co wywołuje jej radość oraz wielką ulgę. Adichie w zakończeniu przyznaje, że w relacjach medialnych Diallo mówiła, że czuje się pokrzywdzona, ale artystyczna wyobraźnia podpowiedziała jej ulgę jako ucieczkę od systemu, który ją skrzywdził. Ciekawa koncepcja. Szczególnie biorąc pod uwagę, że w rzeczywistości Diallo podjęła ryzyko pozwu cywilnego i zawarła ugodę z gwałcicielem na 1,5 miliona dolarów. Jakiś czas później otworzyła restaurację, która serwuje dania amerykańskie oraz zachodnioafrykańskie, która jest bardzo popularna wśród emigrantów. Dlaczego Adichie nie zdecydowała się na dodanie tego, dodającego sprawczość i podmiotowość, faktu? Szczególnie że – i tu kolejny raz powołam się na jej słowa – napisała to, aby zrównoważyć narrację mediów – niegodną, niekompletną i splotoną.

Kolejne pytanie brzmi: czy mając do wyboru wszelkie możliwe opcje, Kadiatou musiała zostać opisana jako osoba bez skazy? To jeden z podstawowych i bardzo szkodliwych stereotypów dotyczących przemocy wobec kobiet, który aż bije

w oczy – ofiara musi być idealna, skromna, nieskazitelna. Jeśli taka nie jest, społeczeństwo szuka w niej winy, nieszczerości i podstępów.

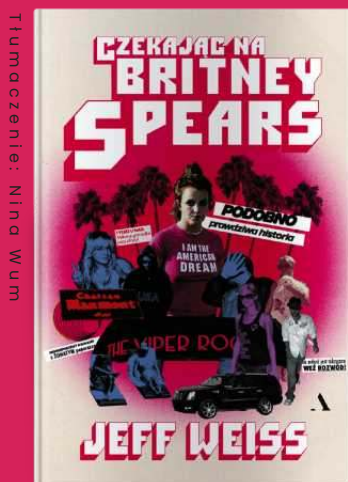
Adichie zawodzi we wszystkich swoich celach. Zamiast pogłębienia oferty narracji schematyczną i zachowawczą, która utrwała obraz bezwolnej ofiary. Jest to wizja konserwatywna i daleka od szacunku wobec tej, o którą się rzekomo upomina. Jest przywłaszczeniem historii, w którym oddanie godności staje się pustym gestem.

A może ja również stoję po stronie jedynie słusznych lewicowych ideologii? – zadałam sobie na koniec pytanie. Kluczowe wydaje mi się tutaj doświadczenie i serce, na które tak często powołuje się jej bohaterka Omelogor. Tak długo jak Adichie pisze w swoim imieniu, jej przekonanie i historie pokazują nowe, uderzająco przenikliwe horyzonty myślowe. Problem zaczyna się, gdy mówi w imieniu innych, np. transkobiet lub przetrwaneń, wtedy bowiem jej gest jest paternalistyczny i wyższościowy, a przecież to dokładnie punktuje w białej kulturze Zachodu. ▲



CHIMAMANDA NGOZI ADICHIE, „Bilans snów”,
przekład Kaja Gucio,
wyd. Fila

OGŁOSZENIE



Fascynujący reportaż o sławie, mediach i pokoleniu, które dorastało razem z księżniczką popu.

**TO NIE JEST TYLKO
HISTORIA**

BRITNEY SPEARS

**TO HISTORIA NAS WSZYSTKICH,
KTÓRZY NA NIĄ PATRZYLI.**



CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA
www.wydawnictwoagora.pl

K KULTURALNY
SKLEP.PL

WOLISZ E-BOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA **publio.pl**

**Wydawnictwo
Agora**

„LA PETITE MORT” miał premierę na festiwalu Młodzi i Film w Koszalinie i otwierał cykl Kino Kobiet na festiwalu Malta w Poznaniu

FILM

Wszystkie małe śmierci *Ofelii*

Francuskie „la petite mort” („mała śmierć”) oznacza doświadczenie przypominające śmierć: omdlenie, chwilowy zanik świadomości, wyczerpanie. W sztuce i literaturze symbolizuje transformację, zatracenie się w miłości lub pożądaniu albo zanurzenie się w czymś tak intensywnym, że na chwilę zanika poczucie własnej odrębności. Bywa też określeniem stanu tuż po orgazmie. Aktorkom i przyjacielkom: Martynie Byczkowskiej („1670”, „Absolutni debiutanci”) i Kai Zalewskiej („Skrzyżowanie”) posłużył za tytuł debiutanckiego filmu.

Ich bohaterka, Ofelia, odbiera sobie życie. Trafia potem – rozdwojona – przed sąd i zostaje oskarżona o spowodowanie własnej śmierci. Musi się wybronić, a my towarzyszymy jej w podróży sennej przez życie, zastanawiając się, co mogło doprowadzić ją do tego miejsca. Jej historia układa się w serię „małych śmierci” – doświadczeń odrzucenia, rozczarowania, rozpadu tożsamości czy utraty sprawczości. Sąd staje się tu nie tyle trybunałem, co przestrzenią konfrontacji z tymi doświadczeniami. Ciekawy zabieg rozdwojenia (w Ofelię wcielają się obie reżyserki) oddaje ten wewnętrzny dialog i przeciwstawne stany emocjonalne: część pogrążoną w beznadziei, wycofaniu i autodestrukcji oraz tę pełną energii, pragnień i nadziei.

Film nie ma klasycznej formy. Jest hybrydą teatru, teledysku i prywatnego archiwum. Wątki autobiograficzne płynnie przenikają się tu z literacką fikcją. W tradycyjnych odczytaniach szekspirowska Ofelia, z której korzystają autorki, to postać dotknięta obłędem, o której dużo się mówi, ale która rzadko mówi sama o sobie. Nawet jej śmierć znamy przede wszystkim z relacji innych bohaterów, a nie z jej perspektywy. Film odwraca ten porządek, przekształca milczącą bohaterkę tragedii w aktywną uczestniczkę procesu interpretacji

własnego życia. Jej postać staje się też pretekstem do refleksji o tym, co znaczy być kobietą dziś, w świecie niemożliwych do spełnienia oczekiwań. To opowieść o zagubieniu, psychicznej chwiejności, dorastaniu w małym mieście i próbach rozpoznania własnych potrzeb.

Silą filmu jest jego język wizualny. Ascetyczna, laboratoryjna przestrzeń, która aż „pachnie” basenową sterylnością, staje się tłem dla starannie skomponowanych kadrów. Biel kafelków i zalane światłem wnętrza kontrastują z intensywną czerwienią kostiumów i rekwizytów, która niczym ślad krwi nieustannie przyciąga wzrok. Równie interesująco wypada montaż, którego kolażowy charakter współgra z fragmentaryczną naturą pamięci. Zamiast porządkować rzeczywistość, pozwala jej się rozszepać – wspomnienia, fantazje, archiwalne nagrania swobodnie przepływają między sobą.

Podczas seansu niektórym może przyjdzie do głowy „Chronologia wody” Kristen Stewart, która w nieplanowany sposób zdaje się wchodzić w dialog z filmem Byczkowskiej i Zalewskiej. Stylistyka retro, materiały z dzieciństwa oraz powracający motyw wody i doświadczeń wokół wyczynowego pływania budują podobną atmosferę zanurzenia w pamięci i cielesnym doświadczeniu.

Gdzieś pod powierzchnią „La Petite Mort” to też opowieść o wyjątkowej przyjaźni. Dwie dziewczynki, które mieszkały na tej samej ulicy w Kartuzach i razem bawiły się w kino, dziś jako absolwentki szkoły teatralnej (i świetne aktorki!) realizują je na własnych zasadach. Jeśli ktoś za tak niewielkie pieniądze tworzy tak wyrazistą i precyzyjną autorską wypowiedź, trudno nie kibicować kolejnym pomysłom i większemu budżetowi. ▲ (Justyna Grochal)

KSIĄŻKA

Jane B.



Jesienią 2020 r., przy okazji wydania płyty „Oh! Pardon tu dormais...”, miałam okazję rozmawiać z Jane Birkin. Opowiada-

ła mi wtedy o swoich związkach, Serge'u Gainsbourg'u, o piosence „Je t'aime... moi non plus”, okrzykniętej najbardziej erotyczną piosenką świata, i o torebce, która rozślała jej nazwisko. Zagadnęła też o sytuację w Polsce. Z tej rozmowy zapamiętałam Jane Birkin jako osobę empatyczną, z sercem po właściwej stronie. Taką, która choć sama nie mały wycierpiała, albo może właśnie dlatego, znajduje zrozumienie dla krzywdy innych. Taki portret – człowieka za ikoną – próbuje nakreślić Marisa Meltzer w książce „It girl. Historia Jane Birkin”. To zadanie trudne, bo nie udało jej się namówić na rozmowę ani córek Birkin, ani jej krewnych i przyjaciół, opiera się więc na opublikowanych dziennikach, wywiadach, filmach i książkach, w których inni wspominali Jane.

Życie Birkin u boku Serge'a Gainsbourga było jednak tak barwne, a historia z nią w roli głównej jest tak

dużo, że trudno wyluskać te prawdziwe. Zresztą sama Birkin potrafiła opowiedzieć tę samą anegdotę na wiele sposobów, zmieniając okoliczności. Jak choćby tę o tym, że po publicznej kłótni z Gainsbourg'em rzuciła się do Sekwany, żeby zwrócić jego uwagę.

Mimo wszystko Meltzer z dużą starannością stara się odmalować portret tej Angielki, która jako jedna z nielicznych nie tylko zjednała sobie serca chłodnych zazwyczaj w stosunku do Brytyjczyków Francuzów, ale też stała się pod każdym względem wyznacznikiem francuskiego stylu. Pokazuje, że myślenie o Birkin jedynie w kategorii „it girl”, muzy mężczyzn, którzy ją kochali i których ona kochała, czy ikony, symbolu Francji lat 60., 70. i 80., to tylko część tego, kim była. Osadza ją też w kontekście miejsca, czasów i ludzi jej współczesnych, tłumacząc w ten sposób pewne kontrowersje, od których Birkin nie była wolna. Meltzer nie była w stanie stworzyć biografii totalnej, Birkin wciąż skrywa wiele tajemnic, ale udało jej się napisać książkę wciągającą, która pozwala Jane Birkin wyjść z cienia legendy, jaka wokół niej narosła. ▲ (Joanna Wróżyńska)

MARISA MELTZER „It girl. Historia Jane Birkin”, tłum. Kaja Gucio, wyd. Marginesy

ARKADIUSZ GRUSZCZYŃSKI POLECA WIERSZ

Przy butelkomacie

*Przy butelkomacie stoi cała Polska.
Przyszła wiosna i wszyscy już wiemy,
jak obchodzić się z tą nowością.
Ruszymy więc pod Lidle, Biedronki i Stokrotki.
Jak grzyby po deszczu wyrosły nowe miejsca spotkań.*

*Torby z Ikei.
W jednej czterdziści butelek Muszynyianki
bo od niedoborów magnezu
drżą nam łydki i powieki.*

*W drugiej czterdziści pustych Żywców, Lechów i Perel.
Oddamy je razem, rodzinnie, sprawnie i bez słów,
w rytmie wypracowanym przez pokolenia.*

*Uczymy się pamiętać o butelkach i paragonach
żeby opłacało się stać w tej kolejce
do maszyny rozgrzeszeń
po swoje pięćdziesiąt groszy od lepka.*

*A gdzieś trochę dalej
plastik i tak zalewa oceany.
Maszyny zabijają ludzi bez końca,
dzieci giną w Palestynie i Ukrainie
szybciej niż nasze ręce
oddają butelki po soczkach z logo Minecrafta.*

*Ale ty może jeszcze zbierasz
na proteinowy pudding
i dubajską czekoladę
w promocyjnej cenie.*

*Pod butelkomatem
stoiemy z tym wszystkim,
co trzeba jeszcze dowieźć na jutro,
dowieźć do końca,
choć dawno zrobiło się
za ciężkie.*

*Kolejki są coraz dłuższe.
Z pustych opakowań
patrzy na mnie
pusty, zmęczony wzrok.*

*Czekamy razem
na kolejne małe rozgrzeszenie.
Dowód,
że jeszcze da się coś odnieść,
posprzątać, odzyskać.*

*Czula segregacja zbiorowej bezradności.
Dziś każdy może dorzucić
swoje pięć groszy
albo odzyskać pięćdziesiąt,*

*i uwierzyć,
że przestaną płonąć lasy,
znikną druty na granicach.*

*I że w domu ktoś na nas czeka.
Nawet jeśli miesimy już
głównie pustkę.
Wracamy lżejsi i bogatsi o 7,50 zł.*

AGATA STASIŃSKA – socjolożka, badaczka. Pisze od zawsze i od nigdy. O tym, co można przynieść z lasu, usłyszeć w poczekalni i co wydarza się między ludźmi

KAMILA SZCZEŚNIAK RYSUJE





W pogoni za *cieniem*

12 sierpnia 2026 r. czeka nas krótka chwila, kiedy Księżyc całkowicie zasłoni Słońce, a Ziemię ogarną ciemności. Gdzie najlepiej obserwować zaćmienie?

Ponad 30 krajów na pięciu kontynentach, tytuł pierwszej niejapońskiej kobiety, która weszła na górę Fudzi, eksperymentalne loty balonem, ucieczka z ogarniętej I wojną światową Rosji, dziesiątki artykułów i książek podróżniczych – oto dorobek Mabel Loomis Todd, znanej światu głównie jako redaktorka poezji Emily Dickinson. Na zaćmienia Słońca polowała z mężem astronomem w czasach, kiedy podróżami zajmowało się przecież niewiele osób.

Inna historia: w 1973 r. dla prototypu odrzutowca Concorde zamknięto częściowo przestrzeń powietrzną. Przemieszczał się w pasie zaćmienia przez 74 minuty, co do dzisiaj jest rekordem jego obserwacji. Jedna z firm doradczych podliczyła, że tzw. wielkie amerykańskie zaćmienie z 2017 w. kosztowało 694 mln dolarów, bo przerwę w pracy na jego oglądanie zrobiło 87 mln Amerykanów.

Ale przejdźmy do rzeczy. Za rejs z obserwacją tegorocznego zaćmienia wśród bazaltowych klifów i gór lodowych u wybrzeży Grenlandii trzeba zapłacić nawet 80 tys. dolarów. Tańsza jest Hiszpania, ale i tak jakaś połowa pakietów za trzy do pięciu tysięcy euro została dawno wyprzedana (w programie np. wizyta w obserwatorium, rozmowa z łowcami zaćmień, obserwacje zjawiska z winnicy).

O niedrogie noclegi w pasie zaćmienia ciężko było już dwa lata temu. Ale nie tracmy nadziei. Zawsze coś można wykombinować, jeśli czegoś bardzo chcemy. Zaczniemy od tego, co takiego jest w krótkiej chwili, kiedy Księżyc zasłania Słońce, a Ziemię ogarniają ciemności, kiedy niektórzy ludzie gnają za nią po całym świecie?

– Wszystkie zaćmienia, także częściowe, są spektakularne, ale całkowite – niezapomniane – mówi dr Milena Ratajczak z Obserwatorium Astronomicznego Uniwersytetu Warszawskiego. – Dla wielu osób te kilka minut jest wspomnieniem do końca życia: temperatura nagle spada, robi się ciemno, ptaki zrywają się do lotu, widać, jak wielki wpływ ma Słońce na nasze życie. A my jesteśmy szczęściarzami w skali kosmosu, że możemy tego doświadczyć: Księżyc ma ok. 400 razy mniejszą średnicę od Słońca, a jednocześnie znajduje się ok. 400 razy bliżej Ziemi. Dzięki temu na naszym niebie wydają się niemal tej samej wielkości i w czasie całkowitego zaćmienia Księżyc idealnie zasłania tarczę Słońca – dodaje dr Ratajczak. Ona sama swoje trzecie całkowite zaćmienie będzie oglądać w Parku Przyrody Montesinho na północno-wschodnim koniuszku Portugalii. 12 sierpnia na Półwyspie Iberyjskim zapowiada się w tym roku wyjątkowo.

DOBRE CZASY DLA ŁOWCÓW ZAĆMIEŃ

Początek tegorocznego zaćmienia nie będzie mieć widzów. Cień najpierw spadnie na syberyjski Półwysep Tajmyrski. Choć ten najbardziej wysunięty na północ półwysep Azji jest dużo większy od Polski, na stałe zamieszkują go tylko niedźwiedzie, rosomaki i lisy. Następnie pas całkowitego zaćmienia powędruje nad Oceanem Arktycznym w kierunku Grenlandii, ale zahaczy tylko o fragment jej wschodniego wybrzeża, poza kilkoma bazami wojskowymi i badawczymi właściwie niezamieszkały. Można się tu dostać jedynie małym samolotem odlatującym dwa razy w tygodniu z Islandii, co kosztuje minimum 1 tys. euro. Nie tylko te najtańsze, ale jakiegokolwiek bilety rozchodzą się szybko, bo lotnisko Nerlerit Inaat jest bramą wjazdową do Parku Narodowego Grenlandii.

Dopiero stamtąd pas zaćmienia przesunie się na bardziej dostępne tereny. Chociaż bez przesady z tą dostępnością, bo nad



Po lewej: częściowe zaćmienie Słońca w New Delhi, 19.03.2007 r. Powyżej: rodzina obserwuje zaćmienie Słońca 11.08.1999 r. na pokładzie promu „Normandie”, który zorganizował specjalny rejs

Islandią zacznie od bezludnego – uważanego za najbardziej odosobniony i najdzikszy w Europie – półwyspu Hornstrandir. Następnie powędruje przez Atlantyk nad Hiszpanię, by objąć zasięgiem największy fragment lądu: od właściwie całego północnego wybrzeża po Walencję i Tarragonę na południowym i dalej Baleary.

Wbrew wyobrażeniom całkowite zaćmienia nie są bardzo rzadkie, ale często to tylko krótka chwila nad oceanami czy innymi odludnymi terenami. – Z punktu widzenia europejskiego czeka nas więc bardzo szczególny czas. Możemy obserwować zaćmienie w tym roku, a za rok, również w sierpniu, kolejne – mówi dr Ratajczak.

Dla porównania: ostatnie całkowite zaćmienie widoczne z Europy odbyło się w 1999 r., pół Polski pojechało wtedy w Tatry, w których było widać zaćmienie bardzo głębokie, ponad 90-procentowe. Samą Polskę w ubiegłym wieku objęło tylko jedno (1954 r.), było widoczne z niewielkiego skrawka wokół Suwałk i Sejn. Na następne musimy poczekać do 2135 r.

Czy jest więc jeszcze szansa wybrać się gdzieś na tegoroczne? Przecież Hiszpania w sierpniu jest oblegana i bez zaćmienia, dla popularnej Islandii to środek bardzo krótkiego sezonu. Nie podaje konkretnych – możliwości lotów, kosztów noclegów – bo do dnia publikacji tego tekstu wszystko może się zmienić, ale do Hiszpanii można dojechać nawet łądem, bazę noclegową zaplanować poza pasem zaćmienia i na nie dojechać, np. właściwie na jego zachodniej granicy jest Madryt, tuż za wschodnią – Barcelona. Z Islandią będzie nieco trudniej, ale wciąż można to zorganizować, np. kosztem czasu i komfortu. A dla tych, którzy zostają w Polsce: my też będziemy mieć głębokie zaćmienie, zasłonięte zostanie co najmniej 80 proc. Słońca, a im dalej na północny zachód, tym więcej.



Powyżej: zaćmienie Słońca w Paryżu, 17 kwietnia 1912 r.

Po prawej: Nicea, południe Francji, 11 sierpnia 1999 r. - częściowe zaćmienie Słońca na plaży przed hotelem Negresco.

Na następnej stronie: Gdańsk, 20 maja 1966 r., pracownik stoczni obserwuje częściowe zaćmienie Słońca przez maskę spawalniczą; niżej: Poznań, 10 czerwca 2021 r.; Kair, 29 marca 2006 r. - turyści obserwują częściowe zaćmienie Słońca w pobliżu piramid



Zjawisko odbędzie się wieczorem, kiedy Słońce jest nisko nad horyzontem, do obserwacji trzeba więc wybrać odsłonięte miejsce. I oczywiście mieć okulary z folią ochronną, a na lornetce czy teleskopie filtry słoneczne. Historia zna zbyt wiele przypadków wzroku uszkodzonego patrzeniem w Słońce, młody Izaak Newton stracił go z tego powodu na trzy dni.

Okulary można zdjąć jedynie na czas całkowitego zaćmienia. – A wtedy widać najpiękniejsze. Najpierw tzw. diamentowy pierścień, przez który prześwitują doliny na Księżycu, chwilę potem koronę słoneczną – mówi Milena Ratajczak. W tym wypadku ktoś jednak powinien pilnować czasu i tego, żeby na kilka sekund przed końcem całkowitego zaćmienia założyć z powrotem okulary.

JAK WYBRAĆ MIEJSCE NA OBSERWACJE

Dyskusje na temat tego, skąd obserwować zaćmienie, toczą się od dobrych kilku lat. Najlepiej je bowiem widać, jeśli odbywa się w środku dnia, a – jak już wspomniałam – tym razem będzie to wieczór. W najwyższym punkcie w Hiszpanii (Galicja) Słońce znajdzie się ok. 14 stopni nad horyzontem, na zachód od wybrzeży Islandii – maksymalnie 26 stopni. Wyspa, która nie narzeka przecież na brak turystów, zachęca: „U nas zaćmienie będzie najdłuższe i świetnie widoczne, bo mamy małe zanieczyszczenie światłem. A pod względem pogody sierpień jest najbardziej stabilnym miesiącem z 40 proc. szans na czyste niebo”.

Hiszpańskie lato kojarzy nam się z błękitem, ale niestety nad Zatoką Biskajską, czyli na północnym wybrzeżu, chmurzy się stosunkowo często. Co robić? – Warto sprawdzić roczniki meteorologiczne, wybrać miejsce i potwierdzić pogodę w nim dzień wcześniej. Jeśli zapowiada się całkowite zachmurzenie, można pomyśleć o miejscu zapasowym, ale ostateczny wybór zawsze jest trudny, bo tam też może się w ostatniej chwili zachmurzyć. I nie ma co liczyć na sprawne przemieszczenie się, zapewne na ten pomysł wpadnie wielu i na drogach będą korki – mówi dr Ratajczak. Jej wspomnienie z obserwacji zaćmienia w USA: bardzo precyzyjnie wybrane miejsce, świetna pogoda, a dzień przed zaćmieniem nadeszło nagle załamanie z burzą i wyłączeniem prądu; w miejscu zapasowym też się zachmurzyło; grupa naukowców mających zrobić transmisję online do Polski decyduje się jednak zostać, rozstawia sprzęt i dosłownie chwilę przed zaćmieniem robi się piękna pogoda.

OD PÓL LAWY PO ŚRÓDZIEMNOMORSKIE PALMY

Oto jak będzie przebiegać całkowite zaćmienie w dostępnych dla nas miejscach. Ok. godz. 17 czasu lokalnego przetnie islandzkie Fiordy Zachodnie. Ten piękny, surowy, rzadko odwiedzany region kraju na mapie wygląda jak rozcapierzony kwiat rosnący na północnym zachodzie wyspy. Na najbardziej północny kraniec półwyspu Hornstrandir można się dostać tylko promem. Na pozostałej części jedyna droga prowadzi głównie wzdłuż wybrzeża, a ponieważ jest ono naszpikowane fiordami, przemieszczanie się jest dość powolne. Na jej końcu znajduje się gigantyczny klif Látrabjarg, zaćmienie będzie stąd widoczne przez rekordowe dla lądu dwie minuty i 13 sekund, czyli tylko o pięć sekund mniej niż w punkcie maksimum. Ten znajduje się nad oceanem – są tam wycieczki statkami. Potem pas przesuwa się nad łatwiej dostępny islandzki półwysep Snæfellsnes z czarnymi plażami, polami lawy i przykrytym lodowcem wulkanem, przez który kapitan Nemo miał dostać się do wnętrza Ziemi. Zaćmienie potrwa tu co najmniej dwie minuty. W samym Reykiawiku będzie to 59 sekund, podobnie na całym półwyspie Reykjanes.

Na Półwysep Iberyjski zaćmienie dotrze tuż przed zachodem Słońca. W Portugalii obejmie jedynie niewielki fragment w okolicach Bragançy i drugi – trudny do precyzyjnego wyznaczenia, położony właściwie na granicy zaćmienia całkowitego. W roli głównej wystąpi Hiszpania. Tu ciemności zapadną wzdłuż ca-



łego północnego wybrzeża od Bilbao (29 s) na wschodzie przez Santander, Gijon i Oviedo po A Coruñę (1 min 16 s) na zachodzie. Można je obserwować na przykład z Camino del Norte, czyli poprowadzonego wybrzeżem fragmentu szlaku pielgrzymkowego do Santiago de Compostella.

Bardziej w głąbi kraju blisko centrum pasa zaćmienia, czyli miejsca, gdzie będzie trwało ono najdłużej, znajdują się m.in. miasta: León (1 min 45 s), Burgos (1 min 43 s), Valladolid (1 min 28 s) i Saragossa (1 min i 23 s). Na wybrzeżu śródziemnomorskim będzie je widać od Tarragony (około minuty) po Walencję (1 min 49 s).

I jeszcze Baleary. Zaćmienie obejmie wszystkie wyspy archipelagu, czyli Majorkę, Minorkę i Ibizę z Formenterą. Jest tu spora szansa na dobrą pogodę, ale z drugiej strony – jeśli w ostatniej chwili jednak się popsuje, nie ma jak przemieścić się szyb-

ko gdzie indziej. Opinię najlepszej na obserwację ma Majorka. W stołecznej Palmie zaćmienie teoretycznie potrwa 1 min 36 s, faktycznie jednak Słońce będzie w tym czasie już bardzo nisko i prawdopodobnie przesłonią je góry. Bezpieczniej więc pojechać gdzieś na zachodnie wybrzeże, najlepiej na klify w paśmie Serra de Tramuntana. Widziane z nich Słońce będzie stało zaledwie dwa-trzy stopnie nad horyzontem.

I to już koniec przedstawienia. Ale nie na długo, bo w kolejnych dwóch latach czekają nas kolejne: zaćmienie A.D. 2028 będzie widoczne z Australii i Nowej Zelandii, a to za rok – w sierpniu 2027 r. – z Hiszpanii i Afryki Północnej od Maroka po Egipt. To ostatnie będzie najdłuższym całkowitym zaćmieniem w XXI w., w okolicach Luksoru potrwa aż 6 min i 23 s. Rejs po Nilu, starożytne świątynie i Słońce, które zgaśnie w południe – to może być bardzo ciekawe doświadczenie. ▲

TEMAT NUMERU: ZDROWIE TO NOWY LUKSUS

Herstorie: Niewidzialne służące z Zamku Książ

Podróże: Ikaria, wciąż niezadeptana grecka wyspa

Balkon: Dekoracje na styl włoskiego podwórka



*suplement diety

Numer dostępny z prezentem do wyboru:
skarpetkami złączającymi **Silcatil**
lub kolagenem do picia **Primabiotic Collagen***